

ALMANACH  
LITERACKI



# ALMANACH LITERACKI

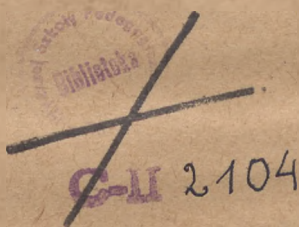
ODDZIAŁU WIEJSKIEGO  
ZWIĄZKU ZAWÓDOWEGO  
LITERATÓW POLSKICH

Kraków 1948

---

Biblioteka Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Literatów Polskich

WYDANO Z ZASIĘKU  
CENTRALNEGO  
INSTYTUTU KULTURY



Odbito w Drukarni Związkowej w Krakowie, ul. Mikołajska 13 — Składał Aleksander Klepacz —  
korekta Stanisław Krupa — tłoczył Teodor Cywa — okładkę projektował Jerzy Bandura z Krakowa —  
technicznie dozorował Józef Andrzej Frasik — Druk książki ukończono dnia 15 marca 1945 r. —  
Nakład 3.500 egzemplarzy — Format 70x100 — Papier VII klasy — 80 gramowy. — M 20131

K 221-21/62/12

## OD WYDAWNICTWA

„Almanach literacki Oddziału Wiejskiego“ nie jest antologią. Nie chodziło nam bowiem przy jego układaniu o zareprezentowanie czytelnikowi w s z y s t k i c h tworzących obecnie pisarzy chłopskich, ani nawet o pokazanie wszystkich rodzajów tego piarstwa. Celem było dla nas skonfrontowanie dorobku współczesnej twórczości chłopskiej z nową rzeczywistością polską pod kątem widzenia przede wszystkim społecznej i kulturalnej doniosłości tej literatury.

Do tragicznej jesieni 1939 roku twórczość artystyczna ludu wiejskiego traktowana była z reguły jako zjawisko marginesowe w kulturalnym życiu narodu, jako produkt zamkniętego kręgu społecznego, nadający się co najwyżej na materiał, na surowiec artystyczny dla twórców o znaczeniu ogólnonarodowym. Z chwilą gdy przełamane zostały bariery społeczne, dzielące naród na szereg obcych sobie — a nawet często wrogich — grup, twórczość ludowa powinna wyjść poza swój dawny krąg, stać się współdziałającym czynnikiem w budowaniu nowej kultury narodowej.

O wypuklenie tego kulturotwórczego dynamizmu literatury chłopskiej, chodziło nam w pierwszym rzędzie i dlatego właśnie pominięliśmy np. polityczną publicystykę chłopską, jako zbyt ściśle związaną z doraźnymi potrzebami chwili bieżącej, dlatego wiele miejsca poświęciliśmy twórczości młodych prozaików i poetów chłopskich. Nie chodzi nam w tym wypadku o samo tylko spopularyzowanie nazwisk młodych pisarzy, ale przede wszystkim o pokazanie rozległej skali tematów, zagadnień i form artystycznego wyrazu, którą określa twórczość tych pisarzy.

Drugą sprawą, którą należało podkreślić, jest wewnętrzne zróżnicowanie kulturalne środowiska pisarzy chłopskich. Jako materiału doświadczalnego użyto w tym wypadku poezji, a to z tego względu, że w twórczości młodych kulturalnie klas (a nawet społeczeństw) poezja jest zawsze ilościowo najbogatsza i najlepiej pozwala uchwycić różnice w opanowaniu techniki pisarskiej, w stopniu dojrzałości intelektualnej i kulturalnej pisarzy, charakter ich związków z tradycyjną kulturą środowiska. Wyodrębniono tu trzy grupy: poetów kontynuujących tradycyjne formy pieśniarstwa ludowego; następnie autorów postępujących się już narzędziami wyrazu przejętymi z literatury narodowej, reprezentujących dźwiganie się masy chłopskiej na wyższy szczebel rozwoju kulturalnego, reprezentantów „wsi piszącej“ w ścisłym tego słowa znaczeniu. Jako grupę trzecią wyodrębniono poetów pochodzenia chłopskiego, którzy już jako literaci opanowali formy wyrazu charakterystyczne dla współczesnej literatury narodowej i których związki ze środowiskiem wiejskim są raczej ideologiczne niż genetyczne (genetyczne — w sensie bezpośredniego kontynuowania tradycji pisarskich i kulturalnych polskiego chłopstwa).

„Almanach“ pomyślany jest jako wydawnictwo stałe: jako rocznik Oddziału Wiejskiego Z. Z. L. P. Mamy więc nadzieję, że w roku przyszłym, korzystając z opinii krytyki i czytelników, zdołamy usunąć te błędy i wady wydawnictwa, których nie zdołaliśmy uniknąć w naszej pierwszej tego rodzaju publikacji.

STEFAN LICHAŃSKI

## DZIEŃ DZISIEJSZY CHŁOPSKIEJ LITERATURY

Celem tego artykułu jest zorientowanie czytelnika w sytuacji i problematyce młodego pisarstwa chłopskiego i wyznaczenie pewnych punktów orientacyjnych, podchwycenie pewnych w pisarskiej praktyce ujawniających się „napieć kierunkowych” i tendencji, a nie sporządzanie remanentu dotychczasowych osiągnięć i preliminarza projektów na przyszłość. Pisząc niniejszy szkic, mam na uwadze przede wszystkim czytelnika, który chce otrzymać ogólnie informujące objaśnienia, a nie znawców przedmiotu i krytyków literackich.

### PUNKT ZWROTNY

#### 1. *Spojrzenie wstecz*

Istnienie charakterystycznych różnic w twórczości artystycznej różnych środowisk społecznych i regionalnych jest zjawiskiem zupełnie naturalnym. Odrębności te mogą w pewnych wypadkach zaznaczać się bardzo wyraźnie, a mimo to nie powodować wyobcowywania się z całokształtu kultury narodowej poszczególnych kultur środowiskowych.

Zakłócenia takie (tu wyobcowania) zachodzą tylko w wypadku zachwiania równowagi społecznej (zdobycie przewagi socjalno-politycznej przez jedną z grup społecznych, wyznaniowych itp.) lub w wypadku konfliktów narodowościowych, jeżeli państwo obejmuje w swych granicach różnorodne grupy etniczne. Nas obchodzić w pierwszym rzędzie będą procesy rozszczepiania się jednolitego nurtu kultury narodowej będące wynikiem międzyklasowej rywalizacji o władzę w państwie.

Tragiczny moment załamania się równowagi społecznej

w Polsce łatwo oznaczyć: jest nim rok 966, rok przyjęcia chrześcijaństwa. Chrzest Polski wyträcił poza ramy jednolitego i mało zróżnicowanego dotychczas wewnątrznie społeczeństwa wyznawców dawnej religii. Oni to stali się pierwszą grupą obywateli „drugiej klasy“, grupą socjalnie upośledzoną.

Ale na tym proces różniczkowania się społecznego bynajmniej się nie skończył — przeciwnie — dopiero począł się on rozwijać.

Z zagranicznym duchowieństwem, które przybyło do Polski szerzyć chrześcijaństwo, przywędrowały idee wyrodzonego feudalizmu i kosmopolitycznej cywilizacji średniowiecznej wraz z jej językiem — łaciną. Bardziej czynne elementy społeczeństwa polskiego przyswajają najszybciej nowy światopogląd, europeizują się i wyprzedzają w przystosowaniu się do nowych form życia państwowego i społeczne elementy bardziej tradycyjalistycznie nastawione, mniej czynne i słabiej wykształcalne. Ten proces europeizacji (czy też: latynizacji) znajduje poparcie u duchowieństwa katolickiego, które dąży do jak najrychlejszego i najbezwzględniejszego zlikwidowania w życiu i w umysłowości naszego narodu wszelkich śladów pogaństwa.

Rezultatem tych przeobrażeń jest zniweczenie niemal doszczętne dawnej pogańskiej tradycji kulturalnej i zwrócenie się ówczesnej „góry“ społecznej ku wzorom zachodnio-europejskim, wejście jej w zasięg kosmopolitycznej łacińskiej kultury średniowiecza, która była już niedostępna dla mas ludowych, zwłaszcza że dostępu do niej — poza wszystkim innym — broniły już coraz mocniej wzrastające w społeczeństwo coraz gorliwiej w nie wszczepiające — nałogi myślenia feudalnego.

Stan włościański staje się już tylko zbiornikiem sił dla rozwijających się coraz bardziej i coraz donioślejszą rolę odgrywających stanów nowych, rycerstwa i duchowieństwa. W miarę rozrostu i utrwalenia się systemu feudalnego rola państwowa stanu włościańskiego maleje coraz bardziej.

Za czasów piastowskich walka o przewagę polityczną, toczy się między domem królewskim a wielmożami. Jako trzeci partner — już od czasów Ludwika Węgierskiego reprezentujący siłę nader poważną — występuje w tej rozgrywce szlachta. Czasy Jagiellonów — są okresem bezustannego wzrostu znaczenia szlachty, wzrostu osiąganego przez równoczesne ogra-



niczanie władzy króla i likwidację praw obywatelskich i samodzielności gospodarczej stanu włościańskiego.

Przy analizie tego długotrwałego procesu historycznego, przeobrażającego Polskę ze średniowiecznej monarchii Piastów w szlachecką Rzeczpospolitą, uderza nieobecność stanu chłopskiego jako czynnika aktywnego, jako współaktora dziejowego dramatu. Jest tym bardziej znamienne, że stosunkowo daleko mniej liczne mieszczaństwo potrafiło w okresie rozbitcia dzielnicowego parokrotnie odegrać rolę jęczyczka u wagi i zdecydować o obsadzeniu tronu krakowskiego.

Zniszczenie dawnej słowiańskiej kultury przez duchowieństwo chrześcijańskie i typowa dla średniowiecza dwujęzyczność (z uprzywilejowaniem łaciny jako języka urzędowego i kościelnego) rozszczępiły jednolitą w czasach przedchrześcijańskich kulturę polską na dwa nurty, upośledzając jednocześnie w sposób zdecydowany jej nurt ludowy. Możliwość wzbogacenia się przez łączność ze środowiskami obcymi i rozwoju wewnętrznego, którego szanse stwarzało współuczestnictwo w życiu państwowym, — zmonopolizowane zostały dla kultury „górnjej“, „pańskiej“. Kultura ludowa stała się kulturą kręgu społecznego zamkniętego, pozbawionego szans awansu zbiorowego, choć indywidualne możliwości „wybicia się“ posiadali chłopcy jeszcze niemal do schyłku XV stulecia.

Sytuacja kultury ludowej nie ulegała żadnym zasadniczym zmianom aż do XIX wieku, kiedy rozpad Polski szlacheckiej i wystąpienie na arenę dziejową nowych idei pozostających w związku z rozwojem cywilizacji przemysłowej i walką mieszczaństwa o hegemonię polityczno-społeczną zburzyły chiński mur odgradzający wieś od całokształtu życia narodowego.

## 2. Sytuacja dzisiejsza.

Dla wielu to rozpatrywanie historii może się wydać niepotrzebnym zaczynaniem od Adama i Ewy. Tak jednak nie jest. Wtedy właśnie, w owych zamierzonych czasach ukształtowała się tradycja kulturalna ludu polskiego, wobec której stoimy dziś.

Taka kultura zamknięta nie musi bynajmniej zagrzęznąć

w okresie prymitywu. I takie kultury bogacą się wewnątrznie, wikłają, wchłaniają w siebie (ale tylko dorywczo) wpływy obce (boć przecie ścisła izolacja kulturalna jest nieprawdopodobna), mają swoje okresy wzniesień i upadków, ale wszystkim im właściwa jest jedna wada zasadnicza: nie są zdolne wytworzyć samodzielnie ruchu ideowego, który byłby w stanie przekształcić istniejący układ stosunków.

Są społecznie statyczne (nieruchawe), trwają poza historią. Nie grozi im w tym stopniu, co kulturom stwarzanym przez grupy socjalnie czynne, niebezpieczeństwo wewnętrznych kryzysów i katastrof, ale też nie mają one szans przetwarzania się, odmładzania, jedynym ich naturalnym kresem jest zamarcie ze starości.

Co z tego wynika? Że tradycja kulturalna wsi, wobec której stoimy, musi być przez nas traktowana nie jako goły fakt, nie jako zbiór „danych“, który można bez zastrzeżeń przyjąć za fundament dalszej działalności, ale jako zagadnienie, jako problem wstępny, z którym trzeba się uporać przed sformułowaniem własnego programu działalności kulturotwórczej.

Mówi się obecnie, że nadchodzi zmierzch literatury ludowej, że przestaje ona być żywa i potrzebna, że coraz wyraźniej staje się historycznym zabytkiem. Zdaje się, że zbyt wcześnie zaczyna się śpiewać egzekwie nad literaturą ludową.

Odrębność literatury ludowej jest rezultatem kryzysu rozbijającego pierwotną narodową wspólnotę polską na zróżnicowane socjalnie społeczeństwo średniowiecza. Jest ona produktem procesu historycznego, a nie zjawiskiem pozaczasowym i samoistnym. Cykl historyczny, którego przebiegi warunkowały konieczność jej bytu i odrębność, zamknął się w naszych oczach. Likwidacja ziemiaństwa i stworzenie podwalin pod demokrację ludową, opartą o masy pracujące, zniszczyło społeczne uwarunkowanie istnienia literatury i kultury ludowej jako zjawisk społecznych odrębnych i w stosunku do kultury i literatury ogólnonarodowej drugorzędnych.

Rzeczą najważniejszą jest dla nas w tej chwili pogodzenie tradycji z rewolucją, rozstrzygnięcie praktyczne problemu ujednolicenia kultury narodowej bez równania w dół i bez wyrzekania się zdobyczy kultury ludowej. Nad zagadnieniami tymi zastanówmy się poniżej.

## GROŹBA ODWROTU

1. *Chłopski konserwatyzm.*

Istnieje w pewnym odłamie ruchu ludowego skłonność do bezkrytycznego przyjmowania owej zastanej tradycji. Czołowym reprezentantem tego konserwatyzmu chłopskiego jest Józef Niećko.

Dla Niećki i jego zwolenników historia Polski, od przyjęcia chrześcijaństwa poczynając, jest jednym, wielkim łańcuchem tragicznych pomyłek. Ich zdaniem chrześcijaństwo, niwecząc kulturę dawnych Słowian, narzuciło nam wpływy kulturalne obce, stłumiło rodzimą twórczość i przerwało naturalny rozwój narodu. Cały dorobek kulturalny warstw górnych jest skażony cudzoziemszczyzną i w gruncie rzeczy obcy tzw. duchowi narodu. Ślady rdzennie słowiańskiej kultury przechowały się tylko w tradycji kulturalnej, artystycznej i obyczajowej ludu, toteż jakoby powinniśmy teraz, skoro za sprawą Niećki i jego współpracowników otworzyły się nam oczy na istotny stan rzeczy, wrócić do owych przechowanych do dziś zawiązków rodzimej kultury słowiańskiej i w oparciu o nie, podjąć pracę nad uzdrowieniem życia duchowego narodu.

Charakterystyczne to, że Niećko nie rozumie absolutnie sensu historycznego owych przeobrażeń społecznych, które zepchnęły warstwę chłopską na sam dół hierarchii społecznej i zadecydowały o wzroście wpływów w Polsce kultury zachodniej.

Apostołów (Niećko i jego uczniowie) „rodzimości“ i „prasłowiańskości“, nie obchodzi ta okoliczność, że Polska — do czasów Mieszka I kraik zgoła prowincjonalny i na Zachodzie niemal że nieznan — już wkrótce po przyjęciu chrześcijaństwa staje się poważną siłą polityczną i militarną, o której pozyskanie ubiegają się w okresie walk o inwestyturę dwie największe potęgi tamtych czasów: papież i cesarz niemiecki.

Filozofia kultury, do jakiej usiłuje nas przekonać Niećko, jest ahistoryczna i naturalistyczna. U podstaw jej leży wiara w jakiś niezmienny, przez warunki przyrodnicze raz na zawsze ustalony charakter narodowy, z którego jak z motka winny się rozwijać dzieje narodu. Nie wolno jednak zapominać o tym,

że tzw. „charakter narodowy“ to tylko skrót pojęciowy, że nie istnieje żaden charakter narodowy jako coś ciągłego i stałego, a tylko trwa proces historyczny, w którym narody jedne cechy i właściwości przyswajają sobie, inne tracą. O kształtowaniu się zaś nowych cech i właściwości, a o zaniku starych decydują przede wszystkim fakty historyczne. Rola czynników pozahumanistycznych jest w tym wypadku zdecydowanie drugorzędna.

Tworzyć teorię charakteru narodowego — znaczy wyznaczać pewne formy działania i myślenia zbiorowego, to tworzyć cel, do którego zrealizowania naród powinien dążyć. Jednym słowem zawsze mamy tu projektowanie przyszłości, nawet wtedy, gdy ideał swój odnajdziemy rzekomo w czasach minionych.

Jakież to więc formy działania i myślenia projektuje Niećko? Zastanówmy się nad jego postulatem nawiązania do rodzimej, przedchrześcijańskiej tradycji kulturalnej. Pomińmy tu zarzut odwrotu. W Irlandii np. taki „odwrot“ okazał się w skutkach bardzo postępowy, gdyż rozbudził zamierające życie duchowe narodu i stał się zaczątkiem odrodzenia nie tylko kulturalnego, ale i politycznego.

Ważniejsze jest w tej chwili pytanie: do czegoż to właściwie mamy nawiązywać? Właściwa intuicjonistom (wyczuwającym) spod znaku Niećki pogarda dla wszelkiej „intelektualnej dłubaniny“ czyni ich ślepych na fakt, że nie mamy dosłownie ani jednego wątku podaniowego, czy poetyckiego, ani jednego motywu artystycznego, czy muzycznego w dorobku sztuki ludowej, co do którego moglibyśmy mieć absolutną pewność, że jest on ściśle „rodzimy“, że nie przywędrował z zagranicy lub nie przesiąkł na wies z dworu czy miasta. Pozostały tylko pewne formy obrzędów, które zdają się wywodzić z czasów Polski przedchrześcijańskiej (sobótki, dyndus, zaduszki, dożynki itp.). Ale to są w tej chwili nagie schematy, które wypełnia już treść nowa, to są dziś albo obchody chrześcijańskie, albo zwykłe zabawy, ich treści dawnej możemy się tylko domyślać.

Irlandczykom taki powrót w dawność wyszedł na zdrowie, bo odnaleźli w niej olbrzymi skarbiec kulturalny i artystyczny. My możemy do naszej „gontynnej“, „lechickiej“ przeszłości

nawiązywać tylko „na niby“, wyobrażając sobie to i owo, „intuicją“ (a ściślej: zupełnie dowolnie), uzupełniając dane, jakich dostarcza nam wiedza o tamtych czasach.

Zresztą sam fakt kompletnego zatarcia się śladów dawnej kultury świadczy o tym, że nie mogła być ona, ani zbyt bogata, ani mocno utrwalona. Porzucić więc istniejący dorobek tysiąca lat, by cofnąć się do jakiegoś prymitywu, o którym prawie nic nie wiemy, byłoby kompletnym dziwactwem.

Raz jeszcze powrócę do użytego powyżej przykładu z Irlandią: tam eksperyment się udał między innymi i dlatego, że chodziło o wyzwolenie się spod wpływów kultury cudzej, u nas chodziłoby o wyzbycie się kultury własnej, aczkolwiek „skażonej“ cudzymi wpływami.

Ściśle rzecz biorąc postulat Niecki o „nawiązywaniu“ do prasłowiańskiej przeszłości musi pozostać tylko uroczystym frazesem, a praktycznie owo „nawiązywanie“ sprowadzi się do bezkrytycznego kontynuowania istniejącej tradycji kulturalnej.

Ostre i zdecydowane odcięcie się od wszystkich koncepcji w stylu Niecki jest zwłaszcza dziś koniecznością. W chwili kiedy wieś otrzymała nareszcie możliwość zbiorowego awansu społecznego, nie wolno zaszczebiać jej wstecznej ideologii kulturalnej.

## 2. *Aby dobrymi chęciami piekło nie było brukowane.*

Nie chodzi tu o lekceważenie niewątpliwych zasług i Niecki i pokolenia chłopskich działaczy, które pod jego wpływem zaczęło szukać nowych, własnych dróg myśli chłopskiej. Trzeba zawsze, myśląc i mówiąc o ideologii tego pokolenia, pamiętać, że tworzyło ono swoje pomysły ideologiczne pod naciskiem rzeczywistości polityczno-społecznej bardzo dla chłopów niekorzystnej. W okresie międzywojennym, gdy różne grupy polityczne usiłowały wygrywać wieś dla swoich korzyści, a wszystkie uważały jej zjednoczenie się za groźne dla siebie, mit chłopskiej odrębności, przeciwstawiania wsi miastu spełnił pewną rolę pozytywną: przygotowywał grunt do scalenia chłopów. Dzięki działalności tego pokolenia minął bezpowrotnie okres, kiedy uczciwych nawet moralnie posłów chłopskich można było pozyskać koncesjami gospodarczymi i odwrócić

w ten sposób ich uwagę od nadrzędnych zagadnień polityczno-społecznych.

Nie winą, ale nieszczęściem tego umysłowego ruchu chłopskiego było, że kształtował się on pod znakiem walki i opozycji, że począł się rozwijać w momencie, gdy klasa chłopska — prawnie zrównana z innymi — faktycznie wyłączona była z życia narodowego, trwała pod naciskiem poglądów ukształtowanych w mentalności tzw. „sfer wyższych“ jeszcze w okresie pańszczyźnianym. Tu miała swoje źródło ta zasadnicza nieufność wobec społeczności pozawiejskiej, wobec kultury miast, wobec cywilizacji technicznej — jako wobec sił wrogich, działających ustawicznie rzekomo na szkodę wsi.

Nieufność pozostała do dziś. Zmiana sytuacji polityczno-społecznej, która zburzyła dawny układ stosunków — niekorzystny, ale już dobrze poznany, do którego zdołano się przyzwyczaić i jakoś tam przystosować — nieufności tej nie zmniejszyła, przeciwnie zwiększyła ją jeszcze, gdyż na miejsce czegoś wyraźnie określonego i wiadomego zjawilo się coś absolutnie nowego i nieoczekiwanego. Przewrót zachodzący w naszych stosunkach zaskoczył wieś. W sytuacji niepewnej cofanie się do swoich ostatecznych rezerw, ideologiczny ruch odwrotowy jest zachowaniem, równie naturalnym jak instynktowna ucieczka zaniepokojonych czymś stworzeń do swoich schronień. Ale o to właśnie chodzi, że jest to odruch, a nie świadomość. Ten odwrót jest ucieczką przed zagadnieniami nowej rzeczywistości polskiej i w skutkach swoich musi być równie zębny jak wszelki zbiorowy lęk.

W tej sytuacji zagadnienie świadomości społecznej i narodowej staje się niesłychanie ważne. Literatura ludowa musi się przekształcać nie w ciszy i spokoju pojedynczego dojrzewania swoich przedstawicieli do podjęcia wyższej i bardziej zawiłej problematyki kulturalnej, ale w gwarze i trudzie pracy nad przebudową Polski, ale w chaosie i niepokoju, jaki ogarnął środowisko chłopskie, nie mogące znaleźć jeszcze — jako całość, jako klasa społeczna — drogi do nowych czasów. Literatura ludowa musi w tej drodze rzeszom ludowym towarzyszyć, a nawet przewodzić, gdyż inaczej nie spełni swego zadania i stanie się coraz bardziej cichnącym pogłosem minionych epok.

Jedni zdają sobie z tego sprawę, ale nie znajdują w sobie

dość siły i umiejętności, by realizować nowe zadania literatury i dzięki temu popadają w łatwą agitacyjność, inni szukają ucieczki w wycofywaniu się w folklor lub w lirykę osobistą, w prywatność. Z istnienia tego kryzysu, który jest kryzysem ideologii społecznej i kulturalnej pisarzy, a nie kryzysem form wypowiedzi, trzeba sobie dobrze zdawać sprawę. Frazes o „kontynuowaniu tradycji stuleci“ jest uchylaniem się od rzeczywistego zagadnienia, bo przecież o wyrzekanie się tradycji najmniej tu chodzi, lecz o zainteresowanie w zmianie roli tej tradycji w życiu i warstwy chłopskiej i całego narodu. Dawniej twórczość artystyczna i literacka ludu była tym bardziej cenna im mocniej podkreślała odrębność stanową chłopstwa, a dziś — im donioślejszy może mieć walor w życiu całego narodu.

Spróbujmy wyciągnąć wnioski z dotychczasowych rozważań.

Kultura ludu — jako środowiska zamkniętego i upośledzonego pod każdym względem mogła się rozwijać jedynie w głąb, komplikować się i wysubtelniać wewnątrz, ale nie była zdolna do zagarniania dziedzin życia niezwiązanych bezpośrednio ze sferą działalności chłopca-rolnika. Nie mogła ona też wyprowadzić sama z siebie jakiegoś ruchu rewolucyjnego czy reformatorskiego zdolnego do przekształcenia warunków istnienia. Potrzebna była do tego interwencja z zewnątrz.

Interwencja ta nastąpiła. Życie duchowe chłopstwa wytrącone zostało z dawnego łożyska. W związku z tą sytuacją powstaje możliwość skierowania nurtu tęsknot kulturotwórczych wsi ku celom o znaczeniu ogólnonarodowym, przynaglenia go i rozruszania przez wszczęcie weń ambicji współuczestnictwa w budowaniu nowej, powszechnej, a nie klasowej kultury.

Oto moment historyczny, w jakim wypadło nam działać, i zadanie, jakie potrzeba nam podjąć.

Koniecznością staje się dzisiaj dla masy chłopskiej przyswojenie sobie problematyki życia współczesnego i znalezienie własnego stanowiska wobec najbardziej podstawowych zagadnień naszego czasu. Literatura ludowa nie może już być nadal tylko wyrazicielką swego środowiska, ale musi się ona stać organizatorką jego świadomości zbiorowej. I dlatego musi szukać dróg własnych, nie ufając żadnym syrenim głosom, wabiącym do dalekiego tyłu.

1. *Na starą nutę.*

A jak właśnie w tej chwili przedstawia się literatura ludowa?

Określiliśmy powyżej okoliczności, które wywiodły ją poza wiejskie opłotki, postawiły wobec nowych możliwości. Sytuacja ta spowodowała kryzys, który albo uczyni z literatury muzealny zabytek przeszłości, albo też otworzy przed nią nowe drogi rozwoju.

Trudno w tej chwili wyrokować, co przyniesie przyszłość, ale z całą pewnością stwierdzić można, że zachodzą w literaturze tej zmiany bardzo poważne i istotne, wiążące się z coraz większym różniczkowaniem się wewnętrznego środowiska chłopskiego.

Obecnie niepodobna mówić o literaturze chłopskiej jako o jednolitej całości. Wyraźnie odcinają się tu grupy będące odpowiednikiem okresów kulturalnego i socjalnego rozwoju. Trwa jeszcze dawna literatura chłopska, nie zupełnie słusznie zwana samorodną, reprezentująca tradycyjną poezję ludową, wrosnięta najzupełniej w krąg wsiowych spraw i wsiowego życia. Tworzą ją samoucy, często półanalfabeci, co najwyżej ludzie z wykształceniem elementarnym, których warunki życiowe uwięziły na stałe w środowisku wiejskim i w kręgu zajęć utrudniających niezmiernie łączność z ośrodkami kulturalnymi. Są to poeci tacy jak Piotr Stopczyk, Maria Woźna (oboje drukowali we „Wsi“), poeci z Bożej łaski, którym wiersze „udają się“, lub „nie udają“, gdyż talenty ich nie znajdują oparcia w żadnej wiedzy teoretycznej. Brak samowiedzy twórczej nie pozwala tym poetom na podejmowanie prób poetyckich na większą skalę, na planowość prób poetyckich na większą skalę, na planowość roboty artystycznej. Poezja ich wybucha spontanicznie, wlewa się w pierwszy lepszy kształt formalny; wybór rymu, rytmu, zwrotki — to sprawa przypadku. Toteż poziom tych utworów jest nader rozmaity: niejednokrotnie osiągają one pełnię artystycznego efektu, ale często też spadają do poziomu niewątpliwej grafomanii.

Jest to, pieśń towarzysząca pracy i umilająca chwile spo-



czynku rolnika. Pozostanie ona towarzyszem trudu i radości chłopca, dopóki stały rozwój techniki nie upodobni w zupełności wsi do miasta i nie zastąpi tej wzruszającej naiwnej śpiewki szlagierem o „złocistych chryzantemach“ czy „skrwawionym sercu“. Ważność artystyczną osiąga ta piosenka raczej przypadkowo niż w wyniku realizacji świadomego zamierzenia twórczego. Żywotność poezji tego typu wiąże się z sytuacją ekonomiczną i oświatową wsi. Jest to kwiat, który kwitnąć może tylko na glebie — bądźmy szczerzy — cokolwiek zaniedbanej.

Poezja tego typu nawet gdy buntuje się przeciw istniejącym warunkom, to zawsze atakuje jakiś poszczególny fakt czy poszczególną osobę. Nie jest ona konstruktywna kulturalnie. Jediną jej funkcją jest wyrażanie życia wsi, opiewanie jego uroków i bolączek.

Ten typ literatury ludowej jest produktem życia duchowego elementów chłopskich kulturalnie zapóźnionych, tkwiących bez reszty w dawnych nałogach myślowych i w dawnym typie gospodarki rolnej. Poezja „wsi zacisznej, wsi spokojnej“, w socjalnym, gospodarczym i kulturalnym zastoju trwającej.

## 2. *Wieś walcząca.*

A teraz „walcząca“. Wieś myśląca o postępie gospodarczym i społecznym, o awansie kulturalnym i politycznym. Pragnąca opanować inne fazy: te, które dotychczas stanowiły monopol mieszczaństwa (handel, rzemiosło) lub inteligencji (działalność oświatowa, kulturalno-wychowawcza, organizacyjna). Ten odłam ludności wiejskiej traktuje już swoją chłopskość nie jako dar czy też karę Nieba, ale jako konkretną sytuację społeczną. Literatura z tego podglebia społecznego wyrosła już nie tylko wyraża, ma ona odwagę wartościować i projektować.

Ten typ literatury ludowej reprezentuje grupa pisarzy bardzo liczna i mogąca się wykazać szeregiem nieprzeciętnych talentów, pisarzy chłopskich, którzy dzięki zdobyciu większego zasobu wiedzy szkolnej czy też intensywniejszej pracy samouczkującej zdolali wyrósć ponad poziom naiwnych śpiewaków wioskowych i stworzyć sobie pewną ideologię artystyczną.

Twórczość ich daje najlepsze świadectwo prężności kulturo-

twórczej mas chłopskich i rosnącej w nich od drugiej połowy ubiegłego stulecia coraz silniej ambicji zrównania się kulturalnego z innymi warstwami społeczeństwa.

Zjawiskiem o znaczeniu społecznym staje się ruch chłopskiej twórczości ku górze dzięki swej sile ilościowej, gdyż wypowiada się w nim nie tyle tzw. świadomość klasowa, celowo i planowo wywalczająca nowe pozycje w życiu narodowym, ile raczej jednostkowa ambicja „wybicia się“ inspirowana, bo nie o materialny „dorobek“ tu chodzi. Gdyby taki termin nie brzmiał trochę humorystycznie, możnaby mówić w tym wypadku o „podświadomości klasowej“.

Spodziewaliśmy się, że twórczość takich „chłopów na dorobku“ będzie surowa, rudymenarna, „barbarzyńska“. Tymczasem o „barbarzyńców“ bardzo tu trudno, przeciwnie: rysem znamionym tej literatury jest nawiązywanie do zastanej tradycji literackiej. Marcinek, autor olbrzymiej (73.000 wierszy!) epopei o rabacji galicyjskiej pt. „Straszny rok“ niemal że naśladuje mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza“, na Kubiszu i Kubińcu ciąży tradycje poetyckie Młodej Polski, po ostatnich utworach Pogana widać, że zdążył on już przeczytać Reymonta.

Wybór zaś „mistrzów“ często bywa przypadkowy i niezbyt szczęśliwy. Znać na tej literaturze, że jest ona literaturą przełomu, w życiu chłopstwa. Tradycje literackie przygniatają niejednokrotnie pisarzy chłopskich, zachwyty nad cudzymi osiągnięciami osłabia ambicje szukania własnych dróg, cudze formy krępują i zniekształcają własną treść. Jak w twórczości „samorodnej“ tak i tu osiągnięcia bywają często dziełem szczęśliwego przypadku raczej niż zasługi. Toteż twórczość ta ciągle krąży na granicy pomiędzy literaturą narodową a specjalnie chłopską, tworzy niepokojące pogranicze, jest zarazem dziedziną dojrzewających do spełnienia możliwości i wielkim cmentarzem niedokonanych zapowiedzi, przede wszystkim jest jednak kręgiem twórczego fermentu.

W niej odbywają się próby ożywienia dawnych form wypowiedzi, w niej kształtują się formy będące stopem tradycji literackiej z twórczością ludową, w niej styka się gwara z językiem literackim, przysparzając mu stale nowego materiału, w niej kształtują się w sposób przystępny szerszemu

kręgowi odbiorców literackich idee, pomysły i formy pochodzenia nieraz bardzo arystokratycznego.

Praktycznie rzecz biorąc spełnia ta twórczość rolę niemal identyczną z rolą tzw. literatury drugorzędnej, jeżeli chodzi o płaszczyznę ogólnonarodową. Powierzchni obserwatorzy mówią często i w tym wypadku o „drugorzędności“, sprowadzając do wspólnego mianownika sprawy bardzo różne. Literatura „drugorzędna“ jest dziełem tych, których nie stać na „pierwszorzędność“, choć mieli wszystkie zewnętrzne szanse jej osiągnięcia. Przyczyną niepowodzenia jest w tym wypadku brak talentu, brak ambicji lub też skierowanie jej w niewłaściwym kierunku (literatura sensacyjna, tania i zdawkowa agitacyjność itp.). W wypadku literatury chłopskiej chodzi o niemożność normalnego startu, tutaj o „drugorzędności“ decyduje właśnie brak warunków zewnętrznych, trudności materialne w najszerszym tego słowa rozumieniu. Jest to jednak nie literatura maruderów, ale właśnie pionierów, zdobywców. Warunki wewnętrzne na „pierwszorzędność“ są u pisarzy chłopskich nieraz najzupełniej niewątpliwe, ale eksploatować tych możliwości niepodobna, czy to ze względu na brak wykształcenia czy na — pozostające z nim w związkū — przedwczesne zmanierowanie. Ci pisarze to nie literackie nieużytki, na których przy najintensywniejszej uprawie rodzą się tylko papierowe kwiatuszki, ale kopalnie, które nie dadzą się z tych czy innych względów w pełni wyeksploatować.

### 3. - Ludzie z pogranicza.

A teraz sprawa pisarzy-inteligentów pochodzenia chłopskiego. W tym wypadku chłopskość czy to w sensie wykorzystywania form wyrazu utrwalonych przez twórczość ludową czy też w sensie specyficznej problematyki nie jest wynikiem przystosowania się do życia i zainteresowań najbliższego środowiska, ale jest rezultatem świadomego wyboru.

Dla tych pisarzy dorobek literacki wsi jest odskocznią i zapasowym skarbcem tematów, form i materiału językowego. Bezpośredni, genetyczny związek z tradycjami literatury chłopskiej zostaje w tym wypadku zastąpiony solidarnością ideologiczną ze środowiskiem. Dawny dorobek twórczości ludowej

nie jest już dla tych pisarzy tradycją obowiązującą, obowiązującą natomiast jest troska o przeszczepienie na teren wiejski zdobyczy artystycznych i światopoglądowych spoza owego terenu, organizowanie wrażliwości estetycznej i intelektualnej odbiorców na zasadach nowych, ważnych w kręgu spraw kultury narodowej, a nie tylko środowiskowej. Pisarz, który chce spełnić swoje zadanie na tej płaszczyźnie, musi być także działaczem kulturalnym.

Jeżeli często kuje się zarzut z tego, że twórczość Piętaka, Ożoga, Frasiaka, Mortona nie jest tak ludowa, jak sobie tego życzą krytycy, to nie trzeba się tym bynajmniej przejmować. Oznacza to po prostu fakt, że pisarze ci przekroczyli granicę, przestali być wyłącznie ludowi, co nie znaczy jednak, by musieli zrywać łączność ze swoim środowiskiem. Oczywiście, że ich zadania na terenie wsi wychodzą poza zakres spraw ściśle literackich, ale to raczej tytuł do chwały.

W obecnej sytuacji literatury chłopskiej rola tej grupy pisarzy staje się szczególnie ważna. Są oni ludźmi z przełęczą, przewodnikami i przodownikami — z racji choćby dotychczasowych swoich osiągnięć. Czy się z zadań swoich wywiążą należycie — to sprawa już inna i prorokować coś na ten temat byłoby nader niebezpiecznie. Rzecz w tym, czy zdołają oni podsunąć masom chłopskim wizję innej, dynamicznej kultury, czy zdołają ożywić i skomplikować autentyczną twórczość chłopską, nasycić ją nowymi treściami, czy zdołają stworzyć styl będący wyrazem twórczości ludowej. Nie da się zaprzeczyć, że czynny udział tej grupy w życiu literackim wsi do pewnego stopnia kryzys literatury ludowej potęguje, gdyż wprowadza do niej wzory pisarstwa nowe, tradycjom twórczości chłopskiej obce. Rezultatem tego bywa krzewienie się wśród pisarzy-chłopów maniery literackiej, epigoństwa i niepotrzebnego silenia się na „nowoczesność“ od strony najbardziej zewnętrznych form wyrazu.

Inteligencja nie może jednak działać na innym poziomie roboty intelektualnej i artystycznej, niż najwyższy, jaki mogła osiągnąć. Próby przystosowania się do gustów i poziomu odbiorcy kończą się z reguły produkowaniem bezwartościowej tandety. Inteligencja pochodzenia chłopskiego nie może być przez swoją warstwę społeczną odpychana i lekceważona, ale

nie może narzucać tej warstwie siebie jako wzoru i swoich poglądów jako ewangelii. Wykonany tu musi zostać obustronny wysiłek: inteligenci pochodzenia chłopskiego muszą jak najbardziej żywo i poważnie zainteresować się problematyką współczesnej wsi, elita umysłowa masy chłopskiej musi starać się opanować jak najszybciej język naszej współczesności, nauczyć się widzieć wieś nie jako oddzielny i samoistny fakt społeczny i kulturalny, ale w ścisłym powiązaniu z życiem całego narodu. Z jednej więc strony uspołecznienie, z drugiej unarodowienie myślenia, a z obu — najwyższy wysiłek w przyswajaniu sobie nowych zagadnień i unowocześnieniu metod myślenia i działania.

#### ZAKOŃCZENIE

Ale — powiecie napewno — dlaczego w artykule o kryzysie literatury ludowej tak mało mówi się o samej literaturze? Z przyczyny bardzo prostej: kryzys ten jest przede wszystkim kryzysem światopoglądowym warstwy chłopskiej. Tu właśnie leży sedno zagadnienia, a nie w samym fakcie, że ktoś wzoruje się na Połu i Asnyku, a inny na Piętaku i Ozogu. Nie przeciw samemu naśladowaniu Konopnickiej trzeba protestować, ale przeciwko tkwieniu w problematyce z czasów Konopnickiej. Nie wzorowanie się np. na Czuchnowskim i Przybosiu jest konieczne, ale wejście w ten krąg zagadnień, w którym rozwijała się i dojrzewała twórczość tych poetów.

Czy jednak przez wejście w problematykę nowoczesną, w chaos spraw nowych, w zagadnienia życia ogólnonarodowego, nie „odludowi“ się poezja ludowa i nie zatraci swego charakteru? Odpowiedź na to pytanie może być tylko jedna: zależy to wyłącznie od pisarzy-chłopów. Jeżeli zdołają oni, zachowując w pełni świadomość przynależności do swego środowiska i wykorzystując dorobek ludowej tradycji kulturalnej, tworzyć tak, by twórczość ich wносиła do skarbcza literatury narodowej wartości nowe i niezaprzeczalne — sprawa ich będzie wygrana. Nie zapominajmy bowiem, że literatura ludowa stała się kiedyś bocznym odgałęzieniem literatury narodowej i że kiedyś do tego wspólnego nurtu musi powrócić. Chodzi jednak o to, by powracała tam jak strumień zasilający ów nurt główny,

i starała się tak rozrosnąć i okrzepnąć, żeby do tego zjednoczenia dojrzeć, żeby sprowokować również z drugiej strony tendencję do asymilacji.

W innym wypadku musi literatura ludowa zamrzeć jako wyrazicielka zanikających form życia społecznego i gospodarczego. Zresztą — jak wykazałem to już wyżej pisząc o „wsi walczącej“ — proces unaradawiania się tej literatury trwa i powstrzymać go już niepodobna. Trzeba go natomiast podkreślić, uświadomić chłopom-pisarzom, że są już (często nieświadomie) jego reprezentantami. Nie poto, żeby się wyrzekli swojej chłopskości, ale poto, żeby umieli ją w sobie przetworzyć na wartość ogólnonarodową, spotęgować i wykryształizować w świadomości postawiony i rozwiązywany problem.

Te właśnie przyczyny skłoniły mnie do tego, żeby zagadnienie obecnego kryzysu literatury ludowej rozważać od strony historycznej i socjologicznej, a pisarzy chłopskich (narażając się może nawet na ich gniew) traktować wyłącznie jako reprezentantów i wyrazicieli świadomości socjalnej poszczególnych grup chłopskich. Pomiąłem oczywiście problem wewnętrznych zakłóceń w tych grupach (grupa reprezentantów „wsi walczącej“ może posiadać w swoich szeregach i przedstawicieli postępowego chłopstwa i przedstawicieli sobków dążących do indywidualnego dorabiania się), ale chciałem zaznaczyć wyłącznie najbardziej zasadnicze linie rozwijającego się przed naszymi oczami procesu.

JAN ALEKSANDER KRÓL

## U CZOŁA POSTĘPU

(Gawęda wigilijna pisarza).

Zaczynam tę „gawędę wigilijną“ tak jakbyśmy rzeczywiście byli razem, drodzy pisarze i czytelnicy. Po lewej ręce leży na biurku komplet „Wsi“, po prawej piętrzy się teczka listów. Jestem z Wami i pośród Was. Brak tu może tylko najmłodszych, dzieci płowo-włosych — naszej nadziei i wiary w przyszłość wsi. Od nich więc może — proponuję — zacznijmy.

Było to w pierwszych latach okupacji w tajnym gimnazjum nad Nidą, niedaleko Wisły.

O tych dwunasto-czternasto-letnich chcę mówić dziewczętach i chłopcach.

Jakże opisały dzieci w jednym z pierwszych zadań niedzielę? Wyobraźcie sobie tę czułość, powagę i napięcie rodziców rzucających dzieci w konspiracyjne gimnazjum. Wyobraźcie sobie tę gromadkę uwolnioną od prac domowych, z opłaconą nauką i lepiej wyposażoną, niż stać na to było wieś przed wojną. Co się stało z energią duchową dzieci wyzwolonych z tradycyjnych więzów pracowniczych nędznego i zacofanego gospodarstwa? Jak się ona wyraziła w nowej sytuacji? I na czym ta nowa sytuacja polegała? Oto dzieci przestały patrzeć za ogonem pilnowanej krowy, za pługiem, gęsiami i kobiałką nakopanych kartofli. Popatrzyły teraz na całą nidziańską dolinę. To jest ta sama, którą znał Dygasiński i której wymowa sceniczna jest tak wielka, że w jego powieściach ludzie i zwierzęta poruszają się jakby zakłęci jej prawami. Prześliczne kobierce łąk. Wielka perspektywa łagodnego zbocza, gdzie domy, płoty i drzewa rysują się jak wycinanki układane jedno

nad drugimi. A dzieci w szkole zostały zobowiązane do wyrażania swoich wrażeń i spostrzeżeń. Więc kiedy przyszło do opisania „Niedzieli“, pokazało się, że wielka scena doliny opanaowała ich wyobraźnię. Nie kościół i nabożeństwo — były dla nich wydarzeniami, a przechadzka. Pisały: „być w wielu miejscach“, „przemierzać duże przestrzenie“. Zjawiają się punkty etapowe o estetycznym dla wędrowek znaczeniu: most (stać na moście!), na wzgórzach Czarkowski park (6 km) i Jurkowski (2 km). Świadomość monumentalnego, a zarazem sielankowego wymiaru tej sceny była uderzająca. Zadania ozdobiły rysunki kredkowe — *zielone łąki, czerwone domki* miasteczka na wzgórzu i  *błękitne niebo*. Po takiej scenie „gromadą, tylko gromadą“. „Oddałbym całą niedzielę dla jednej tylko przyjemności przebywania z kolegami i koleżankami“. Pośród łagodnej okolicy ta młodzież idzie korowodowym rytmem „jak orszak królewski“. Chłopcy i dziewczęta wzięwszy się za ręce. Pomińmy banalność porównań, a zwróćmy uwagę na wrażliwość tych dzieci, na kolory i formy. Pisały: „złociste łąny zbóż“, „rumieniejące sady“, „różowe powietrze“, a o dziewczętach: w jasnych sukienkach „zrywają kwiaty“, „gonią motyle“.

Tak to kiedy przestały być „ojcu poganiaczem“, kiedy zwolniono je „z pasionki“, a znalazły się w nowym układzie nabywania „wiedzy książkowej“, ujawniły natychmiast powszechną wrażliwość estetyczną. Te dwa warunki zdecydowały o zmianie ich stosunku do przyrody, do „gospodarczej“ przyrody dorosłych. I one, dwunastolatki zaledwie, już wykroczyły poza tradycję życia rodzinnego, już wykroczyły poza treść zamkniętej kultury ludowej. Odczucie piękna było pierwszą formą postępowej ekspansji owej gromadki. I na tej to fali miały za chwilę rozwinąć się inne formy bardziej skupiające i konkretyzujące jej nową świadomość społeczną.

Przybyła nowa uczennica. Bosa dziewczynka, o jasnych włosach i wielkich oczach. Dzieci odpisywały właśnie na ankietę: — dlaczego wstąpiły do gimnazjum? Napisała: „po to, aby podnieść kulturę ludową do kultury narodowej“. Ten zwrot nie powstał ani z przepisania ani z napomknień. W jej wsi nie było Koła, nie było też rezonujących sąsiadów. To było objawienie talentu w sprzyjających warunkach. To był głos czasów.



A potem pokazał się pierwszy rewolwer i padła nań tajemnica. A potem już i koło literackie nie wystarczało i pomiędzy poetów z miasteczka i ze wsi padło oświadczenie: „my klub chłopski...”

A jeszcze później trzech z nich życie oddało w walce z okupantem i trzem dziewczętom Niemcy narzeczonych ubili.

Drodzy pisarze i czytelnicy, uczcijmy narodziny takiej młodzieży chłopskiej.

\* \* \*

Wśród tej gromadki czwórka zdradzała wyraźnie uzdolnienia literackie. Dwóch padło, o dwojgu jeszcze usłyszymy. Pomyślmy, że w podobnej sytuacji wychowawczej znajdują się dziś w Polsce dziesiątki tysięcy dzieci chłopskich. I zdajemy sobie sprawę z tego, że kilkadziesiąt lat temu talentom chłopskim w innych zaczynać wypadało warunkach. Jeszcze do roku 1850 system chłopskiej gospodarki stanowił czyste odwzorowanie XIII wieku. Magryś pierwszy wśród pośmiewiska próbuje ulepszenia nawozu. Kurasiowi na widok rozłożonych książek sąsiad powiada: „to wszystko łyżki żuru nie warte”. Nazwa „gazeciarz“, którą mu przyczepiają, miała obelżywe znaczenie. Pisarze chłopscy tych lat — a policzyć ich można na palcach — są samoukami w czytaniu i pisaniu, żaden nie przekroczył wykształcenia „czterech zim”.

I naszej młodzieży potrzebna jest pomoc. O ileż jednak obszerniejsza już dziś i w stopniu i zakresach.

Jeżeli pragniemy, aby z tej młodzieży wyrosło najwięcej tegich pisarzy i jak najszerzej rozwinął się krąg inteligentnych czytelników, nie nasza to dziś tylko sprawa. I nie nas to należy obciążać wyłącznie. Umiejmy rozróżnić: naszej młodzieży potrzebne są szkoły powszechne, gimnazja, szkoły rolnicze, zawodowe, fabryczne. Uniwersytety Ludowe i wyższe. Tę robotę musi zrobić ktoś inny i my na jej wyniki oczekujemy, my działać już musimy w związku z tymi właśnie instrumentami, a nie docierać poza ich zasięg, do zaniedbanej i jeszcze nie włączonej w proces kształcenia młodzieży.

Od nas pisarzy można wymagać, abyśmy przejrzeni programy szkół i zabrali głos, abyśmy policzyli szkoły, młodzież i bili na alarm, abyśmy określili proporcje między rodzajami

szkół, ale my dziś już cofnąć się poza fakt, że istnieją dla dzieci chłopskich szkoły wszystkich rodzajów — nie możemy. Właśnie ich rozwój i doniosłość określa wymiar naszego powołania pisarskiego.

Podobnie nasi czytelnicy mają prawo stawiać nam pytania jako swoim doradcom w sprawach oświaty, ale nie mogą żądać od nas, abyśmy zastąpili młodzieży szkolne wykształcenie.

Naszej młodzieży są potrzebne teatry ludowe. Wielki Instytut Teatrów Ludowych musi się odrodzić. To on będzie młodzież w zespoły organizował i kształcił bezpośrednio. My dostarczymy sztuk, zajmiemy stanowisko wobec kierunku rozwoju sztuki widowiskowej, będziemy kontrolować, protestować, entuzjasmować młodzież, ale już i w tej robocie warunkiem koniecznym obok Instytutu Teatralnego jest istnienie Instytutu Socjologicznego. Bo to nie naszym zadaniem jest zbieranie materiałów socjograficznych, a co gorsza, podawanie ich za literaturę piękną. Skończmy wreszcie z dyletantyzmem obserwacji jednostkowej i przypadkowej, ale skończmy i z kultem dla pamiątek chłopskich i całej literatury dokumentarnej jako najwłaściwszej formy literackiej w twórczości chłopów. Prof. Chałasiński nie po to zebrał plon największej na świecie ankiety w „Młodym pokoleniu chłopów“, aby po staremu powieściopisarz czy publicysta raczył układać powieść o wsi albo artykuł bądź to na podstawie wspomnień, bądź na podstawie przelotnej tylko czy dłuższej nawet, ale jednostkowej obserwacji. Właśnie to z okazji wstępowania naszej warstwy w kulturę narodową może być spełniony ideał poetyki postawionej niegdyś przez K. Irzykowskiego, jednego z największych krytyków polskich. Irzykowski mówił o trzech słoŃniach literatury: 1) o literaturze materiałowej, 2) walczącej, 3) spełniającej.

Dlaczego my, chłopscy pisarze, mielibyśmy zostać właśnie dzisiaj zawróceni do pierwszego stadium, które charakteryzuje folklorową prymitywną kulturę ludową czy dlatego tylko, że jeszcze wystarcza ona poszarpanymi szczątkami jak wykopaliskowy przeżytek? Podczas gdy w nowym ruchu wieś prze do postępu, do przemian, do wyższej i bardziej skomplikowanej roli w państwie.

Wiciarze przecież nie zdjęli ze swych sztandarów hasła „z żywymi naprzód trzeba iść“. Literatura dokumentu była zawsze wytworem mas. I dlatego chłop nauczony czytać i pisać dostarczył jej w ostatnim 20-leciu w tysiącach egzemplarzy. My ją cenimy niesłychanie, ale w innej funkcji.

Uważamy, że mijają czasy, kiedy jeden autor (jak Balzak) próbował dać obraz wielu środowisk o olbrzymiej galerii typów socjalnych i kiedy czytelnikowi wystarczało to dyletanckie przybliżenie rzeczywistości społecznej. Dziś pragniemy wiedzieć dokładniej i pewniej i pragniemy, aby o nas wiedziano równie ściśle.

Z nieznajomości rosną nieporozumienia, a sama nieznajomość jest już pewną formą lekceważenia. Społeczne wyniesienia naszej warstwy, jeśli ma się dziś urzeczywistnić — musi się wyrazić tak w poznaniu i zrozumieniu przez nas reszty narodu, jak w gruntownym poznaniu i zrozumieniu nas.

Sami dla siebie stajemy się dopiero zrozumiali poprzez dokumentarną literaturę mas chłopskich. Rzeczą uczonych, publicystów i pisarzy będzie ten materiał wyjaśniać i w oparciu o jego bogate — a uporządkowane i sprawdzone — treści projektować i przebudowywać, tym razem z większą gwarancją co do obiektywnej trafności w ocenie i wyborze środków.

Zdajemy sobie sprawę, że dalszy rozwój przemian społecznych na wsi i w całym społeczeństwie, postępu w technice i rolnictwie wpłynie na spotęgowanie kształcenia się młodzieży chłopskiej. I my pisarze będziemy na swój sposób przyspieszać i organizować te przemiany, ale i tu — po pierwsze — nie można nam wyznaczać roli dublującej bardziej powołane od nas czynniki, jak: partie polityczne, organizacje młodzieżowe, samą technikę przemysłową i rolną oraz organizacje zawodowe i spółdzielcze. Po drugie — niezrozumienie zadań pisarstwa chłopskiego na obecnym etapie dziejów wsi nie może nikogo upoważniać do żądania, abyśmy, zamiast stawać u czoła procesu przemian, zatrzymywali się na pozycji takiego np. wójta Słomki, który w granicach gminy obserwując przemiany społeczne dochodził do wniosków, że całe zło doli chłopskiej płynęło z karczmy, zaniku strojów i obrzędu, a poprawa na wsi z Kas Stefczyka, melioracji i wyprzedaży parcelowanych przez ziemian majątków. Te uwagi Słomki właśnie dlatego,

że wyrażały tylko cząstkowe spostrzeżenia i cząstkowe zrozumienie decydujących tu sił, prowadziły do błędów, sprzeczności i praktycznej bezradności.

Czas wreszcie w dobie współrzędów chłopskich na jakieś u pisarzy wsi narodowe, a nie powiatowe rozumienie rzeczy. Czas, aby obok polityków przodownikami duchowymi chłopów stali się wreszcie pisarze. Bo źle byłoby, gdyby podstawa programu politycznego — światopogląd, miał być nadal wójtowski tylko, a program zażywać narodowego uznania. W ten wigilijny wieczór nowej Polski pomyślmy o takich właśnie narodzinach pisarstwa i czytelnictwa chłopskiego.

\* \* \*

Moja „gawęda wigilijna“ odbiega dalece od „gawęd redaktorskich“ takiego np. Jantka z Bugaja. Kucharczyk zwał siebie „Jantkiem“ i wdziękzył się do czytelnika gwara ocierającą się o przedmieście — „jak byśmy chcieli to wszystko mieć w naszym pisemku, co ci recepciorze, japytkorze chcom to... dajmy se pyska, żeby nosów nie uszkodzić, wypijmy „brudesa“ kwarterką rycinusu...“

Można i tak, owszem, ale pod jednym warunkiem, że się nie pismo, ale pisemko wydaje, pisemko prowincjonalne i trzeba przyznać — Jantek z Bugaja nie inną rolę wyznaczał w długiej liście pism, gdzie redaktorował, nawet „Wsi i Jej Pieśni“. Stąd ta serdeczność odpustowa i zabawa w naiwne rangowanie pełne zmyłek, jak to na ludowym kiermaszu: witojciez kumie i wy kumie. Po równi Wrona i Kubiniec. Pierwszego upewniał Jantek, że „talent jest i to nie powszedni“, drugiego, że „talent macie nieplony“. Patronuje temu duch rzeczywiście literatury dla ludu, dla owych najnaiwniejszych czytelników sięgających w oszołomieniu odpustowym po zeszytik „Rinalda“ albo „Sowizdrzała“ ze straganu, dla tych kobiet, co to się tłumaczają: „ady mi kramarz gadał, że to Matka Boska Przytulająca“. Ta serdeczność jest wysoce szlachetna i wzruszająca. Chodzi o czytelnika, który ledwie czytać umie, ba, o takiego nawet, który nie umie, ale będzie słuchał. Stąd i główny tu pisarz to byłby nasz stary Stopczyk pod kuplety oberkowe układający, byłaby Woźna, na piosence wychowana, a wszyscy inni o tyle odpowiedni, o ileby coś pochwycili z turoniowych i szopkowych

obchodów po karczmach, gdzie wesoło, i po kądzielach, gdzie wzdychać, piosenek i bajd wiele.

To jest ta literatura i ten dla niej typ pisma, do której wiedzie droga jeszcze ze średniowiecza, droga ustnej tradycji — nie dokumentu, ale igrów i wzruszeń ludu zebranego w osób kilka albo i w ciżbę. Jeszcze jej żywym heroldem, jej wędrownym bardem był pod koniec XIX wieku Ferdynand Kuraś. — Kiedy w butach jego roboty paradowali i „gospodarz majątny i chałupnik chudobny i dziewczyna — córka posażna i sierotka biedna“, paradowały razem ze wsi do wsi opowiadane przez niego „różne historyjki, anegdoty i wiersze“, ale już jak sam powiada najczęściej z roczników „Dzwonka“ i „Chaty“ wycytane.

Tak się spotkały te dwie tradycje: wędrowna — ustna i pisemna — industrialna. — Jak opowiadał Olcha, przy organizowaniu „Wsi i Jej Pieśni“ chodziło się i po 80 km. Była to konieczność, ale i zarazem obrzęd. Bo i obrzęd póty trwa, póki jest konieczność. Dziesięć lat temu mieliśmy więc jeszcze coś z manifestowania się średniowiecznej ludowości. Nie była ona jednak naturalna, u Jantka z Bugaja widać już wyraźnie stylizatorstwo, podobnie — jak u Cierniaka — zachowywanie i ożywanie czegoś, co albo ginie, albo się przemienia.

Bo kiedy Kuraś wędrował z anegdotami w rodzaju „jak chłop pana wykiwał“ — był chłopem bez żadnych szkół, a miał w głowie ledwie kapitał książeczek Promyka dla ludu. I czasy nie odstawały wielce od tych, jakie wyraża przysłowie: „nie boję się pana ani ekonoma, odrobiłem pańskie, będę siedział doma“.

Przed 90 laty reprezentant ówczesnej chłopskiej arystokracji umysłowej, artysta, poeta, Jan Rak, zamawiacz bydła, pisał o sobie jako o „pisarzu ludowym“.

Ja tu na wsi wychowany  
Znam co bieda, chleb owsiany  
Znam głodowe, ciężkie lata,  
Mały krążek tego świata.

My dziś znajdujemy się w sytuacji, kiedy kilkadziesiąt tysięcy młodzieży wiejskiej przebywa w szkole średniej. Te kilkadziesiąt tysięcy przekroczyło „mały krążek świata“, prze-

kroczyły go tysiące działaczy społecznych i oświatowych, tysiące inteligentów chłopskiego pochodzenia do miast przeseregowane.

Głos Jantka z Bugaja sprzed 10 laty, zobowiązujący pisarzy chłopskich do twórczości wedle praw „małego krążka“ był ostatnim głosem, który dziś w gawędzie wigilijnej tylko jak echo przypomnieć się może.

Poeto, rozkochany w prymitywnym, naiwnym odruchu „na Bugaju pięknie grają, same nóżki podrygają“ — żegnamy Cię!

Właśnie weszła nowa uczennica. Ma 12 lat. Bosa dziewczynka o jasnych włosach i wielkich oczach, weszła na scenę polską, aby „podnieść kulturę ludową do kultury narodowej“. Weszliśmy i my, pisarze chłopscy, aby wspomóc i wzbogacić tych, poprzez których przede wszystkim lud będzie musiał zdać egzamin dziejowego momentu, a egzamin ten polega dziś nie na okazaniu ludowości przez lud, ale na osiągnięciu europejskości przez naród. Oto zadanie dla warstwy chłopskiej, dlatego być nam pisarzom trzeba u czoła tego procesu, a nie na Bugaju.

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

## MARZENIE O WIELKIEJ POWIEŚCI LUDOWEJ

(fragment).

Ankieta tygodnika „Wieś“: Jakiej powieści pragniemy — postawiła przed czytelnikami problem, który wielu nas w cichości gryzie; problem stworzenia wielkiej, nowej powieści. Utało się przekonanie, że pisarz więcej wie i więcej widzi, jak każdy inny, że dostrzega sprężyny poruszające mechanizmem naszych czasów i potrafi je opisać; że wreszcie powinien wypowiedzieć to wszystko, co niejako „wisi w powietrzu“, co wielu sobie uświadamia, a sformułować nie potrafi, i dopiero usłyszane czy napisane budzi naszą radość: artysta wyraził nasze doznania, objaśnił nasze czasy i pogodził nas z nimi. Wreszcie żyje pamięć okresu, w którym literatura była nauczycielem narodu, nieomal wytyczając zasady polityki polskiej; tak było w epoce Wieszców, — a i potem, Prus, Orzeszkowa, Żeromski, Sienkiewicz, utworzyli potężne sugestie wychowawcze, wśród których my dzisiaj, do nowego już pokolenia należący, obracamy się ze zdziwieniem...

Nic więc dziwnego, że w kraju, gdzie powieść odegrała tak wyjątkową i właściwie pozaliteracką rolę, że analogii szukać musielibyśmy aż w świętych księgach hebrajskich, które wszak nie tylko były beletrystyką, a także podręcznikiem życia narodowego, nic dziwnego, że trwa w nas marzenie o powieści „godnej naszych czasów“, a są to przecie czasy jednego z największych kataklizmów dziejowych, i zarazem wielkiego awansu społecznego ludu polskiego.

*Badanie „zamówienia społecznego“.*

Ale dowiedzieć się istotnej prawdy o zapotrzebowaniu czytelniczym, o „zamówieniu społecznym“ można tylko przez przeprowadzenie powszechnej ankiety, albo przez analizę doświadczeń czytelnictwa masowego. Zanim więc ankieta przyniesie wyniki, spróbujmy na podstawie dotychczas dostępnych, cząstkowych informacji, określić typ powieści, jaki miałby największe szanse, by zaspokoić ludowe potrzeby czytelnicze.

*Historia o szlachetnej hrabinie i przewrotnym lekarzu.*

Zdaje się, że najtrafniejszym będzie, gdy zaczniemy od zagadnienia najwęższego, i nawet celowo nasz problem strywalizujemy, uprościmy. Postąpimy z początku, jak owi amerykańscy autorowie książek o pisaniu dramatów, którzy zaczynają od pytania, w jaki sposób uzyskać sukces, i pod tym pretekstem dają gruntowną teorię dramatu. „Playwriting for profit“, czyli „Jak pisać sztuki, by dobrze zarobić?“

Zacznijmy więc: Jak pisać, by być czytany przez „lud“?

Jeden z autorów pamiętników, składających się na „Młode pokolenie chłopów“ Chałasińskiego, podaje rozmowę z wiejską dziewczyną, która mu opowiadała treść romansu, głęboko dla niej wzruszającego. Było to jedno z owych lichych, sentymtalno-sensacyjnych powieściadeł „z życia wyższych sfer towarzyskich“; treść mniej więcej była następująca. Powieść zaczynała się obrazem szczęśliwego życia małżeńskiej pary arystokratycznej; hrabia i hrabina pędzą dni pośród przyjaciół, ogrodów, i wzajemnej miłości. Ale lekarz, czarny charakter, zakochany w hrabinie, usiłuje zniszczyć to szczęście. Za pomocą donosów, sfałszowanych dokumentów i zręcznie rzucanych podejrzeń, podkopuje zaufanie męża do żony, ją samą zaś szantażuje. Jednak szlachetna hrabina nie daje się zachwiać; wtedy nikczemnik mści się straszliwie — truje jej męża, i nad świeżym trupem oświadcza jej, że nie jest już panią zamku. Istotnie, za pomocą podstępnych machinacji, zamek po śmierci hrabiego przechodzi na własność lekarza. Ale hrabina nie ulega, udaje się na nędzę i poniewierkę, — pracuje... oddaje zarobek ubogim... mijają lata. Wybucho wojna; hrabina jest siostrą miłosierdzia w lazarecie. Pewnego dnia jesiennego wicher ude-



rza w szyby i deszcz jednostajnie pluszcze; przynoszą nowego rannego, — hrabina poznaje w nim — swojego męża! Nie był otruty, ale przekonany o wiarołomności żony opuścił dom, zniechęcony do życia, i służył w wojsku. Teraz wszystko sobie wybaczą wśród strumieni łez. Ale ktoś puka do drzwi: to zebrał o straszliwie wynędzniałej twarzy, dogorywający z głodu i ze złości. Hrabina i hrabia rozpoznaje w nim podłego lekarza, który stracił wszystko co podstępnie zdobył.

Ta historia, do niczego w życiu niepodobna, musiała rozśmieszyć autora pamiętnika; z drugiej znów strony zdziwiło go, dlaczego zdrowa i inteligentna dziewczyna znajduje przyjemność w tak nieprawdopodobnej lekturze. Wyjaśniła mu to sama: „Proszę pana, ta powieść zawiera dla nas naukę; by być wytrwałym, nie dać się załamać, nie tracić cierpliwości“.

Niewątpliwie mamy do czynienia w tym przykładzie z typowym utworem, i z typową na niego reakcją. Spróbujmy określić jego podstawowe cechy:

1. Sensacyjność. Punktem kulminacyjnym lub węzłem dramatycznym jest śmierć, gwałt, porwanie, lub inne zdarzenie działające na wyobraźnię.
2. Melodramatyczność fabuły. Nieprawdopodobne spotkania rozdzielonych losem członków rodziny, wzruszająca historia nieszczęśliwych kochanków, perypetie niespodziewanych powrotów itd.
3. Sentymentalizm. Uczuciowość dialogów, sytuacji, postaci.
4. Tendencja moralizująca: dobro bywa z reguły nagrodzone, nikczemnicy ponoszą karę, sprawiedliwość zwycięża.
5. Akcja odbywa się w górujących sferach społecznych.
6. Brak humoru. (Komizm tych naiwnych utworów, jest bezwiedny, nie odczuwa go czytelnik dla którego powieść jest przeznaczona).

#### *Dwa błędy literackie.*

Ten streszczony w sześciu punktach schemat jest jednym z najtrwalszych szablonów literackich. Wydaje się on niezniszczalny. Te sześć niezmiennych cech, wykrywamy zarówno w średniowiecznych opowiastkach moralnych z życia rodziny

królewskich, do dziś sprzedawanych na jarmarkach, co w anonimowych bajkach i gadkach. Nic więc dziwnego, że przed pisarzem, pragnącym przemawiać do masowego słuchacza, wyłania się pokusa, by z tej sztampy skorzystać.

I w tym oto miejscu zaczyna się nasze zagadnienie: czy schemat daje się podrobić i czy w ogóle warto go podrabiać? Autorowie, którzy podjęli ten ciekawy wysiłek, przeważnie ponieśli klęskę. Żeby zanalizować jej przyczyny, podzielmy pisarzy tego rodzaju na dwa typy; będzie to uproszczenie nieco naciągnięte, ale pozwalające nam dostrzec dwie zasadnicze pomyłki literackie.

### *1 Typ: Powieść umoralniająca „dla ludu“.*

Pierwszy typ takiej literatury ma źródło w rozumowaniu podobnym do tego, jakie stało u narodzin powieści dla młodzieży. Ponieważ młodzież pasjonuje się przygodami, trzeba pisząc dla niej wpleść w romans awanturniczny element szlachetnego charakteru, uczciwości, patriotyzmu itd.

Ale to założenie, z sukcesem rozwijane na terenie powieści dla młodzieży, w płaszczyźnie kultury ludowej dało fatalne skutki. Nie płynęło to z przyczyn literackich, — raczej ze społecznych. Autorowie pochodzili ze środowisk inteligenckich, — i stąd nie potrafili docenić jednego z najistotniejszych motywów powodzenia „powieści ludowej“. Fakt, że bohaterami są królowie, książęta, lub postaci „z wyższych sfer towarzyskich“, ma podwójne znaczenie: po pierwsze, dowodzi, że klęski życiowe spadają również na osoby umieszczone na szczycie piramidy społecznej, po drugie, stanowi wzór „lepszego życia“, do którego przygotowuje się czytelnik, obciążony poczuciem niższości socjalnej. Autor taki jak Anczyc czy Lubomirska, uważał za niewłaściwe ukazywać chłopu „lepsze życie“; pochodziło to ze szlachetnej zresztą obawy, by nie podkreślać niższego stanowiska życiowego ludowego czytelnika, nie przechwalać się przed nim stopą życiową, budzącą zazdrość i gorycz.

Ta niewczesna delikatność, dowodząca niezrozumienia sił nurtujących środowisko ludowe, doprowadziła do powstania szeregu utworów, które dziś mają znaczenie już tylko historyczne lub humorystyczne. Nigdy chyba najlepsza wola nie

wydała tak nieszczerých owoców. W owych umoralniających opowiastkach chłop traktowany jest jak duże dziecko, niezdolne zrozumieć prawdziwego obrazu życia, — daje mu się więc obraz nienaturalny, zafałszowany, cukierkowaty. Akcja przeniesiona jest w środowisko ludowe, na temat jego słodczy i szczęśliwych warunków, jakie tu sobie można stworzyć, gdy się jest bogobojnym kmiotkiem, autorowie pieją pocieszne hymny, co jest zrozumiałe u ludzi z innego środowiska, marzących o sielance wiejskiej. Chłopski działacze uważali tę twórczość za obelgę, rodzaj kulturalnej jałmużny, traktującej dorosłego człowieka w sposób głupkowato-infantylny. Hasło „chłop nie chce malowanek ancycowskich, bo jest warty dobrej sztuki, jak każdy inny obywatel“, hasło sprowokowane ową właśnie „moralną“ produkcją, było jednym z punktów programu Jędrzeja Cierniaka, wytrwale powtarzany przez 26 roczników „Teatru Ludowego“.

## *2 Typ: Powieść ludowa jako sztuczna forma artystyczna.*

Wprowadzenie w ludowej powieści bohaterów-hrabiów było wyrazem marzenia o dobrym życiu; czytelnik nie żywił nienawiści do tych bohaterów. Przeciwnie, uważał się za kandydata na pana; ta lektura była wyrazem chęci podnoszenia się. Na razie — osobistej chęci pojedynczego czytelnika. Inaczej będzie, gdy cała klasa chłopska spróbuje się wydzwignąć — ale o tym za chwilę.

Jednak tak samo, jak chłop nie chciał czytać opowiastek o Maćkach i Kubach, a wypominanie mu gwary, uważał za bolesne żarty z jego niewykształcenia, podobnie artysta mieszczański tęsknił za środowiskiem krańcowo różnym od swojego. W okresie rozkładu mieszczańskiej literatury, która poszukując nowych dreszczów i sublimacji, zwróciła się do form konwencjonalnych, sztucznych, gdy schematyczną i nieprawdopodobną farsę zaczęto cenić więcej niż komedię, która dawała wierny obraz życia, gdy zwrócono się do melodramatu, zastępującego życie sentymentalną i fantastyczną nierealnością, — wtedy i dla banałów „powieści ludowej“ nabrano nowego smaku. Ale była to zabawa wyrafinowanych intelektów twórczych.

W rewolucyjnej „Operze za trzy grosze“ Brechta, posługaczka śpiewa o swych najskrytszych marzeniach. Pewnego dnia do portu zawinie „okręt o siedmiu żaglach i czterdziestu armatach“. Na miasto padną pociski, i piraci rzucają się na tych, którym wczoraj jeszcze posługaczka „ścieliła łóżka w numerach i zmywała kufle“.

„W południe z okrętu piratów stu  
Wysiądzie i zbliży się skrycie,  
I rzucają się na was, jak na swój łup,  
W kajdanach przywloką do moich stóp  
I spytają, czy daruję komu życie?  
Cisza będzie w porcie w biały dzień,  
Kiedy zapytają mnie, kto z was umrzeć ma.  
Wtenczas krzyknę głośno mą odpowiedź: „Wszyscy!“  
A kiedy głowy będą spadać, powiem: „Hoppla!“  
Potem okręt o siedmiu żaglach  
I czterdziestu armatach  
Zabierze mnie w dal“.

W ten sposób zemsta ludu wygląda w oczach mieszczaucha śpiącego pod pierzyną i wyobrażającego sobie, że zazdrosna służąca w kuchni knuje przeciwko niemu zbrodnię. Jest to ton w pieśni i literaturze ludowej obcy. Nie tak wygląda rewolucyjność ludowa! Ktoś, kto chciałby ułożyć antologię „chłopskiej poezji buntu“, rychło musiałby zrezygnować z zamiaru. Gdy przeglądamy tomy „Pamiętników bezrobotnych“, uderza brak akcentów przewrotu, które wszak wydawałyby się koniecznym uzupełnieniem tych przejmujących opisów nędzy i poniżenia... Tymczasem, jako propozycja rozwiązania, czy zaradzenia złemu, występuje — wezwanie do uczonych, pisarzy, techników, by nie bezrobotnych, a całą już ludzkość ratowali, wezwanie do przetrwania i cierpliwości — to samo hasło, które z powieści o szlachetnej hrabinie wyczytała wiejska dziewczyna.

#### *Literatura podnoszącej się klasy.*

Problem nasz wygląda tak.

Istnieje popularny schemat „powieści ludowej“. Były próby wykorzystania go dla celów pedagogicznych i artystycznych. Obydwie nieudane z punktu widzenia społecznego. Pisarz „pedagogiczny“ usunął charakterystyczne środowisko wyższej

sfery, do której czytelnik ludowy dąży, i dał ckliwe, nieszczerze, dziecinne artystycznie romansidło. Pisarz „artystyczny“, sam będąc produktem wyrafinowanej kultury mieszczańskiej, szukał w schemacie „powieści ludowej“ estetycznych rozwiązań, smacznych w sferze z której wyszedł; gdy chciał pokazać rewolucyjne dążenia ludowe, popadał w przesadę i krzykliwość, obcą ludowemu parciu wzwyż.

A oto pytanie, które stawiamy:

Czy w warunkach, jakie dziś tworzy sobie lud polski, ów „schemat powieści ludowej“ będzie żywy? czy może być wykorzystany? I w jaki sposób?

Otóż nie będziemy mogli odpowiedzieć, jeśli nie określimy który z sześciu punktów ustalonego poprzednio schematu jest głównym i decydującym?

Jasne jest np., że punkt „akcja w górujących sferach społecznych“ stał się zdecydowanie nieaktualny, — choć tak ważnym się okazał w czasach Anczyca. Ale wtedy owe „sfery“ były wzorem życia, — życia, do którego podnosili się nieliczni z ludu, ci właśnie, którzy wtedy czytali. Dziś podnosi się cała klasa ludowa. I tak się składa, że mamy w historii analogię, która nam wiele może wyjaśnić. Przecież schemat „powieści ludowej“ był kiedyś schematem popularnym wśród... mieszczan. I był to okres, gdy mieszczenie, podobnie jak dziś lud, podnosili się do roli klasy panującej. Posłuchajmy.

#### *Opowieści z angielskiej książki.*

Opowieść pierwsza. W słotny dzień grudniowy ubogi staruszek stał pod drzewem w parku publicznym; ale do czapki, którą trzymał w rękę, padał tylko deszcz ze śniegiem. Przechodził mężczyzna w pięknym futrze, niosąc spore pudło; gdy zobaczył ubogiego, zapytał go skąd pochodzi. Starzec opowiedział mu swoje smutne dzieje; był to farmer, którego podstępny dzierżawca wyzuł ze skromnego mająteczku, po śmierci syna na wojnie. Nieznajomy wzruszony opowiadaniem, wydobyl z pudła skrzypce i zaczął grać. Był to wielki artysta, i wkrótce, mimo złej pogody, zgromadził się tłum słuchaczy. Rozległy się entuzjastyczne okrzyki i oklaski, ale muzyk przerwał gromkim głosem: „Nie mnie dziękujcie, a temu tutaj biedakowi,

któremu pomóc jest waszym świętym obowiązkiem!“ Czapka żebraka w mig napełniła się pieniędzmi, a jego oczy łzami.

Opowieść druga. W słotny dzień (jest to nieodzowny rekwizyt) starszy wytworny pan, elegancko ubrany, kupił gazetę u chłopczyka, który z zimna przestępował z nogi na nogę. Chłopiec nie miał jednak reszty z funta, — zapytał gdzie pan mieszka, i przyrzekł mu wkrótce przynieść. Dżentelmen udał się do domu, mocno powątpiewając czy zobaczy resztę ze swego funta. Istotnie, minęło parę godzin, i nikt się nie zjawił. Wtem zadzwoniono. Na progu stał chłopczyk, prawie dziecko, zapłakany, i wręczył panu resztę z funta co do pensa. Ale był to inny chłopiec, i dżentelmen spytał go czemu płacze. „Bo mój braciszek, który panu sprzedał gazetę, biegnąc z resztą wpadł pod tramwaj, i musiał mnie przysłać“. Wzruszony tą uczciwością dżentelmen udał się natychmiast do suteryny, w której mieszkał gazeciarz z chorą matką, i zaopiekował się rodziną, tak że nigdy im nic nie zbywało.

Te i podobne tematy powtarzają się w czytankach, nowelach, motywach popularno-literackich, wreszcie najwyższą apoteozę uzyskują w twórczości Dickensa, który cały ten świat naiwnej mieszczańskiej moralności, z jej sympatią do człowieka, z jej liberalną etyką i dobroduszością, która każdemu wybacza, każdemu czarnemu charakterowi pozwala się nawrócić, a cnotę zawsze nagradza — przeniósł do wieczności. Minęły lata, — wystąpił nowy konkurent: proletariat, klasa mieszczańska ze zwycięskiej stała się atakowaną — i wtedy Dickens okazał się bajzerm kłamliwym, ukrywającym prawdę o społecznym cierpieniu... wtedy wyemancypowani ze swojej klasy mieszczańscy krytycy, przemawiając w interesie nowej nadchodzącej klasy, wytknęli Dickensowi tani sentymentalizm, karykaturalność, obłudę społeczną, sami zaś upatrywali przyszłość literatury w „powieści ludowej...“

*Obsesja moralna jako główna cecha podnoszącej się klasy.*

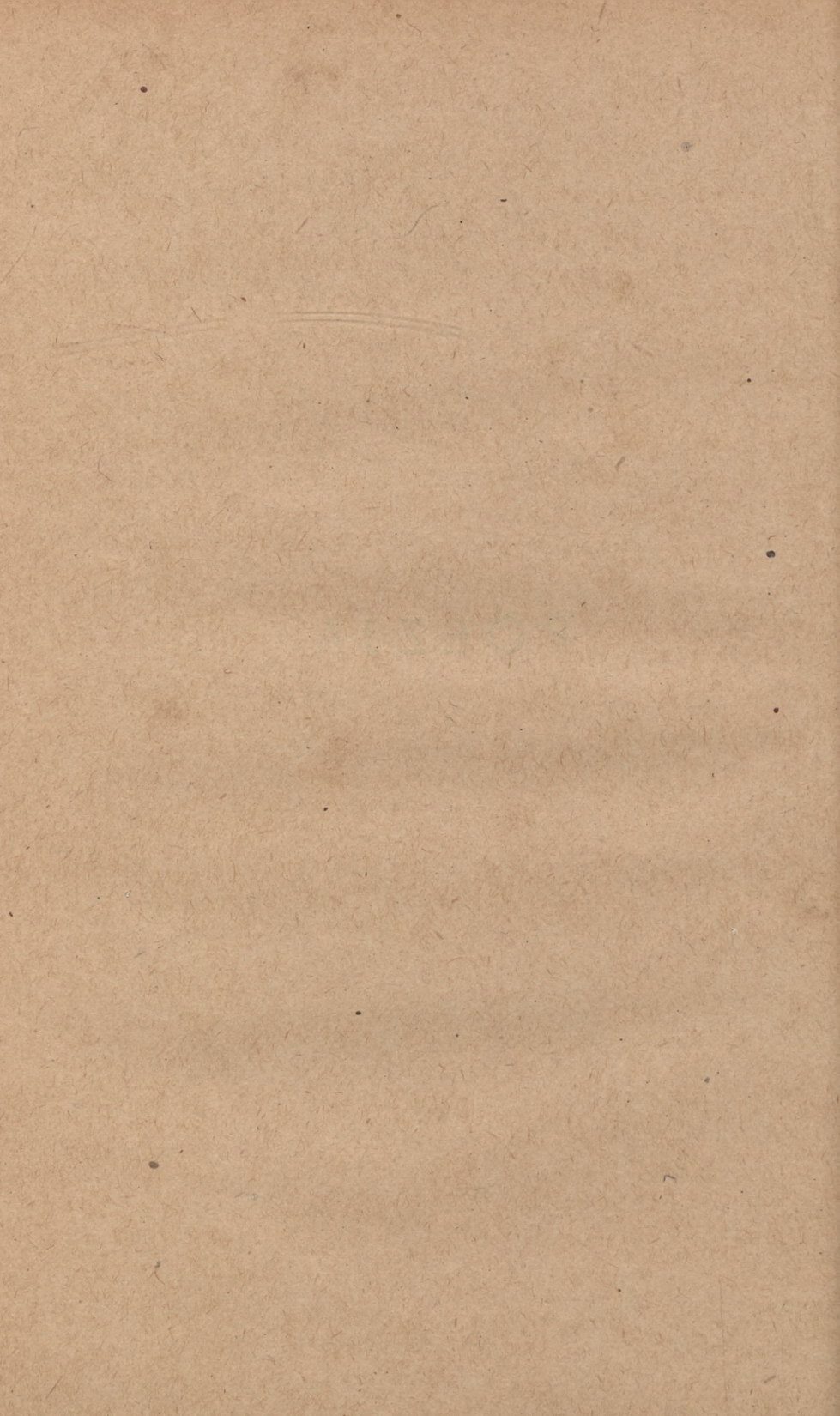
Odpowiedź na nasze pytanie zwolna staje się jasną. Odpadną może rozmaite cechy drugorzędne „powieści ludowej“: środowisko „wyższych sfer“, melodramat, sensacja, ale pozostanie zawsze, jako najistotniejsze znamię: moralna tendencja

dydaktyczna, typowa dla literatury podnoszącej się klasy. Koniński powtarza za badaczami czytelnictwa wiejskiego czego chce czytelnik ludowy: żywej treści, „tak, żeby przy czytaniu płynęły łzy z oczu“, wiele serdeczności, ognistej wymowy, bogatej, ale prostej obrazowości, idealnego realizmu (by postaci chłopów były prawdziwe lecz dodatnie, nie chcą Bigdy i Deczyńskiego z „Kordiana i chama“, bo typy ujemne, „niepatriotyczne“). Ale wymogi te mają znaczenie drugorzędne wobec faktu, że osiã czytelnictwa na wsi jest książka nabożna“. I to nie dlatego, by wśród ludu naszego było tylu szczerých katolików; jest to zjawisko podobne co u angielskich purytanów: książka nabożna daje jednolity systemat moralny. Rewolucyjność ludowa nie zawiera elementów anarchicznych, które przypisywali jej artyści klasy mieszczańskiej, wyobrażając ją sobie jako krzykliwość i mściwą. Opanowana jest ona tendencją do stabilizacji, instynktem mieszczaństwa, wysiłkiem wspięcia się do stanu życia klas najwyższych w społeczeństwie. Osiągnięcie tego stanu ma się dokonać przez kształcenie się i doskonalenie w ramach pewnego ideału wychowawczego. Nie jest przypadkowe, że Uniwersytety Ludowe i „Wici“ ogarnięte są manią „duchowego doskonalenia się jednostki“, co spotyka się z zarzutami tych, którzy pragnęliby widzieć w młodym pokoleniu chłopskim więcej impetu rewolucyjnego, wigoru społecznego, zainteresowania nie tylko dla „kształcenia duszy“, ale i dla przebiegów socjalnych dokoła. Jednak i tamto jest swoistą rewolucyjnością. Zbyt ona przypomina mieszczańską podobną ewolucję, i niewiele ma szans na stworzenie nowej, innej sztuki; jednak ten etap, przejściowy niewątpliwie, wydaje się koniecznością dziejową. Upewnia nas o tym podobny przebieg ewolucji we Francji, w ZSRR; nikt nie potrafi zapobiec temu, że czasy, które nadchodzą, będą znamionować się w sztuce ludowej etyczną obsesją podnoszącej się klasy chłopskiej.





POEZJA



# I. POEZJA TWORZĄCA

---

JAN BARANOWICZ

## PIEŚŃ OSADNIKÓW

O suknie Twoje nie rzucalim kości,  
Polsko — Golgoto, oracze pól czczych.  
Więc w wrota dworów, rozwarte na oścież,  
z Bogurodzicą wejdziem w skrzypie szprych.

Obozem zagrzmi ekonomski folwark,  
Strach — karzeł zamku palce wplecie w włos.  
Bóg nas nie zdradzi. Wolą od wsi porwał,  
w ślep piachem rzygnął, podniósł chrzyzmem kos.

To werbel — słyszcie żywi. Gdy nie przeżarł  
go proch — niech słuca senny zmarłych ront.  
Wichr w pańskim parku szumi poloneza  
chamom, co w grzebną garść ujmują rząd.

Churgocą doby, sapiąc jak traktory,  
niedokarmione, opuchłe od żądz.  
E — hej — wyteżaj duch! — Na nowe tory,  
harówkę świętej orki trza nam wprząc.

Maszty stóp bosych pod flagą niebiosów.  
Pył dziejów — pługiem wypruty znad szkarp.  
O Ojcowizno! — oto sięgam głosu: —  
dziś wielkość twoją prowadzim na start — —

## MIEDZE

Na początku łąn przestrzeniał  
i samotnie człowiek kłękał.  
Człowiek siał się w pokolenia.  
Łan na łąny porozpękał.

Tak się zrodził mus złolicy  
 wytyczać miedz żywopłoty.  
 I owsy jak w szachownicy  
 rosną sobie w działce złotej.

Miedze pachną jaskrów rują,  
 bożym zieleń, dzikim ślazem.  
 Tutaj odpokutowują  
 cienie dziadów, urok zmyją.

Tu ożyna się pożywi  
 i sierp rżnie chwast do udoju.  
 Tu pasterz na kolor śliwy  
 skwarem farbuję twarz swoją.

Niepisany gminy prawem  
 jest śródpolna miedza wąska —  
 te na czole niw chropawem  
 wdzięku dziewczęca przewiązka.

W miedzę wżarł się pniak grubaśny  
 starej gruszy o stu dziupłach —  
 gdzie mi wiaterek zgiełczał baśnie  
 ledwom z spódnicy się wysupłał.

## JABŁONIE

Pamiętam — chyba bym postradał  
 pamięć — by zimno od nich odejść: —  
 w białym ogrodzie mego dziada  
 honorny zajmowały środek.

Jedną się niosła nad obórką,  
 nigdy w płodności nieosłabła.  
 I ledwo dziad przyzwolenie burknął,  
 strząsałem z niej czerwone jabłka.

Dwie — winnym sokiem w złotej skórcie  
 rzeźwiły spierzchłe trudem usta.  
 A pachły niby kosz nasturcji,  
 kiedyś je w kieszeń sypał pustą.

Znała je wieś. Nocni złodzieje  
 nie jeden raz w sad z worem zaszli.  
 I wicher je znał — gdy jak wierzeje  
 wierzchami szlak mu w świat zatrzasły.

Nie ma ich dzisiaj. Nie ma dziada,  
 wszyscy na uwiąd starczy zmarli.  
 W miejscu, gdzie stały, zięć powsadzał  
 jakieś odmieńce — szczepy - karły.

Daremno sercem w sad się wspinam,  
 gdy do rodzinnych zajrzę kątów —  
 niby kraj strachów i olbrzymów  
 odeszły z mego horyzontu.

STANISŁAW CZERNIK

## W ZIELONEJ SZKOLE

### 1.

Od chwiejnych kroków pierwszozny  
 Uczyli chłopców mądry czarodzieje  
 W zielonej szkole:  
 Jak ważne jest polskie pole,  
 Jak z pola powstają dzieje,  
 Jak mało dziejom ojczyzny.  
 Przez łąny młodego owsa  
 Szła lekcja wiosennie rośna  
 Ku pagórkowi pod niebem.  
 Tam wzgórze poprzez wierzb siedem  
 Śmigami kołowacieje:  
 Gorący w burzy i wiatrach  
 Miele odwieczną nadzieję  
 Podniebny polski wiatrak.  
 Ojcowskiej wiedzy młynarze,  
 Śmig górnych białoksiężnicy,  
 Uczyli marzeń:  
 Śpiewnych i miękkich, jak łabędź i łąka:  
 Niech rośnie codzienna mąka  
 Dla braci i ojcowizny,  
 Dla całej okolicy.

Ta lekcja śmig czarodziejska  
 Ludową mądrość przeliczy  
 W narodu hymn gospodarczy:  
 Białej mąki i czystej polszczyzny  
 Dla wszystkich starczy.

## 2.

Chodzili chłopcy-uczniowie  
 Przestrzałem między dwa żyta  
 Na miedzę marzycielską.  
 W zielonej szkoly korytarz:  
 Na miedzy rośło czarodziejskie zielsko,  
 Co chorym wracało zdrowie.  
 Prawdę uczniowską, rzecz nauczycielską  
 Potwierdzą zajęczkowie:  
 Niełatwo uczyć się leczniczych czarów.  
 Znaleziony we krwi pod rosą  
 Szaraczek pocięty kosą  
 Nie wyzdrowiał od zielnych wywarów.  
 Lecz dziwów lekarskich miedza,  
 Jak tajna kusiła wiedza.  
 Szukajcie: znajdziecie parów,  
 W parowie cudowne zielsko.  
 Uczyli długo mądrzy czarodzieje  
 W zielonej szkole lekarskiej polszczyzny,  
 Aż ją poznali uparci uczniowie:  
 Szukajmy — jest takie ziele,  
 Przez które świat wyzdrowieje,  
 Nabierze takiej zdrowizny,  
 Jak samo zdrowie.

## 3.

Chłopcy zielonej szkoly,  
 Którzy leczyli zajęczka,  
 Wyrwanego spomiędzy kos,  
 W innym bohaterstw dniu  
 Uczyli się walczyć przeciw złu,  
 I szli z bronią w rączkach  
 Na twierdzą os.  
 W kolczaste jeżyn pułapki,  
 Jak w zasiak wojennych drutów,  
 Ku osim zamkom z popielatej papki  
 Darł się bohater bez butów.  
 Na grodzisk mury podziemne  
 W otoku stwardniałej gliny,  
 Na jądów ludy nikczemne  
 Niosły zawzięte rączyny  
 Żelaza ojcowskich skłutów  
 I ogrodowe grabki.

Ścigani kaśliwym rojem  
 Walczyli jak czarodzieje.  
 Niezłomnie i z uporem  
 Chwyтали rany i blizny.  
 Uroczysk i jarów dzieje  
 Tę rzecz bitewną potwierdzą.  
 Była to lekcja walecznej polszczyzny,  
 Szkoła stuletnich wojen  
 Z szatańską twierdzą.

## 4.

Ze wszystkich szkół czarodziejstwa  
 Najmilszą była uczelnia,  
 Gdzie pośród wolnego zielska  
 Dziki rumianek zapomniał o pługu,  
 Od marzeń nieśmiertelnością.  
 Tam najstynniejszy z alchemii,  
 Profesor ugór  
 Nauczał o skarbach ziemi.  
 Któż mądrość roli ogarnie?  
 Chyba słowiki  
 Wgnieżdżone w kwitnące zboże.  
 Niegdyś się palił złota pełen garniec  
 W głębinach bruzd na ugorze.  
 Widzieli pożar w upalne południe  
 Uczniowie czarnoksiężniki.  
 Daremnie szukać: zapadł w mroczne studnie  
 Przedwiecznych pieniędzy kocioł.  
 Pług potem alchemiczny ugór w bruzdy pociął  
 I skarb odnaleźć było coraz trudniej.  
 Lecz coś zostało: w podziemiach lub chmurach.  
 Poznali chłopcy ugorem uczeni,  
 Kiedy następnej jesieni  
 Najwspanialszy cukrowy burak  
 W miejscu złotego rozwalil się kotła.

## 5.

Gdy się widziało potem tyle  
 Wojennych i zamorskich szkół,  
 I uniwersytet siwizny,  
 I akademię na mogile,  
 Trzeba powiedzieć — bo czas już:

W najlepszej szkole polszczyzny  
 Było jej tylko pół.  
 Znikała wciąż, jak złota kocioł,  
 Jak nieuchwytnie widmo ziół,  
 Burakiem stała się lub kłocią  
 I uciekała z ojcowizny.  
 I wciąż nie było dla niej szkół,  
 Ktoś zawsze ją na części pociął,  
 Częstkami kryła się przy miedzy,  
 Nigdy jak wiedza, wciąż pół wiedzy.

Niechże powiedzą uczniom czarodzieje,  
 Że pełna szkoła wreszcie ich utrudzi,  
 I zaczną się polszczyzny dzieje  
 Nie wśród dziczyzny zbierać, lecz wśród ludzi.

#### ZADUMA NAD RUINAMI MIAST RZYMSKICH NA PUSTYNI

Kaktusy i agawy  
 Z różowych schodzą pół  
 Na różawe półka,  
 Jak w rozproszoną czerwień sławy.

Czasem dojrzałej figi kulka  
 Przez rozwalony skoczy mur  
 W zielony jęczmień, —  
 Jakby się dawna katapulta  
 W ten sposób przypomniała wdzięcznie

Pod trzon kolumny róża żółta  
 Podsuwa miętko i drapieźnie  
 Nerozwinięte główki.

W oplotach dzikich róż różarni  
 Chronią się jeży dzikie jeźnie,  
 A królik z dzikiej królikarni  
 Bawi się z kolumnami w słupki.

I to jest wszystko: biblioteka,  
 Greckich i rzymskich ksiąg czytelnia.  
 Kamienna ława na coś czeka,  
 Bardziej niż księga nieśmiertelna  
 I trwalsza od człowieka.



Jedyny pisarz — ruin jeż  
 Nastawia pióra rylców próżno.  
 Lecz może kiedyś jeża wiersz  
 Napełni bibliotekę próżną.  
 Przyjdzie czytelnik — ruin królik,  
 Ożywi się kamienna ława:  
 Znow poetycka wraca sława.  
 Tymczasem ciągle wieków głązy  
 Przenosi ktoś na grzbietach mulich  
 Lub z gór na góry nosi ręcznie,  
 Jak drogocenne wazy.  
 I tak się jakoś życie dłuży:  
 Co rok drapieźnie wzbija jęczmień  
 Pod słońce wąs swój duży.

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

#### OJCU i MATCE

Dwie dłonie.  
 Dwoje dłoni. Dwoje rąk:  
 tym grubym na polu grał wiatr,  
 tym wątłym przynosiłem kwiecica z łąk.

Dwoje rąk, cztery ręce:  
 twoje z siwymi pręgami rzeźbiła ziemia,  
 te wątłe, te drobne, kobiece  
 od świtu do nocy umiały zabiegać.

Te dłonie, te ręce, tyle rąk  
 zadrzewionych w młodość trudną.  
 Ręce błogosławione, ręce dobre! Rok  
 za rokiem piękniejsze, na dziś, na znój, na jutro.

#### MŁODOŚĆ CÓRKI ROS

Spod tych lip mojego rana,  
 z szumu traw moja młoda —  
 ojczyźniana, jak zagroda,  
 wiatrem chłodnym przywiana.

Tylko domków czerwonych więcej,  
 ten sam na południe dzwonem głos.  
 Błogosław domkom, jeśliś święty,  
 urodzonej w zły czas mojej córeczce ros.

Już krwawnika biały baldachim  
liść owija jak rdza —  
a ty mi ciszy dłoni niby dzbanuszek nachyli  
z jesieni błękitnego szkła.

Niechaj ci koralików natrzęsą jarzębiny,  
polne głogi, niech sznureczek uwija.  
— Oj, były ci to, oj były  
zaślubiny mojej córeczki z lilią.

Jej rączki jak listki szeleściły,  
czajki na skrzydełkach jej nie uniosą.  
— Oj, były ci to, oj były,  
zaślubiny mojej córeczki z rosą.

### ŚWIĘCENIE WODY

Jadą drogą. Kurz. Wozów skrzyp.  
Wozy jadą. Drogi. Drzewa.  
Słońce blaszkami srebra pada i śpiewa.  
Wiatr ustał. Niebo.  
Opada błękitne w jezioro. Lśni.

Jaskółki górą. Czy to na burzę znak?  
Swary wróbli przed płotem ogrodu.  
Słońce u strumienia pije wodę: Ptak.  
Od pół zaniosło, jak urwaną gałązką miodu.

Gdy opadnie w gałęzie biały obłok,  
odlecą zaraz z brzoź dzwońce.  
Kukułki ściszone słowo  
Słońce:  
Garstka cienia, złoty otok.

Południem płoną upału chusty,  
trzask żyta, łamanie słomek,  
pogody polnej błękitny domek —  
wiatr ustał.  
A kiedy niebo na jezioro zlatuje siną łątką,  
Święty Jan poświęci wodę —  
uchodzisz w upale prastowiańska Połako łąką.

— Chmurko nawiana!  
Daj kroplę deszczu wilgom, gdy czerwiec omdlewa  
gałązki młode.

## DO LASU

Zagraj na gałązkach,  
jodłowo zaszum  
piosenko wąska,  
garstko leśnego czasu.

Zółtego sternala gwizdek  
ciągnie chłodem z zarośli,  
jacy wy jesteście dorośli:  
drzewo, łodyga, krzewy, listek.

Zimą w sypany pod okno poślad  
zlatywały dzwońce i zięby,  
teraz im szumią zarośla;  
brzozy, leszczyny, buki, dęby.

Graj na młodych gałązkach,  
gdy w zagajniku leśny leśniak klaska!  
Konary słońcem przetkaj i prześwieć,  
chłodu, gałązki cienia, użycz leśny lesie!

## SIWE KONIE

Za wystawą „sklepową“, trumienki  
na kształt mojej lirenki;  
ta sosnowa,  
ta modrzewiowa,  
ta zdrowa, dębowo dzwoni —  
tylko jednej tu nie ma; wierzbowej trumienki.

Odjeżdżali ze wsi jak mogli,  
lecz zawsze tłumnie się wieźli;  
ci karawanem, ci na wozie,  
ci przy płaczącym narodzie,  
drogami, po kamykach, po roli  
stukwały trumienki cieśli.

Tylko jednej, wierzbowej,  
z szumu utkanej,  
nie wystawili przed się  
jesiennym ranem.

Zajechali. Białe konie. Białe koła.  
 Białą wóz...  
 Gubili słowa. Łzy.  
 A tu za nimi —  
 drogami szedł za nimi i wołał  
 wierzbowy smutek brzóz.

## OPADANIE SZYSZEK

Cisza żywiczna.  
 Gałązki cienia.  
 Co rano to się odmienia;  
 leśna, rzeczna, pszeniczna.

Krowy poszły w las.  
 Uwieszony u szyi dzwonku, dzwoń ciszej.  
 Muzyka pszczoł i znoju; czas.  
 Opadanie, jak śpiew maleńkich szyszek.

Szum kamyków. Szum leśnej wody.  
 Leśnego ustronia chwila.  
 Skrzydła motyla.  
 Pod wieczór na spław ze wzgórz toczą się żywiczne kłody.

A już czas w malinowym lesie przygasał  
 i niesie chłód, woń grzybów, mchu zieleni.  
 Rzeki błyszcząca szyba.  
 Śpiew traw.  
 I tak już, jak na odejście lata, muzyki za wiele.

Gdy ruszają wiatraki, piszę ci — zostań!  
 Będę grał, jak wiatr, na zerwanym brzozy listku;  
 Dla ciebie wszystko;  
 złamane przęsło mostu,  
 korale jarzębin,  
 krzak ostu.

W czas opadania szyszek,  
 w czas dojrzewania jabłoni,  
 w jakim krajobrazie szukać, by ciebie usłyszeć!  
 Lesie złotorodny! Kalino!  
 Dziewczyno daleka od smutków posiwiła na skroni.

## MOWO OJCZYSTA

O rozległa moja mowo ojczysta;  
 niby miedze rumianku,  
 niby oddech poranku,  
 niby rosy drżącej lza najcichsza.

O rozległe, żytnie pole;  
 a tu ździebełka się kruszą,  
 a tu zawładnął mi duszą,  
 śliwiny cień przy stodole.

O ręce, ręce mojej wieśniaczki-matki;  
 jakby chustą trzepotała siwą,  
 jakby zapachniało niwą —  
 buraczany ogród kołysze się w wietrze u sąsiadki.

O, ty mnie słowem najcichszym uczisz,  
 o czarnoleska, jak starego pod lipą Jana —  
 mowo moja, żytem kołysana,  
 Ojczyznę śpiewną z modlitwy i kwilenia czajek wróc mi.

1944.

## NA NOWO

Ulica rozkopana — a po bokach tylko dudnienie;  
 to drogę do Kosiny kamieniują kamieniem.

Od samego rana trąbki aut, szum motorów —  
 nazwozili kamienia aż do brzegów wieczoru.

A pod zmierzch zapłakały przęsła starego mostu  
 i pełno w powietrzu cieśli, jakbyś monetą brzęczał o stół.

Przyczuleczki biało-kamienne  
 drżały pod czołgami codziennie —

rysa za.ryszą, aż truchlała pod mostem żab pogwarka,  
 a od dziś nowe czasy — oto ruszyła betoniarka!

STANISŁAW STEFAN GĘBALA

## WSPOMNIENIE

Było wiciowe zebranie  
(i pan komendant tam był)  
i przemawiałem na nim  
ze wszystkich sił.

Bolało... wiele bolało...  
Nie było mów. Był krzyk.  
Noc trwała ciemna. Nie dniało  
i promień nadziei już nikł...

a pan komendant był zdania,  
że rewolucyjny to krok:  
do władzy brak zaufania,  
karcący we mnie utopił wzrok.

I przysłał mi na podwórko  
swe granatowe psy;  
któryś obelgę mi burknął —  
drwił.

Mój pies jazgotał rozgłośnie —  
i zapisali psa  
(tak właśnie było najprościej  
ukarać, kiedy trza).

I odsiedziałem mandat;  
a gdy wróciłem pewnego dnia,  
serce już we mnie skostniało —  
spłynęła tylko  
psia łza.

HENRYK JAKÓBCZYK

## DO PRZYJACIELA

Gdybyś już nie wrócił stamtąd, dokąd niosły nas hymny —  
każdy krzyż przy drodze miałby bolesne lśnienie srebra  
i stałbyś się niemożliwy i niebyły i zimny  
i nie wiem czy jeszcze przyjaźń byłaby mi potrzebna.

Tam — szumią nasze obłoki wpatrzone w białe orły,  
których loty śledziliśmy idąc razem przez pole, —  
pamiętasz — Ciebie cieszyły radosne przyszłe formy,  
a mnie jątrzyła tęsknota i roślin cicha boleść.

I wróciłeś. Może niewielki, ale mocny i wierny —  
aby znów iść, lecz wrócić, lecz prosto, lecz jak trzeba.  
Niech smutek nasz będzie męski i nigdy niewymierny —  
przecież wszystko wciąż przemija oprócz Polski i nieba.

Znów pójdziemy. Inaczej, ale drogą do Odry, —  
tak jak powiew wiatru idzie przez zboże lub przez fale  
i, daruj, że wezmę z sobą wspomnienie oczu modrych,  
Przyjacielu liści dębu powleczonych metalem.

MARIAN KUBICKI

NOC

Tu, myślę, jest najlepiej!

Za lasem klarnet spadającymi gwiazdami dzwoni  
krzykiem tęsknoty, księżycowych, mosiężnych koni  
w pachnącej białej koniczynie.

Rzy na tych łągach bezpański tabun karych,  
płając tańczy, tłamsząc pokosy,  
na nowiu księżyc wziął się z cieniami za bary  
i spragniony, zmęczony biegiem  
spija zimną z koniczu, z macierzanki, rosę.

— Drzy chuda, chłopska szkapa w oborze,  
dzwoni zębami przy pustej drabinie,  
łbem bijąc o żłób, pacierze miękkimi wargami klepie  
nietoperzową porą do bladej na niebie zorzy  
aż pójdzie z wozem.

A w tych srebrnych cieniach pomroce  
kalenice chałup rosna, rosna nocą  
do świtania,  
aż ranem  
zbudzą do rzeczywistości ze snu paniem kogutów!

...I muszę już iść, szukać swego dnia dalej —  
na obce gościńce,  
i stopami jaworowe  
młodości mosty  
za sobą palić.

## WIOSENNA ORKA

Ciepła bruzda rędziny sypie grudkami  
na bosc nogi.  
Rozgryzam miąższ życia.  
Istnieje!

Myśli namolnie, jak dżdżownica w ziemię,  
rosną w sercu dojrzałym pragnieniem.  
Obłok zawadził o młode żyto wiosenne.  
Wiatr czesząc zielone piórka przegania.

— Przyjmie mnie kiedyś siostrzanym uściskiem ta bruzda,  
wessie nawozem na wieczne swe posiadanie —  
ziemia!

## KOŁYSANKA

Miesiąc raniejac urósł.  
Metalicznie smykkiem wietrznym rozspiewał  
smutek oddaleniem stracony.

Zielonym powojem dłoń wiatru chłodzi czoło,  
biegnąc w zwolniającej myśli wążutką stecką —  
zmęczona woła o ciszę woła, by na oczy, co płoną,  
położyła się uśmiechem modra kołysanka dziecka.

— lulaj... laj...  
...nie smucę się, że wkrótce umrę.  
Wrócę do ziemi.

STANISŁAW NĘDZA-KUBINIEC

## ŚMIERĆ JANOSIKA

(fragment z pieśni siódmej)

Letnie słońce świeci jarko — promieni spada kurzawa,  
nawet twojej śmierci Janosiku — czepia się sława.  
„Hej, panowie, proszę was pierwszy raz,  
pozwólcie mi się na Tatry — oglądnąć jeszcze raz“;  
A oni mu nie dali — bo się obawiali  
i prowadzą Janosika dalej... dalej... dalej...  
Prowadzą go panowie — katowie, ze sznurami,  
prowadzą go panowie — hajdukowie, z toporami.



„Hej, panowie, proszę was drugi raz,  
podajcie mi ciupazeckę — do mych rąk jeszcze raz“.

A oni mu nie dali — bo się obawiali  
i prowadzą Janosika na śmierć dalej... dalej...  
I przywiedli go na górę — tam, gdzie szubienica,  
pociemniały u junaka — białe lica.

„Hej, panowie, proszę was trzeci raz,  
pozwólcie mi zatańcować — przed śmiercią jeszcze raz“.

Skinął żupan głową — tańcuj siuhaj zdrowo,  
hej za swoje hyrne życie — płacisz krwią czerwoną.

Tańczy siuhaj zbójnickiego — kajdanami dźwięczy:  
hej nosi się koło ziemi — popod szubienicę;  
skoczył w górę, klasnął w dłonie — dźwięknął kajdanami:  
czy już zółkną stare buki — pod Tatrami?  
Dwanaście razy przeszedł w tańcu  
szubienicę szerokim kołem...

krasa nie zeszła mu z jasnych lic  
ani pot nie zaszklili czoła.

Tańczy siuhaj zbójnickiego — kajdanami dźwięczy:  
do dalekich Tatr pogląda: czeka towarzyszy.

Hej nie czekaj Janosiku — stary żupan powie.

nie przyjdą cię poratować — twoi kolegowie,  
pobli ich graf Komorowski — między turnickami,  
z każdego tam krew się leje — trzema potoczkami.

Powiedziałeś mi żupanie — wiadomość niedobłą,  
hej wtykajcie mi katowie — hak pod piątę żebro,  
rozhuśtajcie mnie na sznurze i puście z wiatrami,  
o dalekie, skalne Tatry uderzę piętami.

\*

Hej zawisnął już Janosik na żelaznym haku;  
podajcie mi moją fajkę i do niej tabaku...

trzy dni i ćwierć,  
czekał śmierci.

Wykurzył tabaku funt...

## DO MOJEJ GWARY

Drzewiej... nie wiem (nie dzień to jus ani dwa),  
cas — siapawicom roków przeseli i nigda sie nie wróci.

Downo!

Kie jesce turniom... sępie głowy... rzeźbiła siwo mgła,

a Bóg łyskawicami, jak smykiem ciągnął po nik,  
 albo hromami plucił,  
 kie skrzydła orłom rosły i chuć ku słońku ik brała.  
 A wiater holny ostrzył im pierś do lotu.  
 Kie pierśo lic... dolinom, śmierzciom grała.  
 ...Urodziłaś sie Ty!...

Tu!...

Moja...

Mięła...

Mowo ojców i braci i moja... gwaro podhalańsko!

I takóś: —

Ostro — jak stal zbójnickiego noza,

Piekno — jak zorza w świtów błysku.

Cudno — jako ozwito w turniak róza,

Słodko — jak dziewce przy watrzisku.

Hej, moja!

Mięła...

Zalubiłek sie w Tobie na śmierć.

Wysłaś ku mnie z siklawic tęce,

Z słonecnej mgiełki i z leluje kwiatu...

Prziniósł mi cie sum wiatru i sum orlich skrzydeł

I śpiew dziewek z polany...

Wzionek cie na ręce...

I idem z Tobom — pokazać się światu.

## O R K A

Słońce przerwało zachmurzone niebo,

Zimna pluta ucięła krótką drzemkę,

kierdel owiec, po ścierni chodząc — dłubie,

mały pasterz skraca czas — piskliwą piosenką.

Poganiam wychudłą szkapę — bruzdą krocząc,

w rękach się troi ciężar pługu...

wio!... wio!... maluśki — stajań jeszcze,

trza wrócić ziemi — jesienią zaciągnięty dług.

Winniśmy stworzyć chleb — przyszyłm czasom,

czy z naszej orzby coś się zdarzy?...

gorzkie było Wczoraj, smętne Dziś, Przyszłość nasza,

ziemię świętą krajemy wzdłuż — jej gospodarze.

Słońce zaszło za chmury — znowu siapa,

spóźniony mży śnieg — obiele pług...

wio!... wio!... naprzód, maluśki — raźniej stąpaj,

zaciągnięty jesienią — wiosną splecemy dług.

PAWEŁ KUBISZ

W GUTACH JEST MUZYKA

Szczyrkoce gospoda w śmiychu,  
 Bulczy rozgwar, trzeszczóm szklónki —  
 Buch w deliny — — — uścisk z grzychu —  
 Tańczóm wszyscy... Jewy, Jónki!

Jura Buła z Martóm Szkopiec,  
 Młody Antek ze zowitkóm.

Tyn sie tam w spódnicy dropie,  
 Tamtyn szczypie dziołche, brzydko!

W szynkwas chlipie kwit, gorzoła —  
 Krzyk dlaboczy sie na ściany;  
 Rżnie muzyka fórt dokoła,  
 Tańczóm gaździ i gałgany!

Cizba, duszność sie opiły;  
 Cisnóm się ku sobie ciała —  
 Dwa serca sie rozetliły:  
 — Juj... jo bych cie całowała!

Szmatlej, szmatlej, szmatłolino!  
 Zaszmatlesz sie ty szmatłoku,  
 Suknia sie ci moc wypino!  
 — W tańcu nie utrefisz kroku!

Nie zwódź synku mje na pole  
 Leżeć w sianie i omdlywać...  
 Tańczóm Guty i gorole,  
 Było tak i beje bywać!

Schrapłym głosem bas nadowo,  
 Huczy głucho do muzyki — — —  
 — Ohwańcie nie źgej do mje głowóm  
 Bo skończymy bijatykom!

— Tańcz se z larwóm... ty gibasie,  
 Nie zyrkej mi na dziołuche!  
 ...Pukła struna w starym basie,  
 Trzeszczóm w rękach kości kruche!

Koprycóm sie stołki... stoły!  
 Zgasły światła, szasły dwyrze —  
 Noże lecóm... prosto... krzyżym:  
 Gdosi w plecach mo nóż goły!

Harmonia grać przestała —  
 Pisk sie mnoży... jęk zaszkwyrczoł  
 ...Gospoda opustoszała — — —  
 W kącie bas potulnie tyrczoł!

## REBELIJA GOROLI W MOSTACH

Chłopi w harestach, cysorz na trónie —  
 Książę w Cieszynie prawa nóm kradnie!  
 Kiejże bezprawióm zacznie być koniec?  
 Hajduk i karwacz w dziedzinach władnie...

We Wiydniu jeżdżóm srybrne karety,  
 W strzybłach sóm szaty — w złocie koróny...  
 Kiedyż o kiedyż karwacz upletym —  
 Na ty cysarski książynta, tróny?!

W gróniach jaskinie — w nich uciykniryzy;  
 Dźwigli borocy kark przeciw władzy!  
 ...Żle Pónbóg w niebie życi namierzył,  
 Tam ludzie w złocie — tu ludzie nadzy!

Buchnij płómiynym i zagorz buntym,  
 W słów strasznym błysku rozgórz dniu szary!  
 Gnietóm nas, chechlóm... cudze chomónty —  
 Spisek umyślić... czas... czas — chachary!

Cińczóm karwacze — książę nas dynczy,  
 W płóg nas zaprzągo — orze i włóczy;  
 Czas sie zbić w kupe, zebrać, spajęczyć —  
 Męke rozzarzyć i w siłę stłoczyć!

Zgorzknył nóm owies w chlebie skiśnióny,  
 Skisło nóm życi pleśnióm zgrызane —  
 Bodzie nas łóbrącz złotej koróny,  
 Kiedyż o kiedyż, dźwignym sie — wstanym?

Skuci rozkozym, mocóm zduszóni —  
 Boczym do świata... czy idzie chwila,  
 Stwardnyć i krzepnyć, na popłoch zwónić,  
 Ręce zasukać, gorskość wychylać...

Obudzić spani dni jasnych ranym,  
 Zgasić noc gniywym w świeateł powodzi —  
 Wkopać do ziymi dziyń zaguzdrany,  
 By łów, ciymiyństwa, biydy nie rodził!

Nad dziedzinami głos sie rozjargoł,  
 Chmury szczerńiały osadym stękań:  
 Już dośe piołunu pić dali wargóm,  
 Szkorupa krzywdy — niech zgrzypi, pęko!

\* \* \*

Wyleć w zawieje płómiyniu wiary,  
 Szuteróm gradu — świszczynim biczy,  
 Sercym ubitym — kopnięć ciynżarnym —  
 ...I głuchóm salwóm chciyj sie rozkrzyczeć!

## 2

Zacupkały kroki, szuszcóm gałęziska —  
 Jedyn, dwa, trzy cinyne... schodzóm sie gorole,  
 Zaboczónie gębska, zacisłe ręczyska...  
 Dyć w lesie narada o prawa, o pole!  
 — Tak co łujcu Jónku... pón nas chce łokradać —  
 — Pańszczyzna zniesióno i patynt wydany!  
 — Bić sie trzeba z panym... co bedym wykłodać!  
 — ...Mómy kiej, noc długo, pujdym aż nad ranym.  
 — A wyście słyszeli, cały Śląsk sie burzy!  
 — Sóm wieści z Opoła — sóm słychi z Łopawy...  
 — I w Brynnej gorole zaprzestali ciurzyć!  
 Chybocóm sie drzewa w dziwnych słów kurzawie.  
 — Wyicie... jo powiodóm — wszyscy ci cysorze,  
 Kraj nóm podzielili..., aby nas rozdzielić!  
 — Ty siedzisz w tym państwie... ty w inszej kumorze,  
 Nad wami wszystkimi nahaj sie wiesieli!  
 — Jak stargać ty pęta i mieć Śląsk dlo siebie,  
 Śląsk ze wszystkich granic — spod wszystkich cysorzy!?  
 Tak długo, tak długo... chodzym fórt w pogrzebie  
 Kłęczkami przed panym i nimogym ożyć!  
 — Szlachte wykatrupić... książynta, władyki!  
 — Potym cysorz spadnie, potym nasza władza!  
 — ...Szpiedzy chodzóm wszędzi... cicho, cicho krzyki;  
 Ciszij mówcie razym... ciszuj sie naradzać!

## 3

Wieczór na ścmiywku, wielkucno zgraja  
 Pańskich hajduków — kopce targała!  
 — Wołóm: — nasz zagón... nie chcym sie kajać!  
 Kopiec za kopcym, moc w ręce brała...  
 — Wzeprzył sie jedyn, wzeprzył sie drugi,  
 Nima pańszczyzny, cysorz jóm cofny!  
 ...Migły karwacze jak ostre pługi  
 Do naszych plecy, ból dziubnył, kopnył!  
 — Chciyj sprawiedliwość, biydnyś i słaby!  
 Siła to wszystko... stępi cie, zmiele,  
 Chcóm cie mieć jyny pachólkym, drabym...  
 — ...Nie tchórzcie chłopi... eee... mówcie śmielij!  
 — Wspómnij Oszelde, chłopów buntowoł,  
 Baróna w Końskij móg zadłaboczyć!  
 ...Potym go cysorz w hareście chowoł,  
 Wszy go zgryzały — zmarnioł, ździwoczył!

A w cieszyńskim... a w książęcym zómku rwetes —  
 Wrzeszczy książę — pluje w brode — Donner Wetter!  
 — — — Do harestów pozawiyrać,  
 — — — Pyskami deliny ściyrać!  
 — — — I sprać mordy, porozbijać —  
 — — — ...W Mostach... w Mostach — rebelija!  
 Tu dragónów mi zawołać... tysiąc starczy!  
 Śpieszno służba krzyczy, woło — książę warczy:  
 — — — Zniós pańszczyzne cysorz ciołek,  
 — — — Przyznoł chłopóm moji siola!  
 — — — U mje pańszczyzna być musi...  
 Moja władza, bedym dusił!

\* \* \*

Osiodłali pędko kónie... w galop jadóm,  
 Karwacz wisi w każdych dłóniach... tra... z paradóm!  
 — — — Szable bijóm o ostrogi...  
 Precz z chodnika, precz nóm z drogi!  
 Podskakujóm w jażdzie gwery —  
 ...Zerznym, zmłócy... ty cholery!!!

— Cepy... widły, draży, łucznie,  
 Szczypy aby było jasno...  
 Naprzód, naprzód, szturmym hucznie!  
 Pędzjy niż nóm światła zgasnóm!  
 — Wszystkie kopce wykołatać,  
 W pański pole nimi furnyc...  
 Niech sie sapi złość bachrato,  
 Każdy pón był dlo nas spórny!  
 — Dźwigej, pociś... wykołydej;  
 Ciężko, ciężko z zymi ciągnąć!  
 — Ciąg tyn kamiń, ciągniesz biyde —  
 Szak... po prawa musisz sięgnąć!

\* \* \*

Łómie sie kamiyń rozbity,  
 Pot nón ciurczy z czól schylónych...  
 — Urodzaj bedzie obfity,  
 Dalij w granice spiętrzone!

\* \* \*

Trąbka zagrała — podkowy w skałach  
 Rzerzóm szelesty... jadóm dragoni!  
 Nad lasym biołość z chmur sie pisała — — —  
 Dziesięć, sto, dwiesta... o!... tysiąc kóni!  
 Hef cepy, widły, łucznie i draği!  
 W cysarski wojsko, naprzód gorole!  
 ...Błysk wypod z gwerów, straszyl, uragoł...  
 Trupy sie walóm hań w chłopskim polu!

\* \* \*

Świszczóm karwacze... krwióm chłopie płaczesz!

WŁADYSŁAW MACHEJEK

### ZIEMIA PARTYZANCKA

Czy to przez Bug, czy wcześniej po Dnieprze,  
 przesadzali ziemię do Polski,  
 wysadzali chłopskie powietrze...

Ktoś się opychał ziemią siermiężną,  
 gdy zasypywał go rydel;  
 a my w pole  
 polami zwyciężyć,  
 ziemi dać pióra skrzydeł — —

W zdartych koszulach, jak zmiętych chochołach  
 w szczęku podaliśmy ziemi dojrzałe snopy,  
 a chłop szedł za nami  
 Ludową wołał — —  
 Ojczyznę w nasze ręce popił.

I ziemię powięźliśmy na zwycięstwo  
 w partyzanckim hymnie  
 w czołgu i pancerce.  
 I teraz jestem na bruku, a ona wciąż przy mnie  
 w jednym wyrazie: serce — —

I chcę powiedzieć to jedno chłopu  
 gdy w makach pszenicznych widzą ordery:  
 to są ordery  
 na kształt potopu — —  
 krew w czerwień ziemię przebiera!!!

A w ocichłym borze, jak umarłych wotach  
 wiatr wychucha zwycięskie orły;  
 i będą po to  
 i rosnać po to  
 by ziemi tej nikt nie był oporny.

EDWARD MARZEC

WNUCZEK ORZE

Nogi moje same idą,  
 ręce pługiem chwieją same.  
 Ze śniadaniem, dziecko, przybądź.  
 Płynicie, myśli zadumane.

Przewiewają lata kruche.  
 Byłem ojcu poganiaczem:  
 stare drzewo. Prawie usechł.  
 Łazi bruzdą. Patrzy za czymś.

Tędy — woła — wyorz siłą.  
 Ze zwyczaju mnie napomniał.  
 Struże lemiesz płachty iłu.  
 Wielkolistny szemrze podbiał.

Konie z wiatrem się mociują,  
 skórę grubo w słońcu marszcząc.  
 Dziadek bryłkę drobną ujął,  
 płoszy wrony wielką garścią.

PRZED SNEM

Z polnych drożyn koła słyhać.  
 Dźwięk kosiarzy słabnie w mgle.  
 Pszeniczny zaduch i pot wdychasz  
 idąc do domu. Te dnie,

jak woły w jarzmie — tak ludzie:  
 skoszone zboże, nagła zwózka,  
 świat się zamyka w trudzie.  
 Dzień za chwilę ma ustać.



Na gwiezdny, bo noc już, wszechświecie  
 spoczną oczy, westchnienie się oprze  
 i myśl się jakoś po gwiazdach niesie.  
 Wracam do ziemi, jakbym niebo obszedł.

Mak za płotem puka makówkami.  
 Plecy obeschły i bolą przeciągle.  
 Chłód po łące przepływa trawami,  
 studząc na dłoni ciepłe bąble.

Matka moja i najmłodsze któreś  
 niosą mleko nadojone właśnie.  
 Od południa nadchodzą chmury bure.  
 Topole sterczą. Z tym już zaśniesz.

WŁADYSŁAW MILCZAREK

### CHŁOPSKA PANIENKA

Tęskno Ci Święta Panienko  
 do kolorowych witraży —  
 ale Ci w chłopskiej sukience  
 jest bardziej do twarzy.

Śni Ci się pewnie korona,  
 skrzydlaci aniołowie,  
 a tu jak wiejska dziewczyna  
 chusteczkę masz na głowie.

Nie masz asysty aniołów,  
 księży i srebrnych organów,  
 pole tu jest kościołem,  
 a słońce Twoim kapłanem.

Co dzień Ci światło zapala  
 z rosy osusza sukienkę  
 i opowiada polom  
 o świętej, chłopskiej Paniencie.

I wszystkie miedze i łąny  
 znają Twe święte imię,  
 bo jesteś najbardziej kochana,  
 najlepszą gospodynią.

Zapomnij Święta Panienko  
 o barwnych witrażach, kobiercach,  
 ładniej Ci w chłopskiej sukience  
 i cieplej w chłopskich sercach.

## RZECZPOSPOLITA

W poświęcie złotego kurzu  
rozwinie my błękitny sztandar pogody;  
serca, jak maki czerwone, złożym  
na szlakach tęsknoty i głodu.

Miedzami,  
poprzez zagony żyta  
ze słońcem jak monstrancją nad głową,  
idziemy drużyna piastowa  
Rzecz-po-spo-lita  
Rzecz-po-spo-lita...

A w amarancie koniczyn  
nasza pszczelna konstytucja,  
a w dojrzewaniu żyta  
nasza polna rewolucja!

Hej! sierpem jak srebrnym kluczem  
otworzymy szeroko żniwa.

Dzień pracy twardo weźmiemy na krzyże  
i wyniesiemy przed burzą,  
i wyniesiemy przed gromem...  
I chociaż w domu  
zostanie garstka ziarna,  
wystarczy na nowe zagony,  
wystarczy na nowy plon.

Miedzami  
przez smutne ugory rżyska  
idziemy:  
Rzecz-po-spo-lita  
Rzecz-po-spo-lita  
Rzeczpospolita piastowa.

Błogosławimy najmniejszy skrawek ziemi,  
najmniejszy trud i najsmutniejszy uśmiech...  
z gorzkich popiołów,  
znad mogił  
ze szlaków wygnańczych  
już świta,  
Iniano-amarantowa  
Rzecz-po-spo-lita  
Rzecz-po-spo-lita  
Rzeczpospolita piastowa.

## WIELKA NIENAZWANA

Tyle o Tobie pisano, mówiono, nakłamano...  
i narastałaś w sercu jedną krwawiącą raną,

I jakżeż Cię teraz mierzyć produkcją pszenicy i ropy,  
jakie Ci miejsce wyznaczyć na mapach Europy!?

Jakim okraścić kolorem, jakim zawołać imieniem,  
o Ty, maleńka, jak serce, o Ty, największa na ziemi.

Wstydzę się mówić głośno, bo nie znam takiego słowa,  
by Cię wyrazić godnie, by prawdę o Tobie zachować.

Trzeba zacisnąć zęby, chociaż w krwi cała broczysz  
i dławisz w gardle, a nocą słono napływasz do oczu.

Musisz pozostać w sercu jedną krwawiącą raną,  
o Ty, najdroższa na świecie, Ty Wielka Nienazwana.

A. F. KIRŁO-NOWACZYK

## U PŁOTA

W szumie spłoszonych kuropatw  
zamarło odległe echo...  
wiatr górą poszedł i opadł  
miętko jak gołąb nad strzechą...

Skrzykneły się zewsząd szpaki  
makówkom oczka wykuwać —  
cisnęła Maryś chodakiem,  
na płocie utkwiał i... czuwał.

## OGNIKI

Ogniki na mokradłach jesienią;  
nie przywabia mnie oczy topielic,  
ścieżynka prosto się bieli,  
zatrzyma się przed sienią.  
A w okienku błysk światła —  
i cichy śpiew nad kołyską —  
śpiewaj luli młoda matko  
i podsycaj ognisko.

A potem wtórować ci będę na harmonii,  
 przybłęda-pieśniarz, pół białych posłaniec,  
 nad twymi pochylony dłońmi —  
 matko siwa, w kąciku mów różaniec...

A gdy północ na gałęzie w chustach opadnie,  
 jeszcze na mokradłach ogniki jesienia —  
 lecz młoda żona oczy ma ładne,  
 w świetle ogarka  
 jabłuszka lic się rumienia...

ANTONI OLCHA

## MOJE POLE

(Fragmenty z poematu o reformie rolnej).

### I.

Oto jest moje pole. Pole radosne,  
 na którym owej jesieni jarzyła się nasza krew.  
 Kiedyśmy zagon mierzyli. Pod chłopski siew.  
 Kiedyśmy se nad ziemią wolną szumieli bystrzyną piosnek...

### II.

Wilgotna jest żyzna czarnucha, pachnie wędnącym ziele  
 i falą skib się wzdyma, ciepłym nawalem szturmuje wybrzeże  
 [serc.  
 We dworze w dzwon głosów dziecięcych staroświeckie zacisz  
 [rozpęka.  
 Od wierzb-rozczochranic, po rzekę wiejską bajczarę,  
 opływam moje pole, moje kochane policko, wielomorgowym  
 [weselem,  
 wielomorgowym kłopotem i męką.

### III.

A dzień jesienny nade mną słotną biedą się sroży:  
 głodne jest moje pole, głodne tłustego nawozu,  
 końskich kopyt stęsknione, chrzęstu siewników.  
 O twarde taśmy traktorów pragnie się rześko wyczochrać,  
 przerodzić chce się na nowo w jego trzeszczącym pokrzyku.

## IV.

Na szerokim łanie naskich dni  
 rośnie gęstwa nędz, jak pokrzyw, jak ostów za oborą.  
 Zimny wichur ostrym gradem siecze.  
 Za oknami chałup tańczą zmory  
 i gwizdają se o tym, że może nie warto  
 talarami udręć płacić, aby kupić przyszłość?!  
 Że może by ta i było inaczej,  
 ale kieby — tak — to samo — jakoś — łatwiej przyszło?...

## V.

Oto jest pole, moje pole.  
 Na tym polu zasadzę młodość moich dzieci —  
 niechaj rośnie wysoko!  
 Stąd mi pszenka piosenka o mej córce-lekarzu wyśpiewa,  
 a stąd sława mych synów-inżynierów i tęgich spółdzielców  
 [wyleci!  
 A tą łąką najmłodszy mój synek popłynie —  
 jak tratwą  
 i lasami — górami, ziołami — pszenicami  
 będzie śpiewał tak łatwo  
 jak słowik.  
 Gdzieś w dalekiej stolicy, gdzieś w fabrycznej mieścinie,  
 robotarzom, kolegom i druhom,  
 rozśmiec ziemii swobodnej rozkwieci.  
 W jego pieśniach — żar wiosen,  
 zgruch potoków i śniegów skrzyp sypki,  
 bujne dziewcząt pokrzyki, które wichur zwichrzył —  
 porywicie, narymnie rozegrane w skrzypki,  
 sny, marzenia, tęsknoty  
 ludzi w słońcu wzrosłych  
 i piękniejsze od tego, od tęsknoty już bliższe —  
 chwile, jak chleb prawdziwe —  
 w nas walczących, cierpiących i mocnych.

## WIEJSKA STACJA

Chaty w gajach zamrokiem spięte przywarły do ziemi  
 zanim  
 noc  
 radło brzasku rześko porozrywa.

Z daleka długi sznur gwiazd wyciąga pociągiem  
miesiąc skrami prószący, jak  
lokomotywa.

Na kalenicach wsi —  
stacja,

ukryta w mgieł przeciągłym świcie.

— Hallo!

Dzisiejszość

kół hukiem odjeżdża

stąd!

Tu

Przyszłość

wiecznie młoda, wiecznie żywa rośnie  
nawałem chętnych, stwarzających rąk!

## BUDUJĄCY KU SŁOŃCU

Serce moje w Beskidzie posiano —  
pod Luboniem i pod Babią Górą!

Mą tęsknotę skalisto-glinianą  
rozpłomienia leśnych wierchów urok.

Żyły moje, zielone jak rzeczne podłogi,  
krew toczą wichrowate przez omszałe troski.

Starowiejskie boginki, planetniki, bogi —  
szepczą mi wciąż o dziejach ojców moich szorstkich.

Mogą mnie wabić

najsłodsze

innych ziem ogrody —

ja zawsze będę ten sam: górski chłop na miedzy,

budujący ku słońcu czarodziejskie schody

z żytnich kłosów, róż pieśni, ostrych łaknień wiedzy.

KLEMENS OLEKSIK

## MOJEJ MATCE

O, najczcigodniejsza z niewiast żyjących tu na świecie.  
Do piersi twojej się tulę, mammo, ja twoje dziecię.

Kocham cię całym sercem, jak ono tylko może,  
bo widzę jak przeze mnie trud drogą twą twarz orze.

Ręce twoje są szorstkie, bo któż je miał upieścić?  
Ty się tak dla nas trudzisz już przeszło lat czterdzieści.

Na pewno byłaś przystojną (ojciec się starał o ciebie)  
Dziś ja na twojej urody jestem żalobnym pogrzebie.

Lecz nie smuć się jedyna, bo żadna już ozdoba  
nie sprawi, byś się mogła nam jeszcze więcej podobać.

Twe zmarszczki pod oczyma — to życie twoje całe  
to ja tak mam, troską twarz ci porysowałem.

## BALLADA LEŚNA

Sosnowy śnieg  
w niebieskiej mgle —  
główna kwatery  
oberwańców.  
Gdzie bije serce?  
To serce Polski,  
jeden z naszych szanów.  
Zakwitła noc.  
Żab rechotanie.  
Od wioski zapach bzów.  
Marsz wśród paproci,  
kabe na ramie  
i pacierz z gorzkich słów.  
Tak pachnie list:  
wrzosa jak włosy dziewczyny,  
gdy musiał iść  
i żegnać się,  
bo nie mógł iść kto inny.  
Za opłotkami  
ścieżka długa.  
Za opłotkami  
ciemna smuga.  
Wyją psy —  
węszą żandarmi.  
O jeden pocałunek  
dziewczyno, za długo  
żegnałaś go. O Boże,  
za stogiem ścieżka w las —  
malutki ścieg,  
ścieg jak len,  
jak oczy tve.  
Węszą za Polską  
wściekle psy:  
Tu się ukryła

musi być:  
hej, oczy tve, dziewczyno —  
niebieskie — to ty!

Niebieskie oczy,  
błękit nieba —  
kaski na głowie  
z trupa głową —  
a nad stodołą  
szary śpiewak...

— Była tu Polska!  
Ty wiesz! Powiedz!

Wiedzą: jest w piersi — —  
w pierś ołowiem.

Lecz z okna patrzy  
tak tajemnie  
jakby i chata:  
że jest we mnie.

Żagwia płomienia  
w nią: niech powie!  
Niechaj się odda w ręce kata.

Lecz w Antoniówce  
nikt nie powie...

A Polska była:  
pośród gliszczy.

Polska zielenią zbóż  
rozrosła.

I w sercach była  
i w las poszła.

W ciemny, niebieski  
lasu śnieg.

W nagrobnych nawet  
kwitła kwiatach.

JÓZEF OZGA-MICHALSKI

NOGA

Stary Bzinek z dachu spadł starego.  
Wybił nogę.

Ze dwa cale krótsza mu się wydała.

— Swojego nie daruje!  
Choć nie mała jest noga moja,  
bądź wola Twoja!

Jako w niebie  
— tak i na ziemi!  
Na dachu przecie stałem  
wsparty na drabinie.

Tak duma stary Bzinek  
przy kominie.

Do kościoła idzie stary  
i kosturem nadrabia dwa cale.  
Już mu dechu zabrakło,  
dla kostura zabrakło.

— Jakże nogę wydłuże,  
gdy do środka jom wpychom,  
nosząc brzuch, łeb i plecy garbate?

Poszedł prosto w gromadę.

— Kumie, mówię, powiadom,  
z takim nogom zawadam  
idziecie?

— A gdzie wom to wlaźła ta noga? —

— Bóg mnie skoroł na dachu,  
wiatrem nagoł mi strachu  
i spodem! —

— A gdyby jom wyciognoć,  
wyciepnoć ze środka? —

— Ciogneli, siepali,  
cholewe urwali,  
— nie mogli!

— A gdyby tak świętego wynaleź  
i nowenne odprawić  
a i w karczmie się zabawić,  
to by wam tak wylazła ta noga,  
jak kołek ze stoga,  
gdy zdymie się siano.



— Ano — Wola Boska,  
do ołtarza dokuśtykom  
sie jesce.  
A dwa brakujące cale  
Bogu ofiaruje ku chwale  
— niech mo!  
Ale nie naje się!

## DO WOSIA

Wosiu! Nie przejdę za wasz płot do uli,  
bo wiem, że kąśliwe tve pszczoły.

Choć trzymałeś w dłoni miodu plaster  
i wołałeś — gęsi w trawie zostaw —  
jam bał się was Wosiu zawsze  
bo byliście starzy, pobrużdżony —  
i choć jedne są granice nasze  
nie wyrzekłem nigdy pochwalony,  
bo bałem się, że nie odpowiecie.

Wasze słowa były jak kamienie.  
— Pochwalony Jezus Chrystus — leci  
trzy kamienie na naszą granicę.

A gdym pasał owce jeszcze w domu  
tom podpuszczał na waszą stronę.  
Wosiu, czy wy o tym wiecie?

Wyście granice wypaśli — dziadek kłął.  
— Czemuś nie wstał rano?

— Ja przed słońcem jak Woś nie potrafię,  
on jest stary z czołem pooranym.

Wosiu! Czy wy po łacinie  
też umiecie mszę śpiewać w kościele,  
bo też jak ksiądz macie minę,  
jak najecie się dobrze w niedzielę.  
Jam pisał gdzieś w jakiejś gadce,  
że wy bydło... w naszej koniczynie...  
i rzekliście pono mojej matce,  
że pociechy po takim synie  
nie doczeka.

— „Ze bo jakto — mówię, żeby za to  
 com mu miód lipcowy dawoł,  
 on tam pisał że ja jesce latoś  
 w koniczynie wasy pasoł krowy?!  
 A rozdymka? Cy to nie uwożoł?  
 Ze to przecie krowa zdechnie!  
 Wjechał na mnie z kpinami jak wozem,  
 aż mnie krew zalała, — aż mnie...“

Wosiu! Przecież ja pamiętam  
 ten słodki miód i dwanaście uli.  
 Koło uli rosła wtedy mięta.  
 Kuźnia w pobok. Łapka konie kuli.  
 Wyście miód dawali mi przez parkan,  
 dziura była, wsadziłem w nią rękę,  
 a wy wtedy — „zaraz dziure zatkom,  
 któz tu wydłubuje sęki?  
 Chyba ty?!“

Wosiu! Wydłubałem dziurę w płocie,  
 żadnym wy jej nie zatkacie sękiem,  
 patrzę na was przy każdej robocie,  
 a i pióro mam wetknięte w rękę.

#### OBEREK ŚWIĘTOKRZYSKI

Grają skrzypki w zatęchłej komorze,  
 szumi niebo w licach świętych ściennych,  
 gra muzyka jak poranne zorze  
 w tej komorze, w tej komorze ciemnej.

W tej komorze na ubitej glinie  
 rozzeniłaś, roztańczyłaś ciało —  
 ta muzyka, ale ty nie zginiesz,  
 sto pokoleń w tobie tańcowało.

Grają skrzypki w zatęchłej komorze,  
 szumi niebo w licach świętych ściennych,  
 gra muzyka jak poranne zorze,  
 gdy dziewczyno ze mną się żenisz.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

NAD RZEKĄ

Wicher żywy, wicher młody,  
wicher na dzwoneczkach wody.

W wodzie dzwonek wiklinowy,  
dzwonek wierzby — biednej wdowy.

Woda, woda — blada chusta,  
jesień, jesień — zimne usta.

Pozapalał śnieguliczki  
księżyc — płomyk zapalniczki.

LESIARKA

O luba, patrz:  
siekiere ci  
skrwawiła noc po kryjomu  
i księżyc — tracz  
docina pni, —  
do domu, panna, do domu!

Na szali z zbóż,  
bławatków, wyk  
śpią kochankowie prości.  
Patrz, Kasiu: klucz  
purpury — bas  
otwiera pola ciemności.

Włosiany smyk —  
i dusza z róż,  
całus — piosenka strzępiona —  
i gwiazdy ócz  
obojgom wraz  
w ciche noc bierze ramiona.

Weź mnie też, wódź!  
siekiere rzuć,  
nie tobie tu i nikomu!  
Chodźże już, chodź  
i wróc się, wróc  
do domu, Kasiu, do domu!

Już noc — rzuć kloc  
 i odwal pień! —  
 fajerańt sągom i drwalce! —  
 Jak cicha noc,  
 jak cichy dzień,  
 dzień — wiersz na brzozowej kalce!

#### U CZASOKRESU

Pod wieczór w ciche zagajniki  
 wiatr trąca jak w dźwięczący kielich —  
 i ociążała żerdzią piki  
 podważa czort lot piór anielich.

...Nie znacie? Na skos jasnym niebem  
 pisany leci grom ostatni.  
 To ja! Witajcie czarnym chlebem,  
 wychodzę znowu z głuchej matni.

Spokojny zawsze tu, gdzie kroczy  
 u pługa hetman polny chłopów,  
 otwierał kwiatom będę oczy  
 i wołał zza pszenicznych snopów.

Nie wiele mnie: pięć ksiąg i ołów —  
 i tylko tyle mnie zostanie,  
 ile na cztery sny aniołów,  
 ile na leśne zmartwychwstanie.

#### SIELANKA ŚNIEŻNA

Zielony cień znów legł na śniegu  
 i srebrną osą dzwoni mróz.  
 Dwie gwiazdki u rzęs tobie już  
 czternastej małej wiosny strzegą.

I ileż to od ganku klęczy  
 do ciebie brzóz jak białych sług,  
 małeńki tropie stóp zajęczych,  
 przewonna jutrzenecko nóg!

Znów uczę się na pamięć ust  
 i rączki opowiadać twoje, —  
 przez ile dni, przez ile bruzd  
 na białe biegła droga pole.

A u strumyka białe schody,  
a białych schodów anioł strzegł,  
i gronostaje piją wodę,  
a gronostaje to jest śnieg.

I dokąd tak tą wojną iść...  
Z naganem czekam umartwiony —  
i niech cię dojdzie cały list  
w śniegu ścigany i tropiony!

STANISŁAW PIĘTAK

## NIEBO

— Jak jest na tamtym świecie, mój drogi?  
Ach, o tym to nikt nie wie na pewno.  
Kordias jechał przez polne rozłogi  
i w gwiazdy wznosił cicho twarz rzewną.

— No, a gdyby tam życia nie było —  
gdyby śmierć świat kończyła na ziemi?  
westchnął nagle. — Mnie by to dziwiło —  
gdzie przepadłby duch z myślami swymi.

Jechali, a gwiazdy już spadały  
i burza czernią kryła wieś małą.  
Kopyta końskie tylko klaskały  
w błyskach i wiatrem dalekim wiało.

— Straszne. Ja w to nigdy nie uwierzę —  
szepnął nagle młodziutki Jaś głucho.  
O jakież lęk okrutny mię bierze.  
Po co więc nas nawiedzono duszą?...

Mówiłby jeszcze, lecz u wsi brzegu  
ogień pioruna wbił lej do wody.  
Stado czerwonych ptaków w rozbiegu,  
kwiląc, spadało w mroczne ogrody.

I teraz — o, była chwila taka,  
że kościół czystą linią odbity  
trwał na skrzydłach płynącego ptaka,  
i w głębi wód wiły się wierzb kity.

Ach! Kordias zdołał zatrzymać konie,  
ale Jaś padł na wznak oniemiały.  
Zdziwieniem wzbierały im ócz tonie.  
To tylko wciąż konie w trwodze rżały.

## ZBIEG — fragment poematu.

## I.

Na świt się już miało, wierzby w obłokach rosy szły.  
 Nad Topolną zorze wstawały jasne, ulotne.  
 Żaby wskakiwały na brzeg, już milkły.  
 Skowronki dźwięczały szybko, zrywało się ptactwo błotne —  
 zapach obór, znojnego snu włókł się gdzieś od wsi.  
 Pies biegł od strony kościoła, mył pysk o rosę.  
 Bocian zdawał się ruszać, lecz wciąż drzemał skulony w gnieź-  
 Siwiała dal coraz bardziej, to wilgi i kosy [dzie.  
 tłukły się, pokrzykiwały.  
 Krzyżyk wąty i srebrny drgał na ostatniej gwieździe.

## II.

— Rózo — powiedział Janek — Rózo, przyjdzie czas wezmę  
 [cię za żonę.  
 Jej oczy w tej chwili stały się dziwnie nieuchwytnie i mgławce.  
 Zaśmiała się — i tak zostały jej usta uśmiechem rozchylone.

## III.

A tu obława szła górą, dołem.  
 I cóż? Drzemałeś wśród bagien i szuwarów,  
 krzyk ludzki tak nagle otoczył cię żelaznym kołem.

## IV.

Każdy dzień odtąd wiódł mnie w dal, jak głos bolesny ptaków.  
 Mijały dni — bura słońca upadała na strzechy  
 brzemionami zgrzebnych, poszarpanych światów.  
 Ciężej było teraz tułać się wśród łąk i pustych pól —  
 na nizinym buraczysku siwe woły czarną pustkę włokły  
 na konarach rosochatych łbów.  
 Pługi zanurzały się wolno w ziemię — ociapani błotem wolarze  
 nie szukali dla swych uczuć melodii ni słów.  
 Było cicho — tylko rdzawozłote brzozy zza mgły wychodziły  
 i próbowały odejść nad czarnej wody brzeg.  
 Szedłem dalej, słony wiatr  
 ostatnie liście zdzierał z brzóz, jak krew.

## WYZNANIE

## I.

Moje wzruszenie nie jest pozą, nie jest grą.  
 W wielu epokach chciałem żyć. Był nieśmiertelny  
 śnił mi się i piękno chylące ludzką skroń.  
 Czas pragnąłem zatrzymać, byłem łatwowierny,  
 za marzenia dzisiaj smutkiem okrutnym płacę.  
 Nikogo przy mnie prócz słów — słowiki tułacze...

## II.

Jako nurek zapolować mogłem na dnie mórz  
 na kwiaty i ptaki srebrne, a żonę swoją  
 umieścić w wietrze z księżycem w włosach, z tęczą o nóg.  
 Płaczą jaskółki tam, promienie w rosie stoją.  
 I koń mieni się w anioła, paw na podbiałe,  
 kopczyk mrówek, linię pszczoł w niebo wiedzie w chwale...

## III.

To nie takie proste — i ja znam cierpienie, głód.  
 Dzieci spuchłe z nędzy widziałem. Ot, życie moje  
 dawne płynęło w chorobie, biedzie. Ach, u wód  
 kłękałem, żebrząc o kęs chleba lilii zwoje.  
 Potrzeba radości nam, spokoju snów, piękna.  
 Pozwólcie grać. Nie dajcie, by pieśń z bólu pękła.

## POSTÓJ W NIEZNANEJ WIOSCE

Możem chciał to kiedyś opisać, może byłem  
 w tych krajach w dzieciństwie. O, jak dziwią te noce —  
 jadę końmi siwymi i u wierzb w tak miłym  
 powietrzu staję. Pola kulą się w pomroce  
 błękitnej. Od kapliczki wieją rzewne śpiewy  
 i zaraz domy schodzą w jasną, złotą wodę,  
 a kwiaty drgają i ku niebu ronią mewy.

Myślę, patrząc w kłosa zmienione, że za brodem  
 znajdę szczęście, trzeba tylko zatrzymać konie,  
 pożyć z ludźmi w tej wsi, poznać ich ciche dzieje...  
 Z dziewczyną, która wyniesie chleb, pójść na błonie.  
 Ptak sfrunie jej na ramię, ona się zaśmieje...

Rozweseleń oczy starców gawędą jeszcze,  
z dziećmi nazywać będę kwiaty, które giną.  
Sobie samemu nocą poezję obwieszczę —  
i tak dni pod błękitem ciemnym moje miną...

## ODPOCZYNEK

Najpierw przechylić trzeba siwą gałąź cienia.  
Grabie, które niosę, ptaszek w nuty przemienia.  
Zieleń wierzb, topoli, grusz zdaje się być czarna.  
Tam półkopki żyt wiedzie na promieniu sarna.

Właśnie u chat białych nad wodą anioł stoi,  
i dziewcząt, co śmigają bose w blask, się boi...  
Daj się przejrzeć mej Miłej w niebie jak w lusterku —  
czemu, słońce, cienie tniesz na drodze złą siekierką?

Już do rzeki zstępowałem, by ukryć skronie,  
a tu dzieci nagie, złote srokate konie,  
pławiąc, zajęły głębię wody do wieczora.  
Usnąć w smutku piosnki, o luba, dla nas pora...

Zamyśliłem się, czy to w włosach twych jaskółki  
kołacz obłoku strzępią na świetliste chmurki,  
lecz samolot źrenice twoje przeciął krzyżem.  
Ukryj mnie przed myślą, nachyl się głową niżej...

## ZYGMUNT SIERP

### ROZMOWA Z NIM

Jesteśmy dwaj przyjaciele: ja i ty —  
jak ojciec i syn —  
na biegunach kołyski jeszcze ślad tych dni,  
co mają nadzieję naszych godzin,  
wiszących bladą tarczą na ssącym poranku rose  
i goniących południe, w którym słońce tonie,  
zanim spowolnieje, by w wieczorze brodzić  
i najsmętniejszym odchodzić zakosem.

Jesteśmy dwaj przyjaciele: ja i ty —  
jak żołnierz i karabin —  
za nami twarz matki każąca nam iść  
i w ciemnych nieboskłonach zanurzyć się po zemstę,  
skąd się wraca do domu papierową pamiątką,  
albo elegijnym urasta się wierszem.



Jesteśmy dwaj przyjaciele: ja i ty —  
 weź gasnące pragnienie mych dłoni  
 i podrzuć je żarem starogermańskim pniom,  
 niech ich cienie płomieniem się zwałą,  
 niech cwałują grzywami obłąkanych koni  
 po ziemi przeklętej zszatanioną chwałą —  
 wtedy mnie nie będzie — ale będziesz ty.

## BĘDĄ CHRZCINY

Jadą od chrztu, śpiewają  
 a śpiewają na wozie,  
 że chłopak na psa urok  
 okrągłuśki nieboże.

Jurne panny zazdroszczą,  
 pierś stanikiem krępują,  
 bujne piersi matuli  
 chłopca tulą i poją.

Może im też obejmie  
 kibić słodkie spojrzenie,  
 Staśków chłopak tańczy —  
 mówią, że się ożeni.

Siedzą kumy pod ścianą,  
 szczęście w śpiew się wydłuża,  
 piwem chlusta do szklanek,  
 w bezpamięci zanurza.

Kto nie może pić wódki,  
 kto ma oczy kochane —  
 niech umyka ukradkiem —  
 łóżka stoją posłane.

Wieczór chrzci się miłością  
 miłość rośnie jak zaczyn,  
 na wysmukłych osikach  
 rankiem. pączki zobaczysz.

## PASŁEM KROWY

W sinawy pobrzask zanurzone szyje  
 liżą olchowy poranek nad bagnem —  
 pod mgłą wczorajszą przebudzone ptactwo  
 sny wytrzepuje piosenką bezwładne.

Gdyby tu Ezop chciał podrzucić bajkę,  
 (na pewno taką, która nie zaginie),  
 to by mnie spotkał strzegącego miedzy,  
 za którą rosną skarby w koniczynie.

Opodal widać zaranną idyllę,  
 jak bałamuca się w gałęziach ptaki,  
 które obchodząc bociany wstydliwie,  
 miękkie wzruszenie unoszą za krzaki.

Nikt się nie śpieszy, tylko czas odpływa  
 wysoką chmurą przez nieba wierzeje —  
 tylem go czekał, że na pewno starczy,  
 wymion, w których nasz udój dojrzeje.

STANISŁAW SKONECZNY

## NA POSTOJU

Wysokie drzewa. Księżyc z chmur  
 ogniskiem płonie na polanie,  
 gałęzie sosen, zieleń piór  
 trzepotać będzie wczesny ranek.

Szeleszczą krzaki, cienie oczom  
 dzwonią niemieckim ciężkim hełmem,  
 rosa kroplami na paproci,  
 dojrzała gwiazda, błyszczący. Ciemno.

Brzask się obudzi w krzyku kani,  
 parskają konie. Broń o krzaki  
 chrzęści. Strzemiona? Czyż by ułani  
 w las wjechali z obrazu Kossaka?

Sosnom nie dziwno, dębom i grabom  
 twierdzą wyrosły leśnym żołnierzom.  
 Buty podarte, w ręce karabin,  
 gwiazdy na niebie, nie na kołnierzu.

Kępy jałowca, zielony pancierz,  
 łęgi podmokłe, strzeleckie rowy,  
 świerki wysmukłe, ułańskie lance  
 księżyc oświetla czerwony w nowiu.

Wysokie niebo. Skrzypi wiatr  
 gałęzią suchą nad polaną,  
 to nie ułanów z obrazu zwiad,  
 to partyzancka grupa Jana.

Błyskają światła, potem dym  
 jak mgła wyrasta na paprociach,  
 opada woń żywicy w sny,  
 wartom pod pniami las, wróś w oczy.

### NIEŚPIEWANA PIEŚŃ

Kto tę pieśń tobie przyniesie,  
 z lasu, gdy ja nie będę żył?  
 Na paprociach krew kwitnie w lesie,  
 ranny chłopak rosę z trawy spił.

Kołatali w nocy żandarmi,  
 drzwi trzeszczały pod razami kolb,  
 tylko matka wiedziała, że darmo  
 nie zabierze życia syna szkop.

Ale tego matka nie wiedziała, nie  
 że gdzieś kogoś jeszcze syn ma.  
 Nie mógł nocą, nie spotkał się dniem,  
 wciąż tropiony życie by dał,

by miał pieśni, nieśpiewanej nawet,  
 iść samemu do znajomych drzwi.  
 Wiatr na drzewach deszczem się dławił,  
 gałęziami o okna bił.

W rozrzuconych, nieznanach wioskach,  
 w zakamarkach miasteczek i miast —  
 bez munduru służył w polskim wojsku,  
 nie miał czasu w wiersze wkładać gwiazd.

Jak pociski wystrzelone z armat  
rozrywały się gwiazdy w noc —  
wolność nie przychodzi darmo,  
karabin dyktował nasz los.

Ile nazwisk miałem i imion,  
na dowodach, kenkartach, bez kart —  
nie doszukasz się teraz dziewczyno,  
patrz, że żyję, od kulim nie padł.

Niemieccy mordercy w mundurach  
wyjeżdżali na rozbicie band,  
w nocie czarne, jesienne, w chmurach,  
księżyc niebo tratował jak tank.

W leśnych głuszach, na polach i ługach  
kule kulom podawały błysk,  
noc, spiekota, uparta szaruga —  
łomotały odgłosem bitw.

I nie pisać mi było wierszy  
trawy kwitły makami krwi,  
nikt nie wiedział, kto padnie pierwszy,  
noce były dniami, nocami dni.

Ranna rosa perliła liście,  
rozśpiewany ptakami las.  
Leśnym nie raz w zieleni dom śnił się,  
na postoju, gdy na sen był czas.

W oddalonych chatach przy borze,  
przy stodołach w zapachu traw,  
w jasne ranki, w wieczornej porze,  
niespisaną pieśń tę-m ci ślał.

Partyzancka poczta zawiniła  
i jej listonosz wiatr,  
że nie doszły cię te słowa, miła,  
całe pięć długich lat.

W ciężkich butach, w grzmotach ofensywy,  
sześć razy zabity w wieściach —  
przyniosłem ci sam pieśń żywą,  
krótkie zdania długiej opowieści.

## POGRZEB

Nie zbudzi nic Wojtasa, próżny jest płacz Heli,  
przyszły starsze kobiety. Stygł w dymie gromnicy  
dzień letni na ramach okien niedomkniętych.

Zbijał trumnę powoli pod stodołą Grzela:

— Czego głupia darmo nad umarłym krzyczy?

W ogródku warzywnym przekwitała już mięta.

Wymyty i przebrany jakby szedł na sumę,

z obrazkiem w zaciśniętych sztywnie śmiercią palcach  
przeniósł się do drugiej izby w świeżo zbitej trumnie.

Jutro drogą na cmentarz, po szepcie różańca,  
odjedzie w pieśniach za umarłych starego Kaźmierza.

Sprzątają dom sąsiadki, ściany bielą wapnem,  
u Chrostów zaczyniony chleb już wyrósł w dzieżach

i ciasto na placki. Nim brzask różowo kapnął  
na izbę, pieczywo wystygło nakryte na stołach.

Słońce otworzyło dzień jak wrota stodoły,

zaskrzyphiały ręce studzien, szło bydło na paszę,  
ptaki w drzewach zbudzone krzycały wokoło.

Przyszli ludzie na pogrzeb z chałupką od lasu.

Koń grzęznąc ciągnął furę z trumną malowaną  
w blasku przedpołudnia jak w trawie pastwiska.

Ludzie pchali wóz żałobny jęklwym śpiewaniem,

Kaźmierz znad śpiewnika okularami błyskał.

Uchylali czapek w polu pracujący chłopi.

W ostatnim pożegnaniu Wojtas stąd odchodził,

a młody był i silny, kiedy trochę popił.

— Na co umarł? Boleści wzięły go w ogrodzie.

Bramę kościelną umiał zielenią kasztan

nad trumną ustawioną na sosnowych ławkach,

wyszedł ksiądz wysiedlony, dopiero co nastał.

Na wysokich wieżach młode gaworzyły kawki.

W ciszy stała młodzież, kobiety i chłopi.

Ksiądz łacińskie słowa podawał organiście,

wśród dźwięków niezrozumiałych ciało pokropił.

Szeleściły ciepłym wiatrem zagęszczone liście.

Krótką drogą na cmentarz. Kurz koniom kopyta

parzył, podpalony pęcłami rzemienia.

Płacz zamknął trumnę na chwilę odkrytą,

którą garści suchą przysypały ziemią.

Jasina z pogrzebu wracał z Wilkiem. Na łące

jeszcze kwitły niezapominajki, pszczoły kołysały kwiaty.

— Szkoda Władka — mówili — dobrym był ojcem.

Szumiały rowery nad trawą jak wiatry.  
 Kaczki trzcina frunęły, na pastwisku dzieci  
 podnoszą krzyk nad bydłem na kijach olszowych.  
 Pryskały kijanki srebrem wody naprzeciw,  
 po czeremsze słońce nieba dobiegło połowy.  
 Prosiła Hela, gdy wychodzili z cmentarza,  
 by przyszedli na pogrzebek dobrzy ludzie.  
 W odświeżonej wczoraj izbie płomyk lichtarza  
 gaś w modlitwach za umarłych, wieczór wolno rudział.  
 Po ostatniej nucie kromki placka na stołach  
 wyrosły i chleba, mięso flaszkom litrowym  
 wódki wziętej za kontyngent. Grzela dokoła  
 przepijał żal po Władku, bo dobry był człowiek.

Wieś jeszcze spała. Brzask przecierał okna rosą,  
 kiedy przed dom Wojtasów zajechała bryczka.  
 Wskoczyli żandarmi. Izbę kolby głosom  
 rozwarły nastroczonych Niemców. Leutnant zły czekał:  
 — Gdzie chłop! — Umarł, pochowany — mówiła Hela.  
 Dwóch prowadziło rozczochanego sołtysa,  
 który, choć im służył, jak koszula zbiegał.  
 — Umarł, umarł, wczoraj pochowany — dyszał.  
 Leutnant zęby wyszczerzył jak buldog. W zboża  
 gnali zastodołem chłopci ledwie w spodniach.  
 Sołtys zbierał masło, jajka, żeby łagodniej  
 patrzyli Niemcy. Odjechali. Z nimi groza.

PIOTR STANISŁAW ZIARNIK

## MATKA

Pamiętki dzieciństwa przyśpieszyły kroku.  
 Za chwilę na powiekę zamkniętą siądą małe:  
 Matka za rękę wyprowadza je z mroku,  
 Opowiadając cicho — wieczornym całowaniem.

Topole strząsają szmer z liści niecierpliwych.  
 Tak samo wysmukłe, wysokie i zgrabne,  
 Jak w wieczory dziecka — jakież wtedy dziwy  
 Nad wierzchołkami z chmur niedalekich kradłem.

Niepewny chwil trwających w zbyt luźnych konturach.  
 Wtedy nie wiedziałem: czy szumiały drzewa,  
 Czy kształt wciąż od nowa formująca chmura,  
 Czy, gdym zasypiał — Matka podobnie dziś śpiewa.

Teraz mówi cicho — tak się żyta kołysały kłosa.  
Na sztywnej słomie za wysokiej dla malca.  
Dopiero, gdy splątana wyciągałem z pokosa,  
Kłos wąsaty łamał się i kruszył w podrapanych palcach.

Ojciec: dalekimi susami uciekał łuk płonący kosy  
Zgrzytliwy zrazu, chrapliwy, a później szumiący  
Z chrzęstem zmieszany żyta. Dziś nie wiem, czy to pokosa  
Szumiała, czy kosa, czy wiatr przez palce strumieniem gorącym.

Uskrzydłone słowami Matki wspomnienia sielskie  
Zakryły oczy. Na ustach, w uszach mi rosną  
Mów, Matko! Ogród dzieciństwa zarósł zielskiem  
Nieodwiedzany. A ty wskrzeszasz go i maisz, jak wiosną.





## II. Z LUDU W NARÓD

---

JÓZEF BIŃCZAK (Bolesław Słowiański)

### ZAWIEJA

Poprzez wzgórza, padoly, od dalekich światów  
przypadł wicher — siwek skrzydlaty.

Patrz — ku samotnie stojącym pannom brzozom  
na paluszkach przyskoczył, podał rączkę wesołek-bożyc.  
Przytupnął, białą kapotką zamasyście wywinął  
i — kółeczko, dziewczyny!

Zawrotnym korowodem  
owijają, otaczają sosnę-wdowę.  
Pędzą. W biało-mrocznej kurniawie brzezinom bosym  
raz po raz giną łyskliwie golasy.  
Tną ostro stareńkie brodacze — muzykusy — dęby —  
nie żałują ni basetli, ni bębna.  
Po pagórze, po dolinie, po całym lesie  
ino, ino rozlega się!

Aż ci nienackiem rozhasana zawieja,  
jak pijana potacza się, mdleje —  
w gałęziskach olszyn kościanymi dłońmi  
coraz ciszej, ciszej dzwoni —

O zawiejo, w białej woalce sroga latawico —  
któżby myślał, że nad biednym partyzantem zdejmie cię litość:  
leżącego skronią pośród jeżyn ciernistych  
przyodziłaś, otuliłaś puchami zaspę.

Z gęstwiny świerków wylazł Bielboh — gazda stary —  
i przesmutnie ćmi zapaloną u gwiazdy fajkę wieczoru.

HENRYK BIŁKA

WSPOMNIENIA  
Z RODZINNEJ ŻYWIECCZYZNY

W chwilach wytchnienia wśród pracy,  
W tym miejskim gwarze i tłoku,  
Wspominam Cię, Żywiecczyzno,  
Mych stron rodzinnych uroku!

Wspomniawszy dzieje mej Ziemi,  
Gdy się tak w myślach pograżę,  
Widzę żywieckie zabytki,  
Dotykam ich — mówię z nimi.

Z Sołą o Żywcu pogwarzę...  
I z Komonieckim, co dzieje  
Żywieckiej ziemi opisał,  
Z krzyżem, co z Grojca jaśnieje.

I każdy kamień przydrożny,  
Jakoby starzy dziadowie,  
O wojnie szwedzkiej, o zbójach  
Powieść ciekawą opowie.

Wszystko to słyszę... przeżywam...  
A gdy wzrok puszczę groniami:  
Widzę samotny Jałowiec,  
Co się owinął chmurami.

Jak smutny zerka do Żywca, —  
Czasami z Pilskiem pogwarzy, —  
Do Babiej Góry śle swaty, —  
Jak żołnierz stoi na straży...

Do nóg mu padła w pokorze  
Wieś ma rodzinna, Stryszawa;  
Trzy łez potoki wylewa,  
I w Suchej zbiera je Skawa.

I mnie tak życie zabrało...  
Taka już doła zdradziecka!  
Lecz nie zapomnę o tobie,  
Rodzinna Ziemi Żywiecka!

JÓZEF BOJAR

## WIECZÓR W ZASTYRZU

Daleko marzące spojrzenie się topi  
na wzburzonych wód Styru kryształe:  
Idę samotny wśród łąk krętą ścieżyną:  
trawa w purpurze zachodu się pali.

Nad Lasem Kopaczowskim kona krwawo  
oko dnia — słońce — gdzieś ginie,  
Wołyń się okrywa nocy kurzawą,  
zabłąkana czajka, kwiląc w powietrzu płynie.

Ostry pisk rybitwy osiada na czubku topoli,  
spłoszony wbija się w kożuch owcy, —  
rybak mnie wita: — Sława Bohu! z oddali...  
jam tu przecież swój — tutejszy, nie obcy...

W ostrą woń łąk wdarł się gwizd —  
pociąg przed mostem rży jak źrebiec —  
zza Wzgórz Sitarowieckich, łysy gondolier,  
księżyc, rozpoczął żeglarke po niebie.

Zastyrze jest ciche — do snu się układa,  
tylko u Pawła Wichary Jaśka światło pali;  
Z Żałobowa pieśń płynie i w rzekę wpada:  
nurtem wciąż leci dalej i dalej...

Cisza i gwiazdy i księżyc zadumany  
dostojnie świeci nad śpiącym Zastyrzem:  
idę jak urzeczony — słowa wargi szepczą —  
o losie mój! — o szczęście! — czy do was się zbliżam?

BRONISŁAW MAZUR

## BŁOGOSŁAWIENSTWO RĄK

Ojczy — dłonie Twoje w sękach —  
a miękko muskały rodne kiście żyta  
— wydało mi się, że ta twarda ręka  
nad kłosami jak święta zawisa —

pamiętam  
 pod upału ciężarem szeleszczące snopy  
 i stodoła niesyta — od lasu błysk!  
 na rozognionych lunęło ze stropu,  
 jakby z nagła dał kto chłopu w pysk.

— Wieczorami, przed świętem,  
 po pracy — mleko takie słodkie  
 i uśmiechy gwiazd —  
 leżąc w trawie  
 myśli jak ptaki podrywające się z gniazd  
 i u komet zawieszane nadzieje  
 pamiętam —;

potem rżyska i jesień;  
 rozwlekłe szarugi —  
 gniady przeczuł — łeb zwiesił,  
 nie chciał iść do pług! —

Przez dni te długo cień mój, ode mnie odrastał  
 i nieprzeczuła miłość, za mgłami kryła się wciąż —  
 aż rzucił mię los na obey bruk miasta  
 jak od drzewa wiatrami oderwaną gałąź —

i teraz czujny — każdy podmuch chwytam  
 — który pewnie wiosną tam na pola spadł —  
 i przeczuwam nad wyrostem kielkującego żyta  
 błogosławieństwem zawisły Twojej ręki kształt.

JACEK MARIA ORLIK

## W CHAŁUPIE

Podłoga z bitej gliny. Śmiecie zgarnia się co dzień pod ławę,  
 By miały w czym czmychać księżycową nocą głodne myszy...  
 Spod pułapu skośnie wiszącymi obrazami patrzą dziwnie, łzawie,  
 Prymitywnie malowani święci... Życie żmudem dyszy...

Na polach, gdzie po bagnach sennie kopice z otawą drzemią,  
 Patrzą z chałup małe okienka pomalowane kurzem i deszczem.  
 Żyje się co dzień jednako nad zalaną moczarami ziemią —  
 Woda i cisza... i niebo... ponure życia kleszcze.

W izbie sino od ostrego dymu gryzącej oczy machorki.  
 ...Podobne do omglonego poranku jesienią nad mszarem...  
 Ostry zapach kapusty... Mdło, pachną przypalone kartoszki...  
 Dnie codzienne te same..., lata jak życie szare!

Oczy wlepione w żelazne garnki odymione sadzą,  
 Pachnące dla nas jak bajka... zapachem pierogów i ryby.  
 Dna pustych garnków — same nic do ust nie dadzą,  
 Daleko jeszcze i długo, nim się zsieją po lasach nowe grzyby.  
 Twarze blade, anemiczne jak bielona gliną ściana.  
 Na nogach skrzypią plecione z lipowego łyka łapcie.  
 Kłuje skórę, jak rżysko, ostra koszula parciana —  
 Chłodno, głodno i biednie... w nadbłotnej poleskiej chacie.

1939

JAN POCEK

## W CHACIE

Choć chata moja pachniała żywicą i kwitnącą wiśnią,  
 Choć lśniła wapnem białym —  
 Jednak...  
 Nigdy w niej radości błysku  
 Nie ujrzałem.  
 To — ojca twarz, od trudu purpurowa, jak ogródkowa malwa  
 Rzuciła ponury cień czarny  
 Na czarny ogromny krzyż —  
 Na życia mego świt —  
 Dzieciństwo!  
 Bo, wraz ze świerszczem, który dzwonił w zimowe mroźne noce  
 Ukryty gdzieś pod masywem wielkiego komina —  
 Matka płakała przeciągłym szlochem  
 Nad moją dolą — dolą syna!...  
 Niekiedy tylko — w niedzielne popołudnia,  
 Gdy malwy do modlitw przed słońca obrazem pokłękły —  
 Ogarniał mą duszę  
 Ciepły nastrój odświeżny...

LEON POKORA

## NASZA WOLNOŚĆ

Idziesz przodem — w zgrzebnej koszuli... cham.  
 Idziesz przodem — nie za nagrodę —  
 po strzał, grób wspólny... i ciszę...  
 Po — „Wieczny odpoczynek racz mu dać...” — gdy — patrz: —  
 więźnie w rozkiść gliniastą  
 rozbita kolbą głowa!

Trwasz zaklęty w milczeniu pozycji...  
 (więc nic... bo cóż?... bo jak...),  
 Dławi krtań

— modlitwa o karabin.

(nie sztandar to i orderzy na grób)  
 Ległeś, psów wycie cię już nie przeraża...  
 Co przyjdzie z Ojczyzny rozstrzelanej —  
 co przyjdzie ci chłopie — z wolności!  
 Ścisk pięści, honorowy wzrok — to ty!

— Tytanie wiosen polskich...

Polska zamarła w łyzy... rzezi w milczeniu woli.  
 Spal! — oślepył zemstą własną wieś —  
 a nad zarzynanym swym dzieckiem postaw rozkaz:  
 trwać!

Trwać, gdy płacze bezdzietna polska ziemia — — —  
 modlitwą rozkazu: „Na bagnety!“

...Cóż, że ten wiesz tobie piszę —  
 gdy — TY! — bojowcu chłopski — przywalony  
 jesteś bryłami ziemi niepomszczonej,  
 grudami serca, psów wyciem... i co?...

— — — Jutro runiesz — śmierć wiekuista,  
 w — — — Chłopskie Życie!!!

— Naszą Wolność!

Listopad 1943.

MICHAŁ PEKAŁSKI

## ŻYCIE

Padaly paciorki różańca  
 przesuwane ręką pracowicie,  
 napełniały powoli po brzegi kruz życia  
 powoli, powolutku,  
 jak najciszej, cichutko.  
 Jeden po drugim padaly  
 miesiąc, rok, życie całe.

Aż zabrakło paciorków w różańcu,  
 pozostał tylko mały, czarny krzyżyk —  
 a paciorki się rozsuly daleko, dokoła,  
 Kto znaleźć choć jeden zdoła?  
 Który z nich dalej, a który bliżej?

Nic — nic, —

Pozostał jedynie mały czarny krzyżyk.

WŁADYSŁAW STRZELECKI

DZIEŃ

Brzaskiem wypływa w rosę,  
rózowym wstaje świtem,  
dzień rozchełstany, bosy,  
pełen zapachu żyta.

Zaledwie blasku strumień  
garścią sypnął na błonie —  
w perłach się rosy umył,  
kosami się rozdzwonił.

Słonecznym się razowcem  
rozrosły ziarna w sнопach.  
— Weźmiecie — ile kto chce.  
— Będzie dla wszystkich pokarm.

— Krwią ziemię spulchniła ziarnom —  
źniwo nam się uda.  
W garść Polskę wzięlim twardo,  
chłopi — żyłaści trudem.

— Synom matką nie byłaś.  
My ci zawsze synami  
i nie ma takiej siły,  
której byśmy cię dali.

— Pot wypiję z koszuli —  
blasku plaster słoneczny —  
i do niej się przytulisz  
najszczerzej, najserdeczniej.

Manifest — kopy pszenne,  
na białych płachtach ściernisk.  
Słysz, ziemio... Nieodmienni...  
Im boleśniej, tym wierniej!

Niech się czasy uwezma  
na dolę czy niedolę.  
Krwawa wiosna z walk wzrosła  
na ulicach i w polu.

Niech wichry załomocą  
na szczęście czy nieszczęście.  
Jednako słony pot w oczach.  
Jednako kosy brzęczą.

Dzień się rozparł wśród kopic,  
 śmiechem w pokosy chlusnął.  
 — Podajcie garście, chłopci! —  
 — Wleję wam siły na jutro! —

Wozy dudnią i skrzypią,  
 wiozą zboże do stodół.  
 W skwar południa przenika  
 muzyka z pól, z ogrodów...

— Niech we krwi niebo stanie  
 choćby jutro świtaniem.  
 Ziemi! — Matko rodzona —  
 tobie wierni zostaniem!...

Pług ugór zmusi rodzić,  
 Miedz kraty traktor zorze.  
 Rozpostrzesz się wygodnie  
 łąnów szumiących morzem.

— Niech by nawet dziś jeszcze  
 zorze twoje pogasły.  
 — Polsko! Trzebaż ci — wieści?  
 w naszych sercach twa jasność!

— Dni własnych konstruktorzy  
 słońce podniosiem w łunach —  
 a tobie się ukorzym  
 ziemio — nienagrodzona.

— Na miłość ciepłem skib ogrzej.  
 Na pokój nakarm ziarnem.  
 Modlitw strudzonych wysłuchaj...  
 Prochy... nasze... przygarnij...



### III. POEZJA SAMORODNA

---

STANISŁAW BOJARCZUK

\* \* \*

Dziwny czas. Zima nie zieję swą paszczą.  
Nocą mróz szronu iskierkami nie lśni.  
Dni zimy, niby płaczkowie boleśni,  
nad męką człeczych spodleń — deszczem płaczą.

Nie dają mokrym wyschnąć lasu płaszczom  
szarganym pośród omszałych drzew pleśni...  
W lasach? Ni duchy, ni fauni leśni,  
depczą te płazy — co się nazbyt płaszczą...

Jakoś się tępo zmieniają pejzaże!  
Wciąż wśród helotów — ucztę baltazarze...  
Bez liku mnoży ofiary swe Ares.

Brzydko, acz ciepło. Zamiast sanny — błoto...  
Czyżes zmuszona tak leżeć weń, hołoto,  
gdy... tam cię wita: Mane-Tekel-Fares?...

Grudzień 1943 — styczeń 1944.

STANISŁAW JUCHA

TAKI DOPUST BOSKI

Jestem chłopskim synem  
małego rolnika —  
mam dwie krówki dojne,  
gniadego konika...  
Mieszkam sobie na wsi,  
z daleka od miasta,  
ze mną dziecko kupa  
i — moja niewiasta...

Mam se domek mały  
czysto wybielony —  
słońce weń zagląda,  
z każdej świata strony.

Zagląda słoneczko,  
a i bieda czasem  
do  
białej chałupy,  
co stoi  
pod lasem.

Chłopskiego ja rodu,  
dość niebogatego — —  
taki dopust boski —  
— cóż komu do tego?...

JÓZEF KAPUŚCIŃSKI

LISTOPAD

Co ode mnie chce starucha,  
Że mi co dzień pod nos dmucha,  
I umizga się zalotnie,  
I nastaje na mnie psotnie?

Chce wyjść za mnie przed adwentem —  
Ja unikam jej ze wstrętem.  
Zamiast kwiatów, rzucam liście,  
By utrudnić tu jej przyjście.

Jam jest w pełni sił i werwy —  
 Hulam w polach wciąż bez przerwy.  
 Stroję w zieleń mórz zagony,  
 Jestem bogacz, mam miliony

Złotych, srebrnych i czerwieńców.  
 Nie brakuje mi rumieńców,  
 Choć się śpiewam czasem smutnie.  
 A nie nazwie nikt mnie trutniem:  
 Orzę pilnie na ogrodach,  
 Łowię ryby zaś na wodach.

Łatam mosty, dróg wyboje  
 Las w brunatne szaty stroję.  
 Ale ona, ta kostucha,  
 Stara, siwa, niema, głucha —

Wszak ją wszyscy nienawidzą  
 I z nią razem iść się wstydzą —  
 Ona mnie nie weźmie kantem,  
 Choć tak śpiewa w noc dyszkantem.

A jak przyjdzie Bonifacy,  
 Staną już do stałej pracy,  
 Gdy zarobię zboża krzywę,  
 Łapnę swoją Katarzynę...

JAN MARCINEK

GMINA RADZI...

(fragment poematu pt. „Straszny rok“)

Wójt, lat przeszło pięćdziesiąt liczący, chłop śniady,  
 Jak pracował w stodole, tak zasiadł do rady.  
 Ubrany w zgrzebne portki podarte — i bosi.  
 Już dobrze koło uszów bieleją mu włosy.  
 Twarz owalna, spokojna, wąsy kędzierzawe,  
 Nos tępo zakończony, oczy siwe, łzawe.  
 Koszulę ma pod szyją sznurkiem zawiązaną  
 z płótna, własnej roboty, pasem przypasaną.  
 Na pasie wisi torba z płótna, a w niej chował  
 worek z tytoniem, który wyjął i ładował.  
 Białą fajkę na bączku, cybuch u niej gięty.  
 Poznać można, że z wójta kurzac jest zawzięty.

Włożył próchna do fajki, krzesiwem zapalił  
 I pykając raz po raz kłęby dymu walił.  
 Coś myślał, gładził ręką swoje łyse czoło,  
 Zdjął okulary, przetarł, rozejrzał się wkoło,  
 Otarł wąsy rękawem i rzecze po chwili:  
 „Proszę pana pisarza, my chwilę radzili  
 Nad sprawą dróg gromadzkich, lecz mi się tak zdaje,  
 Że u nas po dawnemu ta sprawa zostaje.  
 Jak trza drogi naprawić, to każdy gotowy,  
 Lecz o żadnej uchwale nie może być mowy.  
 Tu, nim pan pisarz przyszedł, kilku głos zabrało  
 I przeciwko szarwarkom się wypowiedziało“.  
 Na to pisarz z uśmiechem ozwał się w te słowa:  
 „O tym także w Byszycach była dzisiaj mowa.  
 Tak samo była rada gromadzka zebrana  
 I sprawa szarwarkowa przedyskutowana,  
 Początkowo nie wszyscy doniosłość tej sprawy  
 Rozumieli. Ten temat był dla nich ciekawy.  
 Ja im go wytłumaczył, oni wysłuchali,  
 Za szarwarkami prawie wszyscy głosy dali.  
 Jeżeli naprawicie należyście drogi,  
 To czy kmieć, czy zagrodnik, czy człowiek ubogi  
 Z prawdziwą przyjemnością będzie dróg używał,  
 Nie będzie brnął w kałuży, wozu wydobywał  
 Złamanego z rynsztoku, a sam w błocie brodził —  
 Ale bezpiecznie jechał, w czystych butach chodził“.  
 Luber podniósł się z ławy, w te słowa przerywa:  
 — „Wójt mówił, że starosta do tego nas wzywa.  
 Ale mnie się tak zdaje, że jak się zgodzimy,  
 Podpiszemy uchwałę, to robić musimy  
 Jeden rok i drugi rok, i tak w dalsze lata,  
 Człowiek wprawdzie niemłody, wkrótce z tego świata  
 Zawołają, a młodzi zostaną i będą  
 Klnąć na nas, ciężaru się tego nie pozbędą.  
 — Ja się na to nie godzę!“ — Gawęda powstaje  
 I mówi: „Moje chłopcy, mnie to się tak zdaje:  
 Jak jedni uchwalili, to i nam potrzeba;  
 Za nas dróg nie naprawią aniolowie z nieba“.  
 Jasiurek w kożuszynie cicho w kącie siedział  
 Podniósł się i te słowa nieśmiało powiedział:  
 „Ja, moje dobre chłopcy, jestem tego zdania,  
 Że starosta nas przez to do pracy nagania,  
 Bo mu ludzie donoszą, że trudno przejechać,  
 Trza uchwalić, głupiego uporu zaniechać.  
 Ja też stary, lecz chętnie pójdę do roboty  
 Trudno-darmo trza chłopcy dołożyć ochoty“.  
 Wójt powstał podniósł rękę i cisza nastąpiła

Zaczął mówić: „Szanowna Rada wysłuchała  
 Mojego przemówienia i pana pisarza,  
 A co teraz nadmienię, niech każdy uważa:  
 Są dwa wnioski: z tych jeden Jasiurek postawił.  
 Kto jest za nim niech wstanie. Nie będę się bawił,  
 Bo muszę przejść do punktu wkrótce następnego,  
 Więc kto za nim niech wstanie“. Jeden na drugiego  
 Pogląda, lecz nie wstaje. A wójt ucieszony  
 Powiada: „Aprobuję. Wniosek uchwalony.  
 Jeżeli nikt nie przeczy, znaczy, że się godzi,  
 Więc jednogłośnie wniosek Jasiurków przechodzi“.  
 Po tych słowach powstaje, za obrazkiem szuka,  
 Lewej ręki palcem po czole się puka.  
 Wyjął plik aktów, z których otarł pajęczynę,  
 Coś w nich szuka, przybrawszy urzędową minę.  
 Radni patrzą z wyrzutem jeden na drugiego,  
 Nie są zadowoleni z przebiegu takiego,  
 Jaki sprytny wójt nadał tak poważnej sprawie,  
 Dłubią we fajkach, mruczą, kręcą się na ławie.  
 Jednak żaden protestu z radnych nie zakłada,  
 Chociaż zły, czuje niechęć do swego sąsiada.  
 Pisarz pisze w pośpiechu, nie traci i chwili,  
 Ani się zastanawia, ani się nie myli.  
 Syczy pióro, jak gęsi dziób, gdy owies zbiera.  
 A wójt zdjął okulary papierem wyciera.  
 Założywszy na oczy, znowu zaczął szukać,  
 Z niecierpliwości zaczął palicami pukać  
 Po stole, wreszcie mruknął: „Do ciężkiej cholery!  
 Z pewnością baby aktem owinęły sery“.  
 Spostrzegł żonę przy kuchni, woła ją do siebie  
 I pyta: „Nie wiesz, matka, kto mi w aktach grzebie?“  
 „Ja ci tam, ojciec“, w aktach wcale nie grzebała,  
 Tylko przedwczoraj Hanka serki nakrywała  
 Jakimiś papierami. Z pieczętkami były,  
 Boby nam były serki muchy spaskudziły“.  
 Rzekła żona. Wójt na to: „Idź, przynieś te akta,  
 O ile nie zabrała je Hanka do miasta“.  
 Żona wyszła. Po chwili wróciła z aktami,  
 Poznać zaraz, chroniły serki przed muchami:  
 Były mokre, w dodatku dość gęsto znaczone  
 Punktikami czarnymi, pomięte, splamione.  
 Wójt się nawet na żonę nie bardzo pogniewał,  
 Wziął akta, wyprostował, rękawem ocierał  
 I mówił do obecnych: „Tak to tak z babami,  
 Nakrywają ser, masło, ważnymi aktami“.  
 Oczyszcziwszy cokolwiek arkusze podane  
 (Niektóre są zmoczone, serem powalane)

Podsuwa pisarzowi, pisarz głową kiwa  
 W te słowa się do wójta półgłosem odzywa:  
 „Tu jest jeden ważny akt, a taki zniszczony.  
 Musi być wypełniony, Starostwu zwrócony.  
 A tu jak na nim pisać i jak zwrócić taki?“  
 „Mnie się już zaczynają kręcić w brzuchu flaki“  
 Mówi wójt, łyse czoło prawą ręką skrobie —  
 „Te psiekrwie baby wszystko lekceważą sobie,  
 Ja się tu dość nagadał, Boga naobrażał.  
 Ale będzie to człowiek na wszystko uważał!“  
 „Gdzie wójcie reszta aktów?“ — pisarz zapytuje —  
 „Bo nam jeszcze jednego, ważnego brakuje“.  
 A wójt na to: „To dobrze! Na półce poszukam,  
 Nie znajdę go, to Hanke cholere zaszturkam“.

JAN STECIUK

#### PIOSENKA DZIEWCZEŃCA

Jadą partyzanci hen drogą od lasu,  
 cekaemy niosą, brakuje im czasu.

Kasia na próg wyszła, na drogę spojrzała —  
 serce boli, z żalu omal nie zemdlała.

Wiozą mego Jaśka, ranionego niosą,  
 po potyczce ciężkiej na spoczynek śpieszą.

A Jasiak przez nogi, a Jasiak przez ręki —  
 ach Boże, mój Boże — jakie cierpi męki...

Janku, ty mój Janku, gdybym z tobą była,  
 możebym w niedoli ci przecie ulżyła...

Spałabym przy tobie na złotym mchu w lesie,  
 Kochając nad życie w ciężkim ciebie losie.

...Bardziej niż był zdrowy, dziś, kiedyś kaleki,  
 otwarte me serce dla ciebie na wieki...

Tyś był pierwszy, z tobą stawałam za progiem —  
 i teraz przysięgam miłość ci przed Bogiem...

...Umarł Janek z bólu w jaworowym gaju,  
 ale oto razem dwoje ciał chowają:  
 ptaszki leśne nucą se na ich pogrzebie,  
 że się pokochali setnie..., ale w niebie...

PIOTR STOPCZYK

KEBLINY W OBERKU

Więc zaczynam od pierwszego,  
od młodego, bezmyślnego;

Ożenił się, zrobił długu,  
poszedł orać, spał przy pługu,

Toteż za to, że był śpiochem,  
nie chciał mu rósć owies z grochem.

Trzymał się baby za schaby  
i narzekał, że jest słaby,

Do roboty nie miał siły;  
ale dzieci się rodziły.

Nie robił jak robią drudzy:  
Klimczak, Sławski i Jarmuzy.

U Franciszka dobrze leci,  
choć ma jedenaście dzieci.

Ale Ignac, jak obity,  
bo ma dosyć od kobity.

Taka dziarska, taka żywa,  
lecz za bardzo gadatliwa,

To on nie wiele narzeka,  
zatka uszy i ucieka.

Mówi: baba jak się uprze,  
usmarcze się i nie utrze,

A że dobra gospodyni,  
pozna siebie, to się zmieni.

Stach Buczyński jest wstydlivy,  
A Andrzejczak podejrzliwy.

Łączeskie choć źle robili,  
lecz za dobrych uchodzili.

Duży Chojdys był soltysem,  
a jego zięć tylko łysym.

Staśko Marek z Babulińskim  
drepcą sobie truchtem świńskim.

Ja się tam z nimi nie słaniom;  
oni nawet w sądzie kłamią.

Babulinę każdy łaje:  
należności nie oddaje,

Ma opinię bardzo lichą,  
zwią ją znaną cyganichą.

Moja Maryś, żonka miła,  
język sobie postrzępiła,

Bo ma długi jak paprzyce,  
dziamię jak psiak na kocicę.

Konczarkowa jest niepłocha,  
tę kobietę tobym kochał,

Bo jest wdzięczna, bardzo miła,  
Żeby moja taka była!

#### MIESZKO WOJDAŁA

#### DO DZIEWCZYNY

W miękkiej, bieluchnej dłoni trzymasz zielony listek  
I mnie i ciebie otacza przestrzeni koło mgliste.

Ja w jednej ręce trzymam rozbrzdąkaną gitarę.  
U ciebie na lewej ręczce cyka złoty zegarek.

Wiesz dlaczego jesteśmy tylko sobą zajęci?  
Bom się uwiecznił w twojej, a ty w mojej pamięci.

Wszystko czas może odmienić i z pamięci wyrzucić,  
Tylko mych oczu od ciebie nigdy nie odwróci

#### MARIA WOŻNA

#### ZAPUSTY

Matuś moja, matuś miła,  
O co ja bym was prosiła...  
Żeby u nas na zapusty  
Był zabity wieprzek tłusty!

Boć ja przecie na wydaniu,  
Trza wam myśleć o swataniu,  
A jak się nie przystroicie,  
Toby wstyd był dla was przecie!...



Będą goście tu nie lada:  
 Przyjdą dziewczuchy sąsiada,  
 Przyjdzie Genia i Otylka,  
 Stefka, Jadzia, innych kilka:

A chłopaków co tu będzie  
 Staszek, Henryk, Józek przyjdzie;  
 A mój Jasiak piękniusieńki  
 Przyjdzie do swojej Jagienki!

Jeszcze matuś inne żale:  
 Wystroicie mnie w korale?  
 Popatrzycie, jak przymierzę!  
 Aż mię wielka radość bierze!...

A ta wstążka czerwonuska  
 O jaka ją rumieniuśka!...  
 Te warkocze obwiedzione  
 Mam na głowie jak koronę...

Bluzkę wdzienę jedwabistą  
 I spódniczkę tę kwiacistą...  
 I gorsecik wyszywany...  
 I trzewiczek glancowany.

Bo chłopczyska, to są juchy!  
 Umią patrzeć na dziewczuchy;  
 Może się jakiemu zwidzę?...  
 Nie śmiejcie się, bo się wstydzę.

Co się, matuś, tak śmiejecie?  
 O ranyści, o na świecie!  
 Wasza Jagna taka jucha,  
 Kocha jeno Jaśka-zucha!

EDWARD WRONA

MOJA WIOSKA

Hej, wiosko moja czarowna,  
 Pełna uroków jak wiosna.  
 Tyś moje szczęście całe,  
 Takie promienne, trwałe.

Hej, wiosko moja, w górach.  
 Ukryta czasem w chmurach.  
 Gdzież słońce piękniej świeci?  
 Gdzież życie milej leci?

Z wiosną skowronek śpiewa,  
Cudownie kwitną drzewa,  
Zieleń pokrywa lasy,  
Rozkosznie pachną kwiaty.

A w dali szumi rzeka.  
U chaty piesek szczeka,  
Na gruszy gwizdzą szpaki,  
Gosposie sieją maki.

Kotek się czai na dachu,  
Wróble ćwierkają ze strachu,  
W gaju zazula kuka,  
W potoku młynek stuka.

Piosenkę wiatер niesie.  
Słychać jej echo w lesie!  
Gdzie na ukwieconej ścieżce  
spotykam moje dziewczę!

#### KRAKOWIANKI

Pachną znów chabry i rumianki,  
minęło parę długich lat...  
pędzono górali i góralki,  
młode dziewczęta ludzi z miast...

Dziś —  
jakże piękniej jodłowy szumi las...  
idę lasem —  
jaśniej cudny świat.

Muzo — coś mi przypomnij,  
już — już...  
i oto widzę rynek i wieniec z piwonii,  
w nim napis wyryty:

Tu na tym miejscu przysięgał wieczystą  
miłość ojczyzny Tadeusz Kościuszko.  
Słońce wschodzi. W promieniach,  
jak te gwiazdeczki małe.

Kropelki rosy lśnią —  
a młode krakowianki jeszcze mi w sercu tkwią —  
jadły odświętne strojne  
dziś słońce w lesie urządza wielki bal.

Strumyki grają poloneza...  
a w górze orzeł biały —  
szybuje śmiało w dal.

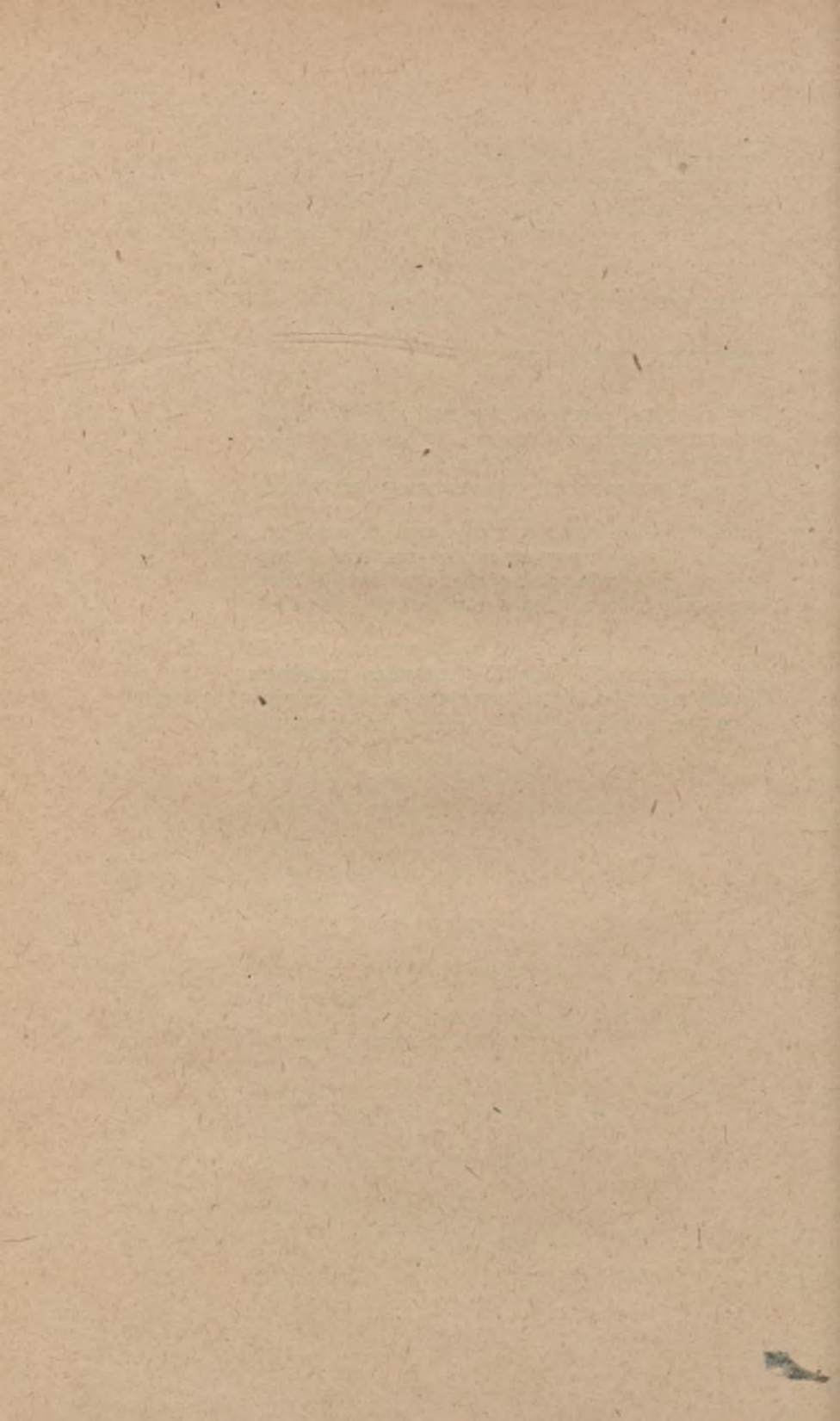
PIOTR WYROBEK

### POBUDKA WIOSENNA

Gdy ci kogut pierwszy raz nad ranem zapieje,  
Popatrz zaraz przez okno: czy na polu leje,  
Bo jeżeli pogoda — zabierz się do siania  
Głowa cię nie zaboli od wczesnego wstania.

Należałeś się dosyć w zimie pod pierzyną,  
Musisz „futraz“ przystroić też na zimę inną.  
Byś na zimę miał pełno zboża w swej stodole,  
Staraj się o to z wiosną i wyjeżdżaj w pole!

Jest to starą prawdą, że z księżycem „w pełni“,  
Gdy zasadzisz ziemniaki — piwnicę napelnisz.  
Chcesz ziemniaki mieć wczesne, zasadź między „nowiem“,  
A co masz dalej robić — niech ci rozum powie.



PROZA



## C Z Ę Ś Ć II. — P R O Z A

---

WINCENTY BUREK

### ZACZEŁO SIĘ OD STUDNI

#### I.

Moc dobra nasporzył los ludziom ocińskim, że ino żyć na tym Ocinku i nie umierać. Było tam, było, czego tam nie było. Pól pod dostatkiem miał tu każdy jeden, ról dorodnych na podziw. Łąk i pastewników było we wsi tyle, że nigdy ta nie ułaknęło bydłę domowe smakowitej zieleniny. Miasto było blisko, gościniec biegł tuż zaraz, do sąsiednich wsi kamieniem by dorzucił, do kościoła było niedaleko. Ej, cieszyć się ino Ocińsiakom z szczęśliwych darów, cieszyć się i radować w rozhuku wesela.

Takby się widziało każdemu oku, jakie by tylko patrzyło na ocińskie dobra, dostatki, wygody. Takby się pośpiesznemu patrzeniu przedstawił ów szczęśliwy los. Ale jakby tak wejrzyć bliżej, uważniej, w szczegól jeden i drugi? Wtenczas zawsze i bez odmiany ulegała się myśl, aby się litować szczerym słowem:

- Oj, biedę też mają tutaj, mają.
- Nie jest im dobrze ze wszystkim, nie.
- Wody nie mają.

Woda. Niby była ta woda tuż zaraz wedle wsi, o staje, o dwa, ale jaka tam woda! Mogło się jej bydle nachlapać, krowa i koń, ale człeka omierza ino brała, gdy tę wodę na język brał. Cóż za woda mogła płynąć w maluśkiej rzeczce, zmulonej, spapranej mątem i zgniłym smrodem! Ileż razy z leniwego wartu tej wody wysterczały oślizgłe gicały jakie

goś 'chabana, co se płynął niewiadomo skąd i mókł w rzece tygodniami. Jak taką wodę pić, jak ją na użytek brać?

Próbowali ludzie tu i tam dobrać się do wody wśród łąk, gdzie suszej, choć niżej. Na nic. Otwierały się zaraz o kilka sztychów w głąb jakiesiś zygawce, paskudne nurty, plujące w górę zwichrzonym bełtem, że nie wodę czerpało się stamtąd, ale jakiś pienisty ulipek, pełen piachu i paprochów.

— Nie poradzi... — potwierdzali między sobą swoją nieporadę. — Tak już musi być, jak było za ojców, praojców. Takie prawo na nas...

Jeszcze jak na złość cała wieś ułożyła się na wyniosłych pagórkach, co o wiele łokci królowały ponad płaszczynami łąk i poziomem rzeczki. Pagóry to były co się zowie, licie gli-niaste, zbudowane z krzepkiej calizny na mur. Pewnie, że wygodą stąd szła dla ludzi, bo gdziebyś tu błoto jakie uświadczyl, albo wodę stojącą na drodze. No jużci. Ale wygodą wygodą, a wody w tym sposobie dobić się nie dobije. Nawet myśleć o tym na prawdę nikomu na Ocinku się nie chciało. Szkoda fatygi i mitregi.

— Ij, bo to się do wody dobierze?... — myśleli zgodnie. — Trza by do sta łokci kopać, a czy to się opłaci? Wskoczy jaki diabeł zygawiec i na nic wszystkie nasze zapobieggi. A choć by się ta i dobył tej wody, to trza by zdrowie zjeść przy korbie, zaczym by jakie wiaderko wyciągnął...

I płynęły wieki za wiekami, powstawały na wsi nowe pokolenia i kładły się warstwami na smętarnu jak snopki w zapolu, czas umykał, świat się przemieniał w przepływie czasu, świat się ulepszał coraz, tylko na Ocinku największa bieda: woda nie odmieniła się w dobro. Bieda ostała biedą, i nie zanosiło się wcale, żeby miała odstać od wsi.

— Ha, wola boska... Takie prawo... Jak za ojców, praojców.

## II.

Na Drugiej Górcie ocińskiej siedziało pobok siebie pięciu gospodarzy. Z jednej strony drogi Partyka i Płaza Jasiak, na przeciwko nich Siwy Kaźmirz, Rybus i Płaza Wawrzek. Chłopy to były na całej wsi najmożniejsze, obłożone w morgi i dobytek.



Komu jak komu, ale im to na pewno nie mogła iść na rękę niewygoda z wodą. Oj, co nie, to nie!

W tej piątce wyróżniał się od reszty Płaza Wawrzek. Odmienił się zresztą od wszystkich tutaj na wsi chłopów, ilu ich tam nie było. Już od młodu nadstawiał czujnie ucha i pilnie wylapywał wszystko, co światem chodziło i pożytek niosło. Chłop-ci z niego był z głową otwartą i rozumem nie bylejakim.

— Świat podgania naprzód, czemu chłop ma się w tyle ostawać? — rozgadywał w gromadzie. — Czemu chłop ma na twardym spać, kiedy miękcej naścielić se może?...

I jednego dnia poszedł do sąsiadów, co pobok niego siedzieli, z radą dziwną, opętaną.

Sąsiedzi nie mogli się opędzić myśli, że Wawrzek chybnął tym razem na rozumie. Niby mądrała, a tak głupio wyjechał. Studnię budować. Przecież, jak Ocinek Ocinkiem nikt się na wsi na coś podobnego nie poważył. Stała wieś od wiek wieków, cierpiał naród od złej wody, niewygód przez nią se sporzy, ale jakoś żył i żyje. A zresztą, czy to starzy mądrale nie rozpowiadali, że nic dobrego z takiej studni nie wyjdzie? Że ino koszt urośnie, opusta i upadek, a pożytek niepewny. Kto wie, jak daleko w głąb trza się dokopywać, ile czasu to zajmie, a któż zareczy, czy aby woda będzie lepsza ze studni, aniżeli ze stoków i studzienek na podłączu, a choćby i z rzeki? Nie, Wawrzek przeholował, za daleko strzelił, trza go odwieść od bzdurnego zamysłu.

— Mądryś, Wawrzek, na jedno, ale już z tą studnią toś się popsnał — wysmiewali się wszyscy jak jeden. — Człowieku, przecie to nie naszej głowy rozum!

— A co? Nie ma to nas pięciu? W pięciu zradzimy. W kupce raźniej i łatwiej.

— A kto nam zareczy, że będzie z tego pociecha? Pożytek?

— Ja wam mówię!... — zaklinał się i bił się w piersi, że mówi żywą prawdę, obдуманą i rozważoną na wszystkie sposoby i bez nijakiej zmyłki. Namawiał, prosił, przekonywał. Wymownie przedstawiał sąsiadom i rozważnie tłumaczył, jak się snują w podglebie źródła zaskórne, że nie ma co się bać głębiżny studni na ocińskich wyniosłościach, bo tam w głębi ziemnej można trafić na żyłą wodną już na kilku łokciach niżej wierzchu. Nakłaniał dotąd, aż przekonał powoli wszystkich.

— Swój plac daję na studnię — oświadczył i tym skaptował gromadę na swoją stronę.

— A niech już będzie po Wawrzkowemu — mruzczał z niedowierzeniem i z odrobiną rozciekawiania i jeden, i drugi, i trzeci, i czwarty. Okolni sąsiedzi patrzyli, co z tego wyniknie. Wszyscy w oczy i poza oczy śmiali się z dziecinnej fantazji Wawrzka i tych czterech, co się dali przeprząc Wawrzkowi.

— Pogłupiały chłopcy, ot co! Boże odpuść wszystkie grzechy...

### III.

Koło budynków Wawrzka Płazy, na skrawku ogrodu przy drodze, zaczęły się wnet dziwy wyprawiać. Te dziwy pociągały każdego, kto by tylko tamtędy przeszedł czy przejechał. Nie tylko ludzie z Ocinka, ale i z pobliskich wsi przychodzili tu hurmą, żeby się napatrzeć i nacudować. I pośmiać się i pokpić.

— Studnię... Będą ony miały studnię! Bzyka będą miały!...

A robota wedle studni zgrabnie się zapoczęła i sunęła wciąż, bez przerwy. Wawrzek był głową i sercem tej całej roboty. Całą duszę w nią włożył, wszystek chłopski upór i moc nieprzewalczoną. Tym żarem swoim przepajał czterech sąsiadów, że nie odrzekli się roboty, że ją ciągnęli z wytrwaniem.

Furczała w dole łopata, grube kawały gliny pomykały ku górze, coraz zsuwał się na sznurze ceber i wnet jechał ku wierzchowi zawraz z ziemią, skrzypiał kołowrotek, pisał i jęczał pod ciężarem gliny, co jakiś wymierzony czas spuszczał się w głąb któryś z piątki sąsiadów — robota szła a szła. Już pięć łokci na głębokość, już dziesięć, już piętnaście niedaleko.

— Będzie studnia, czy nie będzie... — robiono na wsi zakłady.

Minął znojnje tydzień, upłynął jeszcze ciężej drugi. Dwudziesty łokieć zniżył się w suchą głąb. A wody jak nie widać, tak nie widać.

— Wody nie będzie — zawyrokowała wieś.

Ten i ów z piątki sąsiadów zaczął podupadać na duchu. Zwątpienia jęły oblegać serca. Sharowane ręce mdlały już nie od wysiłku, ale od tajemnej niewiary w skuteczność roboty.

Tylko ambit uparty, żeby właśnie wszystkim ludziom pokazać swoje, podtrzymywał jeszcze pracę, że nie ustawała.

Wawrzek Płaza ni chwili nie ulegał niewierze. Niezłomnie ufał, że się dzieło uda. Sąsiadom prawił co dnia:

— Jeszcze trochę. Jeszcze parę dni. Woda musi się pokazać. Zobaczyta, że się pokaże...

Po dwudziestym piątym łokciu cała piątka nie odchodziła od studziennego leja. Tam w dole ukazał się mokry, papczasty grunt. Woda już blisko. Tajemne źródliśko bije tuż, tuż. Z zapartym tchem, z bijącymi sercami oblegały chłopcy otwór. Ceber z brejtugą śmigał ku górze i pieronem opuszczał się w dół.

— Jest woda! Jest źródło!... — zadarł się raptem z przepastnej głębi rozradowany głos. Głos Wawrzka Płazy dudnił zwycięsko i obwieszczał radosną nowinę.

Jeszcze tylko podebrać dno z namułu, spód wygalańcić, ściany cembrowiną obłożyć, tęgi wał z łańcuchami i wiadrami sporządzić, dachem to przykryć — i studnia aż miło. I woda — czysta jak szkło, smakowita aż radość. Skarb — nie woda. Samo zdrowie.

Co za uciecha szalała w pięciu chałupach na Drugiej Górze ocińskiej, kiedy już studnia doszła do ładu i jąła służyć wodą. A bo i było czego się cieszyć! Woda na podorędziu dla ludzi i bydła, nie trza się po nią siańdać o staję, o dwie, w pieski nieraz czas. Jaka wygoda z niej, przybytek w czasie i zdrowiu! Że też nikt przedtem o takiej wygodzie nie pomyślał. Aż dopiero teraz, na spółkę, gromadzkim wysiłkiem...

I co powiecie! Ta studnia, pierwsza studnia na Ocinku przed laty trzydziestu, stała się dobrym zaczynem pod pospólne następne na wsi roboty. Pod nowe studnie. Pod poprawę łąk. Pod budowę dróg. Pod stawiankę szkoły. Pod wszystką pracę gromadzką.

JÓZEF BOJAR

## WIOSNA FRANKA SWARZYCY

Gdzieś z daleka, ze światów, szła stumilowymi krokami ku wsi i ludziom — wiosna.

Nad szarymi polami zatrzepotały skrzydełka pierwszego ptaszcącego zwiastuna wiosny, co przyleciał z za morza i śpie-

wał pieśń oracza. To skowronek — co zawsze z rana budzi do pracy ludzi i uprzyjemnia im ciężką harówkę na polu swoim śpiewem.

Za skowronkiem przyleciał i bociek, sadowiąc się w starym gnieździe na złamanej lipie, na której od lat wychowywał swe młode. Witał się z wioską i ludźmi — wesołym klekotaniem. Za nim przyciągnęła cała czereda innych ptaków, co to wiosną ożywiają sady i lasy nasze.

Radowali się wszyscy ludzie wsiowi i wesoło zabierali się do oporządzania sprzężaju, aby wyjść jak tylko się da najprędzej, zacząć przygotowywać ziemię pod siewy.

Jeden tylko Franek Swarzyca chodził chmurny jak noc i nie cieszył się z nadchodzącej wiosny. Patrzył smutnie dookoła i nic go nie cieszyło, chociaż co dzień było ładniej na świecie.

Chłop jeszcze młody, ale troska tak poorala mu czoło bruzdami, że zdawał się być raczej starym dziadygą niż chłopem w sile wieku. O ile inni z wiosną wyglądali młodziej i kroki ich stawały się lżejsze i zwinniejsze, o tyle Swarzycy chód z dniem każdym stawał się cięższy i powolniejszy, a ramiona pochylały się ku ziemi, tak je troska namolna gniotła.

A miał się czego frasować i mozolić i tak już skołatana głowę różnymi nieszczęściami, jakie go naszły w ciągu ostatniej zimy.

Patrzył i widział — szła wiosna, ziemia wypoczęta przez zimę grzała się i prężyła w słońcu, czekając na rodne ziarno, które jej da gospodarz, żeby mu później stokrotny plon urodzaju znów wrócić.

Ale Swarzyca nie miał w sąsiedku nawet garści ziarna, na które ziemia-karmicielka czekała.

Długa choroba żony i dzieci oraz śmierć starego Swarzycy wymiotły ostatnie zapasy ziarna z chaty.

Ojca trza było pochować... nie patrząc na to, że się nawet ostatnie ziarno na ten pochówek sprzedaje. Przemyśliwał nad tym Franek, skądby tu dostać ziarna do siewu — rzekł temu czy owemu, czyby nie pożyczył do żniw.

Ale wiadomo, ludzie jak to ludzie, nie bardzo się spieszą zaratować biednego w potrzebie.

Pierwszy odmówił, że i jemu zabraknie do siewu, drugi, że musi bratu pożyczyć, który nie ma, a trzeci musi sprzedać, co mu zostanie od siewu, bo ma długi do spłacenia.

Innym już nawet nie mówił. Zrozumiał, że go nikt nie ratuje w tej jego potrzebie.

Toteż chodził smutny i srodze zmartwiony Franek i dumiał, skądby tu wziąć na zasiew, ale nic nie mógł wydumać. Sąsiedzi już zaczęli orać i bronować... ten i ów przepasawszy się płachtą przez ramiona, chodził poważnie, powoli i siał pełną garścią rodne ziarna rzucając do ziemi. Och, z jaką radością. Z jaką lubością słodką pograżyłby bosc stopy w pulchnej ziemi i jaki by to był orzeźwiający pot na czole, co powstaje z dłuższego siewu, gdy się nosi sporo zboża przed sobą w płachcie i sieje się, sieje...

\*

W domu ludowym zebrał się Zarząd Koła Związku Samopomocy Chłopskiej. Mieli rozpatrzeć złożone podania przez członków, którzy chcieli pożyczyć zboża na siewy wiosenne.

Koło prowadziło własny magazyn zbożowy. Dali jednego roku po parę kilo z hektara i zebrało się z tego kilkanaście metrów.

Pożyczali potrzebującym do siewu i na przednówku... a na jesieni zwracał pożyczający z wdzięcznością, wraz z ustaloną przez zarząd nadwyżką, z której stale zapas zboża w magazynie się powiększał.

Było w pierwszym roku sporo sarkania przez członków, gdy uchwalono zsymp zboża na zapoczątkowanie magazynu. Narzekano na sekretarza Koła — a co już mówili i wyśmiewali się nie członkowie, to trudno dziś spamiętać i przytoczyć. Ale z czasem przekonali się, że ta myśl była bardzo wartościowa i mądra. Dziś już nikt nie sarkał na sekretarza — gdyż nieraz doświadczył korzyści z tego magazynu.

Sekretarz podał ilość podań i sumę metrów zboża, którą chcieli członkowie wypożyczyć, a która nie przekraczała nawet połowy zapasów posiadanych w magazynie.

Żądane przez członków ilości zboża zostały przyznane jed-

nomyślnie, nikt nikomu się nie sprzeciwiał, bo biorący zwracali zawsze zboże w jesieni wraz z nadwyżką. Nie trafiali się tacy, co by się z nimi trza było sądzić, ściągać zwrot zboża przez komornika itp. Pożyczający zwracali zawsze sumiennie, więc dlaczego im nie przyznać i nie pożyczyć?

Gdy zebranie miało się już ku końcowi — odezwał się sekretarz Koła:

„Szanowny Zarządzie — wnoszę ja jeszcze jedno podanie o rozpatrzenie i przyznanie pożyczki zbożowej na siew, chociaż ono jeszcze formalnie nie wpłynęło i pochodzi nie od członka naszego Koła.

— Któż to taki — padło naraz kilka pytań.

— Franek Swarzyca — odpowiedział sekretarz.

— Jak to, wy kumie, wnosicie podanie na pożyczkę zboża dla Franka Swarzycy? Czyście już zapomnieli, jak on to wydziwiał i wyśmiewał wasz pomysł założenia tego magazynu? Nie, ja tego nie mogę zrozumieć! — mówił porywczy stary Małysz, członek zarządu.

— Przecież on nie członek Koła i nie dał zsyphu na zapoczątkowanie magazynu — dodał inny.

Sekretarz poczekał dłuższą chwilę, oczekując czy jeszcze ktoś nie chce mówić w tej sprawie i zaczął mówić wolno i dobitnie: — Tak, Franek nie jest członkiem Koła, nie dał zsyphu, nawet wyśmiewał się często z naszych poczynań — ale ja jestem za tym, żeby mu przyznać pożyczkę zboża na zasiew wiosenny, bo jest członkiem naszej gromady. Taka właśnie chwila nadeszła na niego i gromada zorganizowana musi mu przyjść z pomocą, bo jej potrzebuje, jak nikt inny. Całą zimę chorowała mu żona i dzieci — doktor ciągiem zaglądał do jego chaty, a wiece dobrze, że takie wizyty drogo kosztują. Umarł mu ojciec — pochówek też kosztował... Chłop wyciągnął do ostatniego ziarnka tak, że nie ma czym siać, — a nie możemy dopuścić, żeby ziemia nie obsiana leżała odłogiem i Franek zmarniał do szczętu.

— Macie rację, kumie, — trza mu pomóc.

I przyznano jednogłośnie trzy metry zboża dla Franka na siewy wiosenne.

Sekretarz powracając z zebrania zarządu zaszedł do Franka, żeby go zawiadomić o przyznanej mu pożyczce zboża. Zastał go siedzącego na pieńku w szopie, pogrążonego w rozmyślaniu.

— Franku, cóż to masz taką minę, jakbyś się octu napił? Zachnął się Franek.

— Stary, na pewno wiedząc o moich kłopotach, przyszedł się nadrwiwać za tamte dawniejsze czasy!... — pomyślał.

— Cóż to, nie siejesz, czas już największy, a ciebie w polu nie widać. Wszyscy już sieją.

— Nie drwijcie z cudzego nieszczęścia! Wiecie dobrze, że nie mam czym siać. W zimie musiałem wszystko zboże wyprzedać, a teraz się znikąd nie mogę zaratować. Chyba mi przyjdzie szczeznąć.

— Nie przyszedłem ja drwić z twojego nieszczęścia, ale przynoszę wiadomość, że zarząd Koła Samopomocy Chłopskiej udzielił ci pożyczki zbożowej do siewu, żeby ziemia nie leżała odłogiem. W nieszczęściu trza iść do ludzi, a nie zamykać się w sobie jak ty to robisz. Ludzie w nieszczęściu cię nie opuszczają...

— I wy żeście mi przyznali pożyczkę? Wy? Mnie, com wam nieraz dokuczał złośliwym gadaniem?

— Ja, ale cóż w tym dziwnego? Zapomniałem o tym i nie pamiętam. Ceniłem w tobie tę wiarę i w siebie i własną pracę, bez oglądania się na innych. Zawiodła cię, teraz masz nauczkę, że potrzeba w życiu iść razem z gromadą, bo są chwile w życiu, że jej pomoc jest potrzebna.

— Oj, zawiodła mnie dola, zawiodła — przyznał Franek. — Wstydzilem się iść do Koła Samopomocy Chłopskiej i prosić o pomoc. Przez swoją głupotę i zarozumiałość nie należałem do niego. Teraz się już zapiszę.

— Jak tam sam chcesz, to twoja rzecz. Czas mi do domu. Jedź po zboże, podpiszesz podanie i kwit pożyczkowy, wydadzą ci trzy metry.

Na drugi dzień skoro świt się zrobił, Franek bronował już pole. W sercu czuł błogą radość. Bose stopy z lubością pogrążyły się w pulchnej ziemi i grzęzły w niej po kostki. A później siał... siał złote ziarna jęczmienia. Pełną garścią rzucał je w rodne skiby ziemi.

I ziemia była rada, że nie będzie leżeć jałowa.

## ZE SZKICÓW PODRÓŻNICZYCH „CIENIE RÓŻOWYCH GÓR“

## ARKADIA POD PALMAMI

Pożegnanie Aurezu <sup>1)</sup> nastąpiło w najbardziej dramatycznym węźle zmagania się białego uedu <sup>2)</sup> z niebotyczną twierdzą gór. Liczne baszty szczytów i tęgie zapory skalnych murów odgradzają lekkomyślnego Farysa białej wody od bezgranicznych przestrzeni pustyni. Ojcowskie więzienie gór pragnie powstrzymać bujnego marnotrawcę od rzutu w śmierć. Nadaremnie.

Nie wiadomo przez ile stuleci szamotań, jaką energią spienionych kropelek zniecierpliwionego strumienia odbywało się drażnienie skał, wydrapywanie mokrymi palcami wody wąskiego tunelu na przestrzał, by przebić się ku upragnionej wolności pustyni.

Młodzięczy Abiod rozrywa wreszcie ostatnią tkankę ściany. Z hałasem wodospadu, w ekstazie triumfu rzuca się ku otwartemu światu wielkiej przygody. I tuż na jej progu biały Herakles ginie, zżarty przez gorące, drapieżne mróweczki piasku. W biegu ku tej śmierci na piaszkowym polu pokonał trumnę: głębokie, wąskie, przepastne i martwe kaniony, jak wyrwy sięgające w dół, do wiekuistych podziemi.

Cierpliwe muły niosą nas poprzez urwiste zwaliska tej walki, do końca gór. Droga się wikła, nie „droga“, nie ścieżyna, — jakiś szlak znany tylko mułom i przewodnikom. Mnożą się przeszkody. Narastanie niebezpieczeństw na każdym kroku.

Muły natężają uwagę, wzmacniają cierpliwość, „dusza“ ich skupia się w nogach, mózg przenosi się do kopyt.

Zdobyty ostatni szczyt. Przed nami przestrzeń, jak okrzyk olbrzyma, ogromny zachwyty wydechu: bezkresy!

Żegnajcie, góry Aurezu, góry dzikiej słodyczy, wonne jak kora jałowca palona w cienkiej arabskiej bibułce, przedsmak zaświatowych „rozkoszy“. Żegnajcie, plemiona Szauja, krew-

<sup>1)</sup> Aurez — masyw górski Atlasu, na skraju Sahary, odpowiednik naszych Tatr.

<sup>2)</sup> Ued — wyraz arabski, przyjęty w geografii na oznaczenie rzeki ginącej w pustyni.



niacy w umiłowaniu wolności, łagodni na zewnątrz, okrutni w stosunku do siebie.

Zjeżdżamy z gór pod zachód słońca. Dal rozłożysta, barwna migotliwymi plamami pustyni i czarno-zielonymi linijkami oaz.

U stóp osada „rajskich“ palmerii, słynna „perła“ daktylowych krain: Mszunesz. Już w dźwięku nazwy rozpoznaje się suszę pustyni. Gorące, duszne zawiewy biją od dołu aż do szczytu gór.

W Mszunesz już spostrzeżono zjazd z góry rzadkich gości, Europejczyków. Tradycja prosta i cenna dla przybyszów: jeszcze nie zsiadliśmy z mułów, już kaid, naczelnik osady, kazał przygotowywać kawę. Pod parasolami przed domem gminnym następuje powitalne przyjęcie gości czareczkami gąszczu kawianego.

Kaid — widać — rycerz arabski, ostry drapieżca, potomek zdobywców: duma, pewność, gest. W mieszkaniu — tradycjonalizm bojów. Miecze, szable, sztylety na ścianach, okazy broni palnej. Arsenał. Sztuka: hieroglify arabesek, jak pieśni wojenne wyryte na broni przez żarliwych artystów. Małe muzeum wojny z okresu między upadkiem łucznictwa a powstaniem artylerii. Ani łuku, ani armaty nie było w mieszkaniu kaida.

Od razu wyczuwa się inny klimat człowieka. To nie jakaś „słowiańskość“ Szaujów. Kaid jak szakał. Otoczenie nastraja się do naczelnika. Przede wszystkim ogień oczu, stanowiący poniekąd o typie. Fanatyczne oczy Arabów: węgle. A za sąsiednimi górami oczy Szaujów: ogniska mgielne.

Zresztą wszędzie tu inny świat, w niczym nie podobny do Aurezu. Chyba tylko hotel stałą pustką i próżnym oczekiwaniem gości przypomina troglodyckie schronisko w Roufi.

Ale i hotel inny: typowo arabska rzecz karawanseraju, zjazd, tzw. fonduk. Interesujący orientalistyką dwór-fort, czworoboczna twierdza, odporne nastawienie groźnych murów, zabezpieczenie bram, niemal most zwodzony.

Strażnik hotelu: egzotyzm wśród egzotyzmu. Olbrzymiego wzrostu Murzyn sudański w pięknym białym stroju wygląda jak okopcony posąg Rzymianina w todze. Chodzi jak geniusz czarnej rasy, zesłany wyrodniejącym Arabom wzorzec budowy, siły, nawet piękna. Z godnością archanioła zabłąkanego do karłowatych plemion, podaje zgłodniałym podróżnym pustynne

kus-kus na wieczere. Zresztą sprzedaje papierosy na wagę złota.

Czarny mistrz fonduku miał pewien kłopot z umieszczeniem tylu niespodziewanych gości: aż czworo. A że przyplątał się jeszcze będący w objeździe żandarm francuski, nastąpiło nagłe oberwanie się chmury. Zdaje się, że sam kaid musiał wypożyczyć hotelowi pewien sprzęt, by honor osady Mszunesz nie doznał uszczerbku.

Kus-kus na porcelanie smakuje jak gorący, sypki piasek, obficie skropiony baraním tłuszczem. Jak można to bez wina? Daremne żale! Allah zakazał, rząd francuski zatwierdził postanowienie Koranu. Wina w Mszunesz nie ma!

Podczas naszego pobytu w Mszunesz osada przeżywała okres żniw, tzn. dorocznego zbioru daktyli. Główne, chyba jedyne bogactwo osady, ale bogactwo przednie. Najbardziej słodki tłuszcz, największa tłustość słodczy zawarta jest w miąższu wielkich, do opasłych chrabąszczy podobnych daktyli z Mszunesz.

Gdy drzewo palmowe jest łanem „zboża“, sam proces żniw jest równie ułatwiony jak uprawa. Najzgrabniejszy zazwyczaj młodzieniec udaje się na „niwę“, to znaczy wchodzi na palmę i osiada w koronie jej gałęzek. Nietrudne jest obłamywanie kiści. Z wdziękiem podnosi się do góry wspaniała sznur najpiękniej toczonych bursztynów. Delikatnie, jak przystoi rzeczy dorodnej i miłej, składa się daktylowy wieniec do kosza. Pieczołowitość połączona ze słodkim jak daktyle lenistwem. Raz w roku tylko przypada przyjemna pora zbiorów. Pośpiech tu zbyteczny. Nie praca nad zbiorami, ale miła rozrywka. Należy przedłużyć przyjemność, umiejętnie rozłożyć ją w czasie. A równocześnie — uroczе widowisko dla rodziny i sąsiadów. Wszyscy czekają na „zjazd“ kosza, który tak jakoś sztucznie przytwierdzony na powrozie, po napełnieniu wiązkami kiści, lekko po śliskiej gałęzi palmowej opada w dół do rąk czekającego właściciela. Ta czynność jest najciekawsza i najzabawniejsza.

Daktylowe żniwa nie mącą zwyczajnego bezruchu osady. Przed każdym domem odbywa się nabożeństwo nieustającej beczynności. Sprzyja jej cienisty urok oazy. Arabowie są artystami lenistwa, w tym znaczeniu, że lenistwo staje się

u nich niejako formą życia. Tak przynajmniej zaznacza się na pustyni.

Mężczyźni siedzą lub leżą na matach przed domami, w uliczce. Często w grupce. Na ogół bez żywej rozmowy. Nie warto przerywać słodczy milczenia byle jakim lub gorzkim słowem. Wyjątkowo tylko z milczenia wytryska błyskawica, nagła i krótka burza. Wtedy w słowach ich wiruje żywioł jak trąba powietrzna, jak deszcz nawalny w okresie jesiennym. Ale uspokaja się rychło. I znowu następuje martwa rozmowa bez słów, zbiorowa adoracja bezwładu, usypisko niewypowiedzianych myśli jak diuna piasku w okolicy.

Młodzież wyżywa się w kawiarenkach przy dominie, ulubionej grze tubylców. Dorzucają kostki z takim opanowanym entuzjazmem, jak młodzi Anglicy piłki tenisowe.

Kawiarnie arabskie w Mszunesz, jak wszędzie, liczne, niezbędne zdaje się, jakby do zaznaczania zbiorowej beczynności, tego specyficznego „nic“, które tu jest konieczne dla życia, jak woda.

Małeńka dawka wspaniałej kawy. Arabowie są najlepszymi jej znawcami. Tu zbrodnią byłoby zmarnowanie ziarenka kawy na byle jaki napój. Siedzi się na matach. Trzeba umieć tak siedzieć. W Mszunesz, zamiast tytoniu, tubylcy palili rodzaj kadzidła, jakieś trocinki jałowcowe. Daje się to palić tylko w niezwykle cienkiej rurce bibułkowej. Niektórzy bardzo to chwala.

Istoty arkadyjskiej arabszczyzny na pustyni chętnie się szuka w kawiarenkach. Tu można właśnie poznać, to co najtrudniejsze do schwycenia: „nic“.

Tak je chwycił André Gide podczas swego pobytu w tych okolicach. Warto przytoczyć jego ujęcie w „Amyntas“:

„Ze wszystkich kawiarni maurytańskich wybrałem najbardziej ustronną, najciemniejszą. Cóż mnie tam pociąga? nic, Ciebie, pojawienie się jakiejś zwinnej postaci, śpiew, — i to, że nic nie widać z zewnątrz; uczucie tajemniczości.

Wchodzę po cichu; siadam szybko i by nie zakłócić spokoju, udaję, że czytam; zobaczę...

Lecz nie; nic. — Jakiś stary Arab śpi w kącie; inny śpiewa prawie że bezgłośnie; pod ławą pies ogryza kość; i dziecię słyszające w kawiarni rozgarnia popiół w kominku, by znaleźć odro-

binę zarzewia do odgrzania mej słonawej kawy. Czas, co płynie tutaj, nie ma już godzin; lecz beczynność każdego jest tak doskonała, że niemożliwością staje się tutaj nuda“.

Ten śpiew prawie że bezgłosny, jak zauważył Gide, jest odpowiednikiem ich rozmów, w których jakby nie było słów. Oto ta mara, to „nic“ pustyni wśród ludzi.

Stwierdzamy: interesująco jest zobaczyć to. Życie dla nas byłoby tu przykre. I w Mszunesz i w innych podobnych „rajskich“ oazach.

Nawet w Biskrze, mimo jej światowej sławy, jako uzdrowiska. Biskra to wielka chwała turystyki, może nie bez pewnej słuszności nazwana „ogrodem Allacha“. Prymitywizm, pomieszany z nowoczesną wytwornością, stwarza osobny rodzaj egzotyizmu. Pałace milionerów amerykańskich, sąsiadujące z poczerniałymi namiotami nomadów, są zjawiskiem zastanawiającym w swym okrucieństwie, wspaniałą lekcją ironii, obrazowym tekstem z dziejów kultury współczesnego świata.

„Ogród Allacha“ — to rozległe królestwo palm. Sto tysięcy drzew na niewielkiej przestrzeni. Puszcza, Białowieża pustyni, oaza oaz. Słodycz daktyli jakby została wyciągnięta ze słodyczy klimatu. Nie to, że były mniejsze upały. Ale las palmowy działa orzeźwiająco. Zaznaczyć trzeba szczególny wyjątek w tym świecie: wyspa wolna od moskitów. To rzecz prawie nieprawdopodobna, jak na okoliczności miejscowe. I dalsze następstwo tego szczęśliwego faktu: o malarii nie ma mowy. Toteż tubylcy budują tu śmiało domy w palmiarni, w lesie daktylowym, czego na ogół nie spotyka się w innych oazach.

Barwny tłum ludu arabskiego na placach targowych zaspokoi każdą potrzebę zanurzenia się w pierwotności ludzkiej, pozwoli ujrzeć wszystkie odrażające formy jej zgromadzone w jednym miejscu, jakby skondensowane w najsilniejszym ekstrakcie. To jest targ, widowisko straszliwe, teatr uzewnętrzniający nieludzkość człowieczeństwa. Wreszcie kontrastowość szczególnie przykra, tu zwłaszcza ujawniająca się w znamiennej beztrosce. Luksusowe pałace-hotele, bary, pierwszorzędne restauracje i przeraźliwa dzikość najbliższych uliczek, to wszystko tak bezpośrednio: oko w oko, twarz w twarz.

Kto jednak przybył do Biskry nie zwykłą drogą kolejową lub szlakiem lotniczym, lecz poprzez góry Aurezu, gdzie mógł

porównać potęgę ruin rzymskich z potęgą zrujnowanych gór; kto widział zaświatowe krajobrazy Roufi i piekielne kaniony nad Abiodem, ten w Biskrze zobaczy tylko rzeczy drugiego gatunku, raczej wtórne. Po kilkunastodniowym zanurzeniu się — sam na sam z tym światem — w tłumie tubylców z Tifelfel, Banian lub Mszunesz, egzotyzm biskrzański, mimo swego zgęszczenia rozwadniany przez strumienie europejskie, mniej może interesować. Zresztą stan przesytu powoduje zbliżenie się nudy.

W kawiarenkach nie odczuwa się tego „nic“, które nadaje atmosferę. Po to „nie“, jak po wspomnienie samotnego namiotu nomady, przychodzi się do kawiarenki. Tego w Biskrze, ogarniętej już interesami „wielkiego świata“ znaleźć nie można. Targi są oczywiście niezmiernie interesujące: żywa wystawa wszystkich nieszczęść, przesądów, kultu, zjawisk wstydlivych, rzeczy zastraszających, tragi-groteska ludu pustyni. Temu i nowoczesność Biskry nie przeszkodzi. Znakomite studium arabszczyzny, nieustanna sposobność poznawania labiryntów psychiki miejscowych plemion. Ale to studium wymaga samozaparcia. Można raz, drugi, trzeci zanurzyć się z zainteresowaniem w tym wezbranym żywiole jaskrawych barw, niewysłowionych łachmanów, obrzydliwej nagości, okrutnej woni i przeraźliwego falowania krzyku. Dłuższe studium przemienia się w gwałtowną torsję odrazy.

Nieobojętnym dodatkiem do ogólnej sumy ujemnych wrażeń należą jesienne muchy biskrzańskie. Muchy — to osobna karta w dziejach tej oazy, przez właściwą sobie czarność niemal infernalna. Plaga rzucona na „ogród Allacha“, jakby przypomnienie, że nie może być pełnego szczęścia nawet w raju.

Okres dojrzewania i zbioru daktyli sprzyja widocznie procesowi rozmnażania się much. Cała Biskra, cała oaza nawiedzona jest nieuchronną, nieodpartą dżumą much, rodzajem kłeski elementarnej, którą trzeba przyjąć z bezradną pokorą.

Męczeństwo człowieka, trapionego przez roje owadów, zaczyna się ze wschodem słońca. Poranki są nie do zniesienia. Po mocnym odpoczynku muchy budzą się głodne i ich natręctwo staje się niesłychane. Jak żywioł, jak jakiś deszcz, przed którym nie ma ochrony. Walka wielokrotnie trudniejsza niż z na-

tręctwem człowieka. Człowiek w pewnym stopniu ulega przemocy.

Tubylcy są słabsi niż Europejczycy, bardziej podatni na żer much, może smaczniejsi. Nieraz rezygnują z obrony. Poddają się w bezsilie. Wieki nauczyły ich umiejętności znieczulania się. Zatracili niejedną wrażliwość. Muchy bezkarnie łążą im po twarzy, przysiadają w kącikach ust, zagląдают do nosa, a przede wszystkim, jak nomadowie do źródła, pchają się do oczu. Matki noszą tu dzieci zawieszane na plecach. Biedne dziecko twarz ma oblepioną czarnym plastrem much. Straciło już siłę na obronę. Od niemowlęstwa uczy się odwrażliwienia. Nie płacze. Widocznie nabyło już tej wiedzy, że płacz nie tylko nie pomoże, lecz przyciąga natrętów: muchy lubią łąż. Matka też nie zwraca na to uwagi. Wie, że walka jest beznadziejna. Klęskę można przeczekać. W godzinach późniejszych mucha, po zaspokojeniu pierwszego głodu, staje się mniej natrętna.

Niesamowitość pod tym względem panuje na targu. Sprzedawcy daktyli i mięsa cieszą się największym powodzeniem. Kosz daktyli pulsuje w czarnym obłoku, jak jakiś przedziwny krater wulkanu. Można stracić apetyt na całe życie.

Na targu można spotkać kuchenki ruchome. Mistrz delikatesów mięsnych rozstawia uliczny piecyk, smaży wątróbkę lub jakieś arabskie kiełbaski. Wygląda jak alchemik otoczony chmurą maleńkich szatanków. Nic sobie z tego nie robi. Smażone muchy w smażonej wątróbce nie są bynajmniej „szczytem obrzydliwości“. Takich europejskich przesądów nie podziela mieszkaniiec pustyni. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Niejeden dolegliwy początkowo drobiazg przestaje dokuczać, nabiera cech zjawiska normalnego.

Biskra niedobrze ułożyła się wśród tych wspomnień. Lecz to, co nie przypadło samemu miastu, z nawiązką będzie można oddać okolicy.

Abiod można było nazwać schodami z gór do pustyni. Trudne niewątpliwie schody nawet dla doświadczonych mulich nóg. Ale jest w innym miejscu łatwe wejście: mocna wyrwa wśród gór, którą słusznie nazwano wrotami.

To El-Kantara, największy „cud“ Algierii. Bez przesady przecież — jeden z zakątków najbardziej godnych widzenia.

El-Kantara ma nienajgorszą kartkę w literaturze francu-

skiej: Fromentin, Elisée Reclus. Najwłaściwiej jednak jej „arkadyjskość“ ujął André Gide w „Mopsus“. Niech nas wprowadzi do El-Kantary. Cytujemy przekład Zbigniewa Bieńkowskiego:

„Skały, co od rana ciągnęły się w naszą stronę, otwierają się nareszcie. Oto brama; przechodzimy przez nią.

Wieczór; zśliśmy w cieniu; pełnia kończącego się dnia znów się pojawia. — Kraino piękna, pożądana, jakim zachwyтом i jakim wytchnieniem rozłożysz ah! twoją przestrzeń pod ozłoconym ciepłem światła.

Zatrzymujemy się; oczekiwanie; zapatrzenie.

Inny świat się pojawia; dziwny, znieruchomiały, niewzruszony, odbarwiony. — Radosny? nie; smutny? nie; spokojny.

Zbliżamy się: jak w drżącej ciepłym niepokojem wodzie, pod cieniem palm z trwogą posuwamy się krok za krokiem... Szmer fujarki; jakiś odruch biały; woda delikatnie szmerząca; śmiech dziecka nad wodą — potem nic; żadnego niepokoju i żadnej myśli. To nawet nie odpoczynek: tutaj nic się nie porusza. Tak błogo! Cóż chciałem do tej pory? Czym się niepokoiłem?...

...Cóż chciałem do tej pory? Dlaczego cierpiałem? — Oh, znam teraz, poza czasem, ogród, gdzie czas wypoczywa. Kraj zamknięty, spokojny, Arkadia!... Znalazłem miejsce wytchnienia.

Tutaj beztroski ruch zrywa każdą chwilę bez obawy udręczeń; chwila niewyczerpanie się odnawia, godzina powtarza godzinę, a dzień dni.

Pobekiwanie stad ku wieczorowi: falujące dźwięki fujarek pod palmami; niekończące się gruchanie gołębi; — o naturo bez celu, bez żałoby — i niezmienna — taka uśmiechałaś się do najśłodsze go z poetów i taka moim rozmodlonym oczom uśmiech podajesz.

Widziałem tego wieczoru, jak uwięziona dotychczas woda rozlewała się, aby ugasić pragnienie roślin, odświeżyć ogród. Stojąc bosymi nogami w kanale, czarne dziecię kierowało według swej woli świetne urządzenie nawadniające. Otwierało lub zamykało małe upusty osadzone w glinie. Każdy przeznaczony dla jednego drzewa wlewał mu wodę pod pień“.

Nic lepiej nie odda arkadyjności tego zakątka, jak kilka takich zdań lirycznych.

Nad tym nastrojem wznosi się wizja różowa. Blok gór, odgradzający pustynię, rozpadł się tutaj w czterdziestometrowym rozziwieniu, tworząc bramę, wąwóz przejścia, z nieodłącznym oczywiście uedem obrośniętym oleandrami.

Urwiska strażujące nad przejściem wyglądają jak płyty wielkich kamiennych liści różowo-złoty, nachylonych, lekko wygiętych pod przymocą wiatru pustyni.

Most nad uedem pochodzi jeszcze z czasów rzymskich. W pobliżu źródło, do którego zdążają przechodnie. Czerpanie wody jest obrzędem. Postawa przy jej picciu przypomina modlitwę. Odejście od źródła jak powrót ze świątyni po przebytej ekstazie. Spokojna dzikość głązów przyciąga. Ludzie siadają, patrzą w różowość bramy kamiennej i w różowość oleandrów na dnie wąwozu. Woda, daktyle nad wodą, słodycz płynu, słodycz owoców, w oddali mury czerwonej wioski, bezruch barwny. Nawet koza idąca ku wzgórzom kroczy jakimś poważnym raczej bezruchem niż ruchem. I tu zdaje się inaczej ludzie i zwierzęta żyć nie mogą.

Któregoś dnia jesienny spokój bezruchu przerywa wędrówka nomadów. Powrót — z północy na południe. Wracają ci, którzy w maju opuścili pustynię na okres lata, przenosząc się za góry, w krainy mniejszego ciepła, większego urodzaju. Od wieków tak się odbywa.

Wracają stęsknieni do ojczyzny. Trochę więcej zieleni i wody w obcych krajach, rzeczy koniecznych dla życia, ale wielokrotnie piękniejsza jest pustynia, w której jedynie można żyć według praw dziedziczonych: w kontemplacji niebytu.

Poważnie przechodzi powrotna fala. Idą karawanami, w swoim czasie, swoimi szlakami, wedle tradycji sprzed tysiąca lat, kierowani zapewne podobną wiedzą, jaką posiadają ptaki przelotne.

Niektóre karawany postępują ogniwami. Widzieliśmy jeden łańcuch składający się z sześciu podobnych części. W każdym ogniwie około piętnastu wielbłądów. Mistycyzm tych zwierząt jest zniewalający. One jedynie zdaje się posiadały wiedzę, co to jest „nic“. Daremnie uczą jej ludzi. Kroczą jak istoty, które



już wielokrotnie poprzez ekstazę złożoną z głodu, pragnienia, suszy i lęku, łączyły się z Bogiem.

Nie odczuwają tego kobiety i dzieci siedzące na grzbiecie wielbłąda. Garb jego podwojony, zwielokrotniony górą tobołów, tak nieraz ułożonych, że przypominają kształt wielkiej kołyski. Czasem obok czarnych główek dziecięcych sterczą, jak kolorowe kwiatki, łebki kur.

Mężczyźni jadą na koniach lub mułach. Koni wprawdzie niewiele, ale wszystkie zgrabne i lotne. Widać, jak uzasadniona jest sława ich rasy. A jeźdźcy? Gdzie ich tradycja? Jak na odpowiedź przed naszymi oczyma przecwałował jakiś barwny Farys.

Idą osiołki nieprawdopodobnie objuczone, jak wyrazy największego niemiłosierdzia. Pasterze prowadzą stada czarnych kóz. Psy różnego koloru i kształtu potulnie dążą obok ludzi.

Mała wędrownica plemion. Nie dziesiątki, czy setki, kilka tysięcy ludzi. Wszyscy z radością pozdrawiają pierwszy znak pustyni po przejściu wrót El-Kantary. Wita ich w skałę zamienioną miraż: cały różowy „zamek feodalny“. Takie tu wszędzie dziwne skały. Przypominają, nieraz aż do złudzenia twierdze, grody, mury obronne, baszty, zamczyska.

Idziemy szlakiem karawan, w pustynię. Tego nigdy zapomnieć nie można. Z takich wrażeń rodziły się poematy tysiąca i jednej nocy.

Krajobraz zmienia się niemal z minuty na minutę. Zmienia się jak kameleon, poddaje się jakiejś muzyce barw, staje się grą feeryczną.

Zmienności nie podlega jedynie stały motyw, trzon krajobrazu: różowość gór, jakby udrapowanych z tkaniny o delikatnym kolorze różowego wina. Katedra najbardziej koronkowego gotyku, lasem ściętych wież, nieobjętą wzrokiem fasadą, obejmuje jedną stronę horyzontu, jak niedościgniony wzór świątyni.

Nie zawsze ich różowość posiada pełną wyrazistość. Trzeba późnego popołudnia, gdy słońce zamierza zachodzić.

Falista płaszczyzna gra kolorami. Mnóstwo urozmaiceń. Niektóre pasma wzgórz, jak zbuntowane, w czeluść strącone anioly: te, które uznać nie chcą jasnej katedry.

Przeciwieństwo jak największe. Ponure pasmo, jakby tylko

co wyrzucone z pieców piekielnych: góry malowane popiołem, sadzą, żuźlami, zgliszczem. A w oddaleniu, na przeciw — raj różowawy, pałace, zamki, miasta szczęśliwych dusz.

A jeszcze dalej — zjawy gór nawianych błękitem, jak u nas. W pewnym momencie drogi wyglądają jak wielka fala morska pędząca na ametystowy gród.

Nie brak również zieleni. Kaprys natury chciał na tym odcinku zgromadzić różnokolorowość skał. W pobliżu oaz zaznacza się zieleń roślin. Czasem obydwa rodzaje zieleni — kamienia i roślin — łączą się na płaszczyźnie, jak na dnie kamiennej misy.

Gdzieniedzie — morze pustyni. Zbałwanione masy stożków piaskowych, czap górskich, pofałdowań, wydm, rozbitych wzgórz, spienionych łańcuchów, jakby przed chwilą zmartwiała, skamieniała woda jakiegoś pożaru, mętna od popielisk, pomieszana z pasami palonej cegły, z masą oberwanego tynku.

Tu dopiero początek pustyni. Więc jeszcze dużo życia. Raz po raz przecinają drogę uedy. Po pierwszych deszczach jesiennych korytami płynie brudna woda. Karawany wielbłądów. Stadka owiec i kóz. Na płaszczyznach spostrzega się pasiaste namioty nomadów. Oazy pod znakiem dojrzewania daktyli. Coś ze zbiorów widzi się również na drodze: biedne osiołki uginają się pod snopami kiści daktylowych.

Ale te wszystkie szczegóły schodzą na dalszy plan wobec tego, co w tej krainie jest najpiękniejsze: wobec różowych gór.

MACIEJ CZUŁA

## POKÓJ i WOJNA

(fragment z pamiętnika).

Miejscem codziennych naszych ćwiczeń było w słotny dzień podwórze kasarni, a w piękny obszerne za Opawą błonie. Tam to pod okiem jowialnego staruszka pułkownika Krossera, a czasem w obecności hasającego na białym koniu generała von Kuczery odbywały się forsowne ćwiczenia z zastosowaniem

wszelkich prawideł sztuki wojennej, po których żołnierze padali ze zmęczenia. Komendantem naszej 7 kompanii był kapitan Kramarz, oficer jeszcze młody, elegancki, przystojny i zdaje się zdolny.

Stało się tak — co się często w armii austriackiej zdarzało — że stary pułkownik upodobał sobie młodego kapitana i co on ze swoją kompanią uczynił, było zawsze dobrze i stawiane było innym komendantom za wzór. W rzeczywistości 7 kompania nie miała lepszych ni gorszych żołnierzy i nie ćwiczyła nadzwyczajnie, ale nikt nigdy nie odgadnął, jakimi drogami chodziła sympatia pułkownika Krassera do kapitana Kramarza. Dużośmy na niej zyskali, bośmy wskutek niej więcej odpoczywali, niż ćwiczyli, w przeciwieństwie do żołnierzy innych kompanii, którzy znowu więcej ćwiczyli niż odpoczywali. Ale nie zawsze było tak „sielsko-anielsko“, bo czasem kapitana wezwano na „besprechung“, czyli rozmowę wojskową, a komendę nad kompanią obejmował feldfelbel Wąsik, stary wyga wojskowy, a ten dał nam czasem taką „wciurę“ na błoniach, że nam języki na brodę wylażyły z przemęczenia, a w powrotnej drodze z ćwiczeń — z powodu potu jaki z nas spływał, mieliśmy kurz w stanie mokrym w oczach, ustach i na całym widocznym ciele. Musieliśmy jednak maszerować z dobrymi minami, tupać do taktu i co najważniejsze — śpiewać.

Feldfelbel Wąsik lubił śpiew. Śpiew w marszu był zresztą obowiązkowy, bo podnosił rzekomo ducha i dodawał sił. Zachęcali do niego oficerowie, nakazywali podoficerowie a podejmowali chętnie żołnierze.

W Krakowie wyglądało to przedstawienie w ten sposób:

Na czele jechał kapitan na koniu, a za nim przed kompanią maszerował trębacz wydymając z płuc popularną melodię, którą podchwytywały maszerujące za nami krakowskie andrusy, nucąc półgłosem:

Wojsko idzie, trąbka gra, pan kapitan w portki s...a!

W Opawie musieliśmy się przystosować do otoczenia — bo w niej służyły różnojęzyczne narody Austrii, więc posługiwaliśmy się w śpiewie oprócz polskich i czeskimi, często polsko-czeskimi piosenkami, np.:

*„Nemelem, nemelem, sebrala nam woda mleju!  
Sebrala nam wsechny kola, im pila z wotrakama  
Nemelem, nemelem, sebrala nam woda mleju!“*

Albo:

*„Listeczku dubowy, ne wpadaj do wody,  
Byloby cię szkoda, wzala by cię woda,  
Listeczku dubowy!“*

W tych smutnych chwilach, w godzinach rozpaczy, żalu i tęsknoty za wolnością napisałem wiersz, który mimo słabej jego konstrukcji przytaczam jako dokument chwili.

Miłosierny Boże, spójrz na polskie dzieci  
jak im w kasarni młode lata marnią.  
Kiedyż swobody gwiazda nam zaświeci,  
Bo długa służba stała się męczarnią.

Z dala od kraju, przyjaciół, rodziny,  
smutek nas trawi, tu między obcymi,  
więc wyglądamy z tęsknotą godziny,  
w której możemy być już między swymi.

Wiosna nadchodzi, słońko pięknie świeci,  
ptaszki wracają, zielenią się drzewa,  
skowronek w górze już przedudnie śpiewa,  
ale nie dla nas biednych polskich dzieci.

My wciąż znękani, spracowani, smutni,  
jak woły w jarzmie we czwórkach chodzimy  
i wciąż po „hofie“ egzercyrka dudni,  
choć mało jemy, zwykle niedośpimy.

Noclegi mamy, jak te śledzie w beczce,  
zbici, stłoczeni, śpimy na podłodze,  
posłaniem barłóg, łachmany okrycie,  
takie w rezerwie żołnierz wie dzie życie“.

Wierszyk wcale niewybredny zdobył sobie jednak w kasarni dość dużą popularność, a deklamowany przygodnie krążył także w odpisach o czym wcześniej czy później musiała się dowiedzieć starszyna. Dowiedziała się też niedługo, w rezultacie czego musiałem stanąć do raportu, przy którym dostałem tydzień „eincla“, żeby nie buntował dalej żołnierzy. „Eincl“, nie tyle ciężka, ile mocno złośliwa kara, polegała na

tym, że ukarany musiał pełnić służbę cały tydzień, a gdy jego towarzysze po jej odbyciu, mogli się ulatniać do knajpki, czy w objęcia kochanki, ukaranego odprowadzono do celi więziennej, gdzie w samotności przetrwał swoją winę. Siedziałem więc i cieszyłem się, że nie dostałem dyb (szpong), bo te nie każdy wytrzyma. Być krótko przykutym łańcuchami 6 godzin prawą ręką do lewej nogi lub odwrotnie, nie było bagatelą i podobną karę bez kurczów lub omdlenia potrafił znieść tylko wyjątkowo silny osobnik.

Około połowy sierpnia 1913 roku rozpoczęły się w pułku przygotowania do wielkich cesarskich manewrów, które się miały odbyć w Czechach koło Tabora przy udziale niesympatycznego następcy tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, który zginął później z ręki serbskiego zamachowca w Serajewie.

Odbywaliśmy teraz, dla zachowania sił, mniej ćwiczeń, za to więcej chowaliśmy się do szkoły, gdzie sympatyczny porusznik Reiss wtajemniczał nas wytrwale nie tyle w dziedzinę sztuki wojennej, ile erotycznej, opowiadając nam nieraz tak pieprzne dykteryjki, żeśmy się pokładali na siennikach ze śmiechu.

W niedzielę 24 sierpnia 1913 roku nastąpił wymarsz całego pułku w kierunku Ołomuńca. Miny nasze nie były tęgie, bo czekała nas miesięczna wędrówka i około 400 km marsz, a przedsmak tego, co będzie dalej, odczuliśmy niedługo, gdy lunął deszcz, przemaczając nas do ostatniej nitki. A gdy w dodatku przyszło nam mokrym i zziębniętym nocować w stodole, na skutek czego przyozdobiliśmy się dodatkowo w sterczącą we włosach i ubraniu słomę i sieczkę niby Indianie, miny nam zrzedły nie na żarty i o mało żeśmy nie zaczęli z rozkosznych manewrów dezertować.

Trasa marszu wyznaczona była na miasta: Meinwold, Berno, Sternberg, M. Neustadt, Müglitz, Mirow i wiele innych, a więc przez trzy kraje, Śląsk, Morawy i Czechy. Im głębiej zapuszczaliśmy się w kraj św. Wacława, tym większe odczuwaliśmy zadowolenie, bo kraj był piękny, ludzie dobrzy, a dostać można było za tanie pieniądze czego dusza zapagnęła.

Koło Tabora było coraz ciasniej na drodze i noclegach. Różne pułki piechoty, kawalerii, artyleria, poczta polowa,

tabory ocierały się o siebie i przeszkadzały sobie wzajemnie, ile mogły, bo wszystkie wioski przepełnione były wojskiem.

20 września odbyły się główne ćwiczenia i ich zakończenie. Na wzgórzach grały armaty, rechotały karabiny maszynowe, w powietrzu zaś krążyły 2 aeroplany, jedyne, jakimi się wówczas Austria mogła poszczycić, a które potem oglądaliśmy w ogonku z należyтым pietyzmem. Główne zadanie: zdobycie wysokiego wzgórza — powierzono piechocie, która wywiązała się z zadania nadzwyczajnie. Koło wieczora odtrąbiono zakończenie manewrów. Niedługo zjawił się sztab błyszczący od złota, ażeby omówić wynik, a my pokładliśmy się na trawie, by odpocząć. Podobno sprawowaliśmy się nieźle, bo uzyskaliśmy nawet pochwały dowódców.

Przebieg manewrów wykazał, że żołnierz może wytrzymać nie małe trudy i ani mu się śni chorować. Robiliśmy po 40 km dziennie, sypialiśmy gdziegdzie, często na mokrej ziemi, i nikt się nie zaziębił. Nie jedliśmy nieraz i nie odpoczywali cały dzień i nikt nie padł ze zmęczenia. A dźwigało się około 50 kg ciężaru na sobie. Najciężej przechodzili manewry jedno-roczniacy, czyli kandydaci na oficerów. Usłudni infanterzyści nakładali im niejednokrotnie do plecaków kamieni, a wyjmowali z nich konserwy zapasowe, więc stękali z przemęczenia i pławili się we własnym pocie, jęcząc pod niezwykłym ciężarem, aż w końcu osiągali szczyt marzeń „morudcymrę“, gdzie sobie mogli odpocząć.

Gdy zaś zostali oficerami, stosowali do żołnierzy prawo odwetu i mścili się tysiącrotnie za zniewagi w myśl niepisanego prawa:

— Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Po zakończeniu manewrów pożegnaliśmy niedługo starsze roczniki puszczonych do domu rezerwistów, zazwyczaj ojców rodzin, którzy służyli w wojsku po 4 lata. Pożegnanie było żałosne i wzruszające, ponieważ my, młodsze roczniki z r. 1911 musieliśmy jeszcze dalej przy wojsku zostać i beznadziejnie ćwiczyć.

Ale niedługo, bo za miesiąc po 1-szej turze, puszczono i nas do domu. Odjeżdżaliśmy bez żalu do swoich domów, nie przypuszczając, że za rok będziemy tu znowu gośćmi!

## ODPUSTOWE OBRAZKI

Do niedawna największym przeżyciem wsi w ciągu roku oprócz wesela był odpust. Chrzcziny — rzecz codzienna, pogrzeb — nic szczególnego. Ale odpust! Masa ludzi nowych, dalekich otrze się o siebie. Coś niecodziennego, choć nieuchwytnego, poruszy wsią. Serca w kramie dla zakochanych, słodkie gwizdawki dla dzieci, dla niektórych dewocyjna tandeta — i święte obrazki, a dla wszystkich — orzeźwiający odpustowy ogórek. Kawalerzy dla wzmocnienia tego orzeźwienia radzą sobie jeszcze inaczej. W sumie — odpust. W sumie coś, na co się czeka cały długi rok; o czym się potem mówi przez długie miesiące. W sumie — czczość jałowa, nie zaspakajająca ani potrzeb duchowych, ani kulturalnych. Tyle, że okazja do różnych spotkań, odwiedzin, poczęstunków, nierzadko bijatyk. A potem długie gadania o niczym, wałkowanie błahych spraw i przewidywanie, kto z kim — i czy będzie co z tego. Czy się dogadali tyle, że można dać na zapowiedzi, czy też wyłoniły się nowe trudności.

Trudno. Wieś musiała się w czymś wyżyć, jeżeli jej nie było dane w czym innym wyładować swych podnieć. Jeżeli czytanie gazet było grzechem a pójście na muzykę — grzechem bardzo ciężkim, który nadto pociągał przykre następstwa w postaci wywoływania z ambony i wspólnych modłów w kościele za błądzącą owieczkę. Co za rozkosz potem dla bogobojnych dewotek i złośliwych tercjarek! Ile gadania! Idźże, człecze, na muzykę! Więc nie pozostaje nic innego, jak ukradkiem w nocy zrywać się z legowiska i wśród cieni błąkać się ze swą młodością, pełną niewiadomych porywów, dziwnych tęsknot, niewyraźnych marzeń. Potem niewyspane rano, kiepski zur na śniadanie, codzienny kierat — i w rezultacie już po trzydziestce, zaschnięta mumia człowieka. Tego człowieka, który rwał się do człowieczych myśli, człowieczych uciech i człowieczej doli — lecz w zamian dano mu odpustową obietnicę innego życia — w przyszłości i w zaświatach. On tymczasem całą swą istotą tęsknił do tego pierwszego życia, które miał w re-

kach i które mu uciekało, a którego nie umiał tak wypełnić, aby nie czuć tej bezgranicznej nudy i pustki poodpustowej.

Czy to już stara historia, dziś nieaktualna? Niezupełnie. Oto parę obrazków z tegorocznej letniej wędrówki. Nazwijmy je odpustowymi i niech one same mówią za siebie.

Wybrałem południowe zakątki kraju. Słowo „zakątki“ mówi już wiele. To też obrazki nie będą w jasnych kolorach. Ale trzeba je znać. Trzeba wiedzieć, że są i że ich jeszcze jest dużo. Że cudowna zmiana nie przyjdzie w jednym roku. Zresztą żadna zmiana sama nie przyjdzie. Do tych zakątków trzeba ją wcisnąć przemocą, a tych, którzyby przeszkadzali, usunąć. Bo cóż to znaczy, że w miejskich kioskach pełno gazet „ludowych“, jeżeli wioski nie widzą żadnej. Przez zakrytą trafia zaledwie „Rycerz“ i jakiś świąteczny tygodnik z Częstochowy. To wszystko.

Ale do obrazków.

Górska wioska w Sądecczyźnie. Letnik powie jak tu cudownie! Chłop powie: bieda i tyle; trzeba mocno zaganiać, aby jakoś wyżyć. I obaj mają rację. Przeważnie karłowate gospodarstwa nie są w stanie wyprodukować tyle, aby mogły zaspokoić nawet najgłówniejsze potrzeby ludności, której gęstość jest tutaj zbyt wielka. To też stopa życiowa niska. To też w kapliczkach przydrożnych wszędzie Chrystusiki Frasobliwe z ciężko podpartą głową, srodze umęczoną. To też liczne odpusty i modły do Przemienienia Pańskiego. Najbiedniejsi wyjechali na Dolny Śląsk i tam koło Namysłowa zajęli całą wieś. Słuchy od nich idą coraz lepsze. Ale we wsi powstał kłopot o służbę, o najemnika do pracy. Gdy się ktoś trafi, niemożliwie droczy się o cenę. Trzeba zapłacić a dochody nikłe. Bo z czego brać? Powojenny przychówek w bydle jeszcze jest nikły. To samo z nierogacizną. Na szczęście w tym roku dopisały wiśnie. A najważniejsze, że jest na nie zbyt w dużej fabryce przetworów owocowych w Tymbarku. Fabryka reflektuje na każdy owoc i każdego gatunku. Dla okolicznych wsi jest to wielkie dobrodziejstwo. Niektórzy gospodarze zebrali za same wiśnie do trzydziestu tysięcy. Szkoda, że to jest jedyna fabryka w okolicy. Szachownica drobnych działek pól woła o nowe kominy, kominy.

Słońce praży w tym roku z całą szczodrobliwością. Górskie



potoki wyschły, rzeczka ledwie widoczna, do Dunajca, wpada śmiesznym językiem. Prom na Dunajcu nie przewozi z powodu niskiego stanu wody. Bez obawy można wozem przejechać, co na tej rzece należy do rzadkości.

A na drogach zakurzonych furmanki pątnicze, śpiewające nabożne pieśni. Jadą na Kalwarię. Inni, mniej szczęśliwi, krzątają się koło swego odpustu. Prawie w każdej chałupie wielkie pieczenie i masa krzątany, bo... odpust pojutrze. O kupnie masła, jajek, szkoda marzyć. Wiadomo — przecież odpust pojutrze. Postanowiłem nie dać za wygraną i udałem się na koniec wsi. Pod sam czubek góry. Przed domem wypalone i wyskubane pastwisko. Na nim dwie krowy i mało od ziemi odstający pasterz. Jak się okazało, gospodarza jeszcze nie było stać na większego, a i ten nie jego, tylko wyproszony od krewnych na kilka dni. Mały pasterz nie widzi nas, ale, co gorsza — także swych krów: tak jest czymś zajęty. W wyniku daje się słyszeć wielki krzyk z domu, a wnet potem żalony płacz pod małą siermięgą. Przyczyną wszystkiego stał się święty obrazek, подарowany dziecku przez spacerującego misjonarza, który przyjechał na odpust do miejscowego proboszcza. Przyjechał, bo lubi tutejsze góry, tutejszy niezspsuty boży ludek, tutejsze święte miejsce, które jeśli nie jest, to będzie cudami słynące. Na pewno będzie. Tylko ci, co łask doznali, niech zapiszą wszystko i oddadzą gdzie trzeba. A potem może nawet koronacja świętego obrazu się odbędzie. Co by to za piękna uroczystość była! Jaka radość dla wsi i okolicy! Ile chwały Bożej! — Na razie czcigodny ojciec spaceruje z proboszczem po górach, do odpustowego kazania się sposobi i obrazki rozdaje. A że niektóry dzieciak zabawę sobie z tego urządzi, o krowach zapomni, to nie jest jego wina. On spełnił dzieło szerzenia chwały boskiej. Jest zadowolony z siebie. Pasterz także. Bo jak się nie bawić, jeśli tyle na tym papierku kolorów, tyle ludzi przedziwnych i brodatych.

Zadowolony jestem także ja, bo wreszcie trafiłem na dom, gdzie będę mógł dostać potrzebne prowianty. Kobiecie bardzo pilno na lekarstwa dla dziecka, więc mimo odpustu, sprzeda trochę masła, które właśnie ma w robocie. Jeżeli poczekam... Oczywiście, godzę się na wszystko. Przy okazji dowiaduję się szczegółów choroby dziecka. Najpierw młoda matka uważa za

stosowne zademonstrować cały obiekt chorobowy. Wyjmuje więc z kołyski kościotrupka, żaląc się, że po urodzeniu było takie tłuściutkie, takie urodne, a dziś po trzech tygodniach, co to się z tego zrobiło? Aż przykro popatrzeć. Istotnie przykro. To już nie dziecko, ale mały potworek. Podobno angielska choroba tego się chwyciła. Bo posłali do najbliższego miasteczka do doktora, który tak właśnie orzekł. Butelki stoją na oknie, widomy znak dla wszystkich, że dziecko leczą ile mogą. Kobieta jest zadowolona, że spełniła swój obowiązek z tym doktorem. Jak się jednak okazuje, lekarstwa zapisanego nie stosuje. Twierdzi, że ktoś inny poradził jeszcze skuteczniejsze. Takie, że dziecko zaraz przestaje płakać. A to ważne. Jak również to, że lekarstwo niekosztowne. Poprostu do mleka wlewa się trochę spirytusu. Bimber też może być. Toć to to samo. Ale nie dużo. Wystarczy naparstek. A z krzykiem jakby uciał.

Od doświadczeńszej życiowo sąsiadki dowiaduję się, że owa młoda matka stosuje jeszcze inne zabiegi lecznicze — i że na pewno wyprawi dziecko na tamten świat. A tej chorobie angielskiej, ona sama winna. Dziecko bowiem urodziło się w najlepszej formie i brało się do życia, lecz matka na drugi dzień po położeniu, spiła się bimbrem — no i rezultat jest.

Podobnych wypadków jest więcej. Ale nie może być inaczej, jeśli o poradni dla młodych matek nikt nie słyszał. Natomiast na odpuście słyszeli wszyscy, jak zaperzony kaznodzieja w dramatyczny sposób przeklinał tych wszystkich, którzy są sprawcami mordów dziecięcych przed czasem rozwiązania. Nic jednak nie wspomniał, kto będzie przeklęty za tę ogromną większość dzieci, które giną „po czasie“. Czy przypadkiem?...

Ale nie jest przypadkiem, że w gminie cały rok walka, walka na całego, między dwoma obozami. Moc pisaniny, wyjazdów, zabiegów — i o co? O wykończenie budynku gminnego? O szkołę siedmioklasową? Nic podobnego. Jeden obóz walczy o przeniesienie gminy do wsi sąsiedniej, drugi — o pozostawienie go na miejscu. Czy zużyta energia jest w jakimś stosunku do wyników — łatwo osądzić. Mówi się w takim wypadku, że gmina ma pecha. Zaczęło się przed wojną, a do zęnitu doszło w czasie wojny, kiedy to rej wodziło dwóch panów — jeden w roli sekretarza, drugi skarbnika, czy czegoś

w tym rodzaju. Jedno było najpewniejsze, że świetnie się urządzili w gminie, świetnie żyli z władzami okupacyjnymi, a najświetniej żerowali na chłopach. Bo chociaż pobory miesięczne nie przekraczały 300 zł, im wystarczyło na wszystko. Śmiali się z wysiedlonych i biedującej inteligencji, że sobie nie umie radzić, więc tym samym nie zasługuje na poparcie. Tej zasady trzymali się bardzo skrupulatnie. Aby zdobyć papierek na kupno jakiejś szmaty, papierka, który nawet gadzinowe prawo niemieckie przewidywało, trzeba było mocno podsmarować. Inaczej nic z papierka. Ta sama historia się powtarzała, gdy chodziło o uchylenie od kontyngentu krowy na jeden miesiąc. Ostatecznie krowa prędeż, czy później poszła, ale tym panom wiodło się coraz lepiej. Lepiej niż przed wojną. Przy tych metodach mogli sobie pozwolić na luksusową kuchnię, przyjęcia, własne konie, powózki, parobków, słowem — żyć i nie kończyć wojny. Chłopi odgrażali się, że ich cało nie puszcza, lecz puścili. Ci panowie wczas zwąchali się z „lasowymi“ i zaczęli część kradzionych rzeczy odstępować tamtym. Zaczęli się ubezpieczać na dwa fronty. A gdy przewrót się zbliżał, kazali lasowym napaść na gminę i spalić księgi. Dziś nie można ich pociągać do obrachunku z tych lat, bo dokumentów brak. Oni też znikli pewnego dnia. Dziś są pionierami na Ziemiach Odzyskanych. I znów przezornie ubezpieczają się ze wszech stron.

Na Zachód przeniosła się prawie piąta część ludności tutejszych wiosek. Komornicy, jednomorgowi, a nawet średniacy powędrowali i dziś są właścicielami ładnych gospodarstw koło Namysłowa. I chociaż początek jest trudny, chwalą sobie, że nareszcie chleba mają pod dostatkiem; że z każdym dniem czują się tam coraz lepiej. Drżą tylko wtedy, gdy dowiedzą się z gazet, że ktoś z polityków światowych zaczyna mętnie gadać o naszych ziemiach zachodnich. Dla nich tu wszystko jest jasne.

Nic dziwnego, że stale ktoś ze wsi jeszcze ucieka na ten Zachód. Najpierw jadą w odwiedziny, czyli na zwiady, a nawet potem na stałe. Wobec tego we wsi coraz trudniej o robotnika, jeszcze trudniej o służącego. Bo kto dziś pójdzie na służbę? Chyba ułomny. Bo jako tako poskładany chłopak, choćby najbiedniejszy, taki co niedawno jeszcze nie miał zad-

nych widoków na założenie ogniska domowego, ale skazany był na wieczną poniewierkę po służbach — dziś, w pełnym poczuciu ludzkiej godności, wyszukuje sobie dziewczynę, zeni się, i tegoż dnia wyjeżdża na Śląsk, gdzie jeszcze się znajdzie coś dla niego. Choćby parcela tylko. Budynki może już będą nie tak komfortowe, może podniszczone, może bez sprzętów, lecz da sobie radę. Sąsiedzi, którzy się już tam zadomowili pomogą. Choćby z tej radości, że przybył ktoś nowy, swój; że ich liczebność wzrasta.

Ale bywa też inaczej. Choćby ta kobieta. Ma lat trzydzieści. A może pięćdziesiąt lub więcej. Jest smutna, śmiertelnie znużona, stara. Zaraz po ślubie mąż wyjechał do Argentyny, aby zarobić na postawienie budynków. Oboje byli młodzi i rwali się do życia. Lecz na ojcowskiej trzymorgowej chudziźnie nie było widoków. W Argentynie różnie się składało. Zanim się rozpatrzył, upłynęło parę lat. Potem wojna. Potem — sama nie wie co. Dość, że samiutka w domu. Od roboty i niewygód schorowana, gruntu obrobić nie może. Jechać na Ziemię Odzyskane? Przecież musi czekać na powrót męża. Może wróci w tym roku. Na co on tam jeszcze czeka? Widocznie ma jakiś powód. Widocznie lepiej wie, kiedy ma przyjechać. Gdy nastąpi stabilizacja pieniądza i stosunków w kraju, to wróci. Oby to już nastąpiło! A może jest w drodze. Śniło się jej, że...

W tym oczekiwaniu spotkało ją jeszcze jedno nieszczęście. Okaleczyła rękę, i jak zwykle na wsi, zlekceważyła ranę, z czego wywiązało się ostre zakażenie. Musieli ją odwieźć do szpitala. I rzecz dziwna: kobieta nie może się nachwalić stosunków szpitalnych jak tam o nią dbali, jak pielęgowali, jakie dobre jedzenie, jacy doktorzy troskliwi... Czy istotnie takie stosunki panują w szpitalu nowosądeckim? Jakież korzystne zmiany musiały zajść w szpitalnictwie. Wiemy przecież wszyscy, że do niedawna panowało na wsi dziwne uprzedzenie do szpitali. Gdy lekarz zawyrokował leczenie w szpitalu, chory pisał testament i prosił, aby go nie ruszali z domu, bo chce umrzeć wśród swoich. Słowo „szpital“ równało się wyrokowi śmierci. Dziś i w tej dziedzinie zaszły wielkie zmiany.

Ale jeszcze mało tych zmian. Młodzież dalej narzeka, że

nie ma gdzie i jak spędzić niedzieli, oraz wolnych wieczorów. Karty się już znudziły, bimber obrzydł, nuda przeradza się w apatię. Do wsi nie dochodzi ani jedna gazeta, nikt nie widział kina, nie słyszał o teatrze objazdowym. Miejscowe plotki stanowią całą strawę duchową. Świetlicy nie ma kto prowadzić, nie ma radia, nie ma prądu. A Rożnów blisko. Dopiero w ostatnich tygodniach zaczęło się więcej mówić o elektryfikacji okolicy. Więc chłopci się niecierpliwią. Bo wtedy z radia czegoś się człowiek dowie, i wieczorem coś zrobi przy takim świetle, a może ta jasność rozprzestrzeni się na inne dziedziny wiejskiego żywota.

Początki już są. Światło pod strzechą — czy jak to tam nazywać. Poprostu wiejskie gimnazjum (o tym osobno). Nikogo to już dziwi. Ludzie już oswoili się z tym i uważają gimnazjum za rzecz zupełnie naturalną. Na razie jest ogólnokształcące, ale w zamiarach dyrekcji jest przekształcić od nowego roku na zawodowe. Wpierw jednak trzeba urobić grunt pod nowe pojęcie szkoły zawodowej. Trzeba tępić uprzedzenia do tego rodzaju pojęć. Na razie ważne jest, że wszyscy chcą się uczyć — młodzi i starzy.

Czyli obok wielu cieni, są też jasne punkty. Chodzi teraz o to, by je rozprzestrzenić. Jednostka nie da rady. Potrzeba inicjatywy i zarządzeń czynników rządowych, samorządowych i społecznych. Trzeba w te cienie, schowane po zakątkach kraju, wniknąć sercem, rozumem i wolą. Wieś wciąż czeka.

TEODOR GOŹDZIKIEWICZ

## MATKA

(fragment z powieści pt. „Głosy z daleka“)

Matka!... jakaś nieujawniona krzywda... Jakiś przedłużony ból... Jakieś zakryte cierpienie. Poświęcenie dla innych — dla mnie. Praca codzienna, wieczna, ordynarna praca: praca nie dla moralnego łgarstwa o jej pięknie, ale praca dla żarcia, dla istnienia. Robota. Harowanie: całe życie, lata, dzień dnia, z chwili na chwilę.

Oglądam obrazy i sceny, a jednocześnie snuje się przeze mnie druga druga nic — marzenie słowami...

— Matka!... cieniu kochany, cieniu — który odszedłeś, którego już nie ma i nigdy nie będzie... Spłakałaś oczy twoje nad kuchnią i kądzielą i pożarła cię już ziemia. Pożarła twoje chude, wysuszone wiecznym niedojadaniem ciało chłopskie..

Widzę małą, wysuniętą ku lasowi wieś, ginącą w topieli zasłuchanych pól. Siwy dach przy dachu, jak chude stado krów ściśnięte w wąskim przejściu — to domy i stodoły. Podwórka maluskie, ozdobione gnojownikami po środku. Okna w domach małe, malutkie — jak kaprawe oczy zaspanego dziecka. Małe, żeby nie uciekła nimi bieda na góry — na lasy, ale siedziała tu, w tych domach postawionych ciasno, jeden obok drugiego na wąskich placach, gdzie chłop przewrócony w poprzek płacił szlabanowe dwom sąsiadom. Jednemu od nóg, drugiemu od głowy — za wtargnięcie na cudzą „dziejzinę“.

— Mamo, mamo!... ileś ty dni w roku musiała odrabiać na cudzym za ten dom, gdzieś mieszkała jako „komornica“. Ileś nocy nazarywała nad kądzielą przy pręślicy, żeby odrobić skrawek ziemi na własny len? Pamiętam to, och, jak ja to pamiętam... I to też... także. Skończyłem szkołę powszechną — chłop czternaście lat jak obszył. Świadectwa, rodzice, koledzy. Nastrój — nauczyciele. Mowy, życzenia. Dostajemy papiery. Widzę cię przelotnym rzutem oka: siedzisz gdzieś tam od ściany i płaczesz. Zżółkła twarz, znaczną zmarszczkami w ramie perkalikowej w kwiaty chustki zawiązanej pod brodę. Jak to było? Aha! — wszyscy się rozjeżdżają czekają furmanki. Będą zabierać kolegów, ich łóżka zelazne, sienniki ze słomą, skrzyneczki. Na mnie nie czeka fura. Dopiero później może tam matka kogo uprosi. Bierzemy tylko moją skrzynkę. — Nie uniesiecie — mówią koledzy, rodzice. — Damy radę — mówi mama — za miastem zrobi się powrósło że żyta i na plecy, to się uniesie... Mówisz to tak rzeźko, pewnie, ochotnie, niefrasobliwie, a mnie chwyta nagle jakiś dziwny stan: gorąco mi i chciałbym, żeby nikt na mnie w tej chwili nie patrzył. A tu pewnie patrzą wszyscy.

— Ech!...

W piasku drogi, która idzie przy domach wsi, bawią się dzieci najmniejsze. Tytle się tego dużo w ziemi suchej, pomie-

szanej z prochem rozbitego nawozu. Przepędzają tutaj przecież cztery razy dziennie krowy. Dzieci w koszulach tylko lnianych „dla chłodu“ gołymi siedzeniami zamiatają ścieżki i równają koleiny. Drugie tyle pasie po łubinach młodych, po perzawkach na podorywkach gęsi. Albo na miedzach, na rowach, po przylaskach krowy, Wszystko tu pracuje: młodzi od podrostka, starsi do zdychającego dziada — wszystko jest wprężnięte do jednej wielkiej roli, do jednego olbrzymiego zadania: zarobić na jedzenie! na jedno żarcie!

Narasta gniazdo za gniazdem: idą w świat do Niemiec na roboty, za morze, rozrzucają się po całym świecie w poszukiwaniu chleba. Znają ich okoliczne dwory obszarników, majątki bogatszych chłopów. Czepia się to ziemi, piasków, jak mech kamieni lub grzyb gnijących szczątków drzewa. Zatyka swym cielskiem wszelkie społeczne luki, dziury niespodziane i wyrwy nadzwyczajne. Wsiąka i wsiąka w społeczne szczyrby przestrzeni świata...

Widzę bystro jak wczoraj — jak przed chwilą. Mała, jednookienna chałupa z glinianym tokowiskiem. Na oknie jedyna ulubienica całej rodziny — mnie i matki — lekarska, doniczkowa cebula. Oko w głowie dnia: trzeba podlać, przekręcić do słońca symetryczne sierpy liściastych wolut, nasadzone na wylupiastą łodygę rośliny, Uniwersalny specyfik — wsiowo gospodarsko-lekarskiej recepcie na wszelkie stłuczenia, wrzody i „bóle“. Matka odcinała z niekłamana boleścią, dwa, trzy kwartały tłustego, śliskiego liścia proszącym, a potem bliska płaczu (i zła) ranę rośliny zalewała olejem.

Wiosna wypędzała ją do boru. Zbierała dzień dnia dzbanki czarnych jagód i w targowe dni biegła z tym do miasta. Nie mogła odżałować czasu, który musiała poświęcić sześciomorgowym dziedzicom na odrobek za leszkę lnu, który jej pozwolili tu i ówdzie siać. Jesienią powtarzała się ta sama historia z grzybami, które spędzały ją o szarym świecie, ażeby się nie dać nikomu wyprzedzić... Kawałek tylko chleba do koszyka...

— Eh, mamol!...

Wszędzie i zawsze już, pamiętam, towarzyszyłem matce w tych borowych kampaniach — przy jagodach, grzybach, jeżynach. Nawet w dniu, kiedy szła do miasta, dla zmniejszenia straty chodziłem sam. Rozumiałem już wówczas — małe dziecko —

że nie zbierać, to nie mieć i nie jeść. Oprócz tego dla zachęty kupowała mi matka bułkę, czerwonego długiego cukierka za grosz lub w razie zapotrzebowania przeze mnie kozik, o drewnionym trzonku.

Zima miała u nas inne oblicze. Siedzieliśmy w domu. Matka przędła i przędła nieskończone, niewyczerpane czapy kądziel, a mnie się zdawało, że cały świat jest z lnu. Na święty Michał, który był patronem naszej parafii, w dzień odpustowy, który zamykał po większej części trud kopania ziemniaków i zbioru siana, raz kupiła mi matka elementarz.

— „Bydziesz się tero uczyć“ ...ach, mamó, mamó...

Była to niewielka, szara książeczka. Na wierzchniej okładce widniał obrazek Matki Boskiej z dwiema krechami niemilosiernie porąbanej twarzy przez „zbójów“ i Pan Jezus o twarzy starego człowieka. Pod okładką na samym zaraz wstępie stał pacierz: od Ojczenasza do wszelakiego autoramentu przykazań. Po tym równe szeregi dużego i małego abecadła.

Wystrugałem sobie z patyka brzoźowego „skazówkę“ i uczyłem się. Na ławce tuż przy prześlicy matki miałem rozłożony elementarz na dużym abecadle i jeżdżąc „skazówką“ po znakach, powtarzałem za nią:

A, B, C, D... ach, mamó... bo to były litery dla mnie? pięcioletniego bębna? Skąd ci się wzięło mnie uczyć takiego małego berbecia?

Sypały się na stronie z ciemnego tandetnego papieru siwe paździerz z kąpieli, które musiałem ustawicznie zdmuchiwać. A ja się uczyłem liter dużego abecadła. Bo to jednak dla mnie były litery? co to były te litery. Widziałem tylko w ich obrazkach pewne podobieństwo do przedmiotów z otoczenia, które znałem. A — przypominało mi rozpórkę do skórki z królika; D — było takie samo, jak piłka z pałgiem do gałęzi; T — równało się autentycznemu młotkowi; C — niewytłumaczoną rzecz kolejną miało kształt obtraconego ucha od fajansowego czajniczka, które przechowywałem pod stołem, a które matka starannie omijała miotłą podczas rannych i popołudniowych porządków. L — przypominało bardzo kosę (bez rączki), a Ł — jeszcze bardziej (z rączką); O — zupełnie nie różniło się od wierzchu opałki na stróżyny od kartofli, a P — było jak siekierka z odwróconym ostrzem, na co nie było rady.



Potem przyszły komplikacje. E — przedstawiało człowieka z wyciągniętymi rękami i nogami przed siebie i dużym nosem; F — takiego samego osobnika, który jednak przenosi pozę stojącą; M — nadzwyczaj przypominało huśtawkę bez górnej poprzecznicy. Świat cały widziałem teraz z liter. Dostrzegałem te znaki w płocie, na drzewie, w sadzie — wszędzie. Wszystko było z liter. Otoczenie weszło w litery, a litery były w otoczeniu.

Kiedy poszedłem do szkoły, miałem już około ośmiu lat i nieźle czytałem. Ostatecznie ten elementarz zrobił swoje. Niezapomniana to była szkoła — za wzgórzkiem w sąsiedniej wsi. Kiedy u nas wszedłem na płot, to widziałem jej trójkątny szczyt z ciemną plamką prostokątnego okna. Murowany budynek, nowy nawet, klasę miał, dużą od południa i schody, mieszkanie dla nauczyciela od północy i wschodu. Te nauczycielskie pokoje były dla mnie egzotycznymi zakątkami. Nigdy nie można było do nich się dostać. Nie było okazji. Rzadko tylko, może raz w roku, mogłem przez niedomknięte drzwi zerknąć z korytarza do wnętrza. Leżał na środku pod stołem czerwony dywan. Na oknach kwitnęły pelargonie.

Przyszliśmy z matką jakoś w jesieni. Czekaliśmy w klasie. „Pan“ był w ogrodzie. Oglądałem klasę i ławki z jakimś zabobonnym lękiem. Stały wyrzędowane, proste, surowe, nieme, zasłuchane. Ciągnęły moje oczy dwa kolorowe obrazki w złotych ramach na północnej ścianie — jakiejś młodej pary ludzi barwnie wystrojonej. Twarze mieli gładziutkie, różowe, jak z najdelikatniejszego ciasta. Wszedł nauczyciel — młody człowiek, starannie uczesany. Kołnierzyk bielił się pod brodą. Granatowy garnitur miał w sobie coś świątecznego. Matka pocałowała go w rękę. Ja drugi za przykładem.

— „Przyszłam oto grzecznie pana prosić, możeby tyń mój mały mógł chodzić do szkoły?“...

Okazało się, że nie jest to taka łatwa rzecz. Nie mogłem chodzić, bo nie mieliśmy ziemi. Matka w nadziei, że ten zakaz da się w jakikolwiek sposób obejść, obiecywała to — owo, a to odrobić, a to zapłacić co nieco. Pocałowała jeszcze raz jego rękę. Ale to wszystko było próżne.

— Nie wolno... nie mogę... mogłoby się wydać...

Nie był to jednak człowiek zły w gruncie rzeczy. Sam pod-

dał myśl. Żeby to kto, kto nie ma dzieci, przyjął go na swoje nazwisko, w razie czego jak inspektor przyjedzie — to by się dało zrobić.

— A jak się będzie nieźle uczył, to możecie nie płacić...

Znalazł się taki ochotnik do udzielenia nazwiska. Matka zaofiarowała mu swoje usługi na polu czy w domu.

Poszedłem do szkoły. Miałem nową tabliczkę, nowy rysik, nowe buty, kapotę i czapkę. Klasa pełna była dzieci. Pierwszoklasowcy stały po bokach — zdezorientowane, onieśmiałe. Starsze z dumnymi minami, pewne siebie, chodziły po klasie potrącając malców i jak do macierzystego portu zawijały na ostatnią ławkę — najwyższy oddział.

Zatrzymałem się przy oknie jak wmurowany w ziemię. Patrzyłem na to wszystko z najwyższym zdumieniem. Rzeczy otaczające były jakby przewróconym światem. Paliły mnie oczy tych dzieci, choć nie wszystkie patrzyły na mnie. Ubranie, nowe jaskrawe ubranie parzyło mnie i dusiło. Po co mnie ta matka obuła w nowe buty? Po co? żeby mi jeszcze dodać wstydu? Dzieci są w zwykłych ubraniach. Dzieci są boso. A ja? Ubranie posiada jeszcze zapach jarmarcznego krawca. Czuję to wyraźnie. Guzełek zwiniętej chustki ciśnie mnie w nogę. Jak coś obcego, jak coś niepotrzebnego. I nie na miejscu. Patrę w obrazy. Żółte ramy. „On“ ma brodę ciemną. Szarfy jakieś, sznurki, ordery i krzyże. Oczy nieruchome portretowe. „Ona“ wysoko upięte włosy. Goła, różowa szyja błyszczą jakimś jaskrawym światłem.

Ktoś mnie zawołał z ławek. Zwracam w ciasnym kołnierzu unieruchomioną głowę. Haftka kłuje boleśnie skórę. Widzę kto — uśmiecha się porozumiewawczo. To chłopak sąsiada, z którym wywłóczyliśmy się po wszystkich miedzach. Z trudem, z wysiłkiem, cały w ogniu doszedłem do niego. Siedział z brzegu w długiej, ośmioosobowej ławce. Wyjął książkę spod ławki i mówił:

— Bydzies się uczył po rusku — zobocys...

Otworzył książkę na chybił-trafił. Stały tam dwie butelki. Zaczął czytać:

— Odna butyłka mała, druga butyłka duzaja...

Cały wstyd, całe skrepowanie przetransformowały mi się w śmiech. Plułem tym śmiechem, co mojego sąsiada do dal-

szych pobudziło wysiłków. Śmieszyła mnie tak ogromnie owa „butyłka“... Dziś wiem, że pół na pół stwarzał, ale wówczas patrzyłem na niego z uznaniem i podziwem, że tak dużo umie.

Matka owinęła w róg chuteczki od nosa ileś tam pieniędzy, upominała surowo, żebym nie zgubił i kazała zanieść „panu“. Ach, com przeżył! Gdzie tu oddać? W klasie? Przy tyłu dzieciach? Nie — za nic na świecie!...

Pan był w koszuli i mył się... Stara, sucha, wysoka gospodyni stawiała talerz jajeczniczy na stole. Zacząłem coś niemrawo mówić i supłać węzeł obejmujący grosze. Ale nauczyciel nie wziął. Wyraźnie nie wziął. Ogłuchłem i oślepiłem: koniec. Koniec temu wszystkiemu. Całkowity. Nie wiem, jak wyszedłem z kuchni. Coś mnie wyniosło, zabrało, posadziło w ławce i zamknęło usta do końca lekcji. Zobaczyłem matkę. Ona — siedzeniem i własnym ciężarem ciała przytrzymuje, przyciska do ławki deseczkę przęślicy. Elementarz. Na brudno umorusane stronice, porżnięte ostrą skazówką sypią się drobne paździerze. Jakby mnie ktoś spętał, związał w środku. Nic mi się nie chciało. Nie mogłem nic robić. W domu opowiedziałem wszystko matce z płaczem. Porwała chustkę i zaraz od ręki w dyrdy pobiegła. Ale wróciła uradowana. Poznałem po zamknięciu drzwi, po sposobie jak odjęła chustkę.

— Ady nie płacz, nie — pan nie weźmie pieniędzy, bo się dobrze uczysz...

— Ech, mamó, mamó! Czy ty wiesz, że twoim chęciom pomogły: wojna i niepodległość kraju?... Tak, tak — mamó, cieniu, któryś był i minął...

ANNA KAMIENSKA

## CHRZEST

W trzecie święto postanowili ochrzcić ostatniego chłopaka. Rano przyjechał kum. Kiedy otworzył drzwi, matka aż krzyknęła, taka wichura powiała kurzem do pułapu. Odłóżmy — radzi. Pogody nie ma. Ksiądz się rozgniewa — uparł się ojciec. Dawno przypominał. W trzecie święto się obiecałem. — Na Studnikach wczoraj zabili Niemca, może coś być — nie

jedźcie -- mówi kum. Tym gorzej. W wojnę życie dziecka niepewne, jedziemy.

Koń brnie w zaspach. Zrywa się zadymka. Kuma dziecko chwali, że udane. A tu z daleka — brzdami już widać ludzkie przemykają się do lasu. Coraz ich więcej. Przy krzyżu idzie z pięciu kawalerów ze skrzypkami i z harmonią. Szli do dziewczyn na Studniki. Zawrócili ich ludzie. Może przejechać się uda. Nie na zabawę jadą.

Strzały karabinowe odezwały się tu, tam. Matka zaczyna płakać, dziecko obudzone piszczy.

Przyjechali jakoś. Ksiądz się spieszył — o imiona ledwo pyta. Kuma chciała, żeby był Ludwik, albo Edward — ksiądz zapisał na Jana.

Wiozą Jasia do domu. Wiatr się odwrócił, wszędzie pusto, cicho. Może jeszcze poczęstunek urządzimy. A może. Uspokoiło się jakoś. Dzień zimowy krótki. Ściemnia się, kiedy dojeżdżają do pierwszych chałup. A tu Niemcy wychodzą. Karabiny nastawione. Stać. Zrzucają kobiety, każą się wieźć do sołtysa.

Dowlekły się jakoś do chałupy w kopnym śniegu. A tu drugie dzieci czekają — trzeba coś nagotować. Świni nie wyniosły. Boją się wychodzić, bo Niemcy patrzą. Wszędzie Niemcy. Zrobiły porządek. Aż dziwne, co tak cicho na wsi, wszyscy po domach siedzą, a to przecież trzecie święto. Lamy nie palą, siedzą, czekają. Aż tu blak uderza w szybę i krzyk. Pożar. Kto się pali? Sobota, na końcu wioski. Wiatr bujny, łatwo pożar rozdmucha. Może Niemcy podpalili? Co robić? Co ratować? Jaś krzyczy ciągle i stuk kołyski dzieli jego wrzask na równe, monotonne okresy.

Wreszcie i kroki w sieni. Wracają. A to Niemcy. Każą wynosić się na śnieg. Popychają wahające się kobiety. Dzieci szurgają za matką. Jaś został w kołysce.

Z uśmiechem silny Niemiec uniósł kołyskę i rzucił przez próg. Choć zabrać coś ciepłego. Nie wolno. A przed innymi domami już stoją, zawodząc, kobiety. Psy rozszczekały się. Niemcy strzelają do psów.

Odeszli dalej. Ale ogień coraz bliżej — skwierk jego słychać gęsto jak szum wody we młynie. Zza rogu, brnąc w czerwonej łunie wysuwa się stary Zajac w siekierą w rękę. Żona

za nim. Zmiłuj się, w taką porę, człowieku. Wzywa Boga na świadka. Mam ja swoje porachunki — upiera się Zajac. Spiłeś się, co ci zrobił sołtys? Ale stary wymachuje siekierą, w której jak w lusterku świeci pożar. Kobiety ustępują mu z drogi. Idąc, zawadził o kołyskę Jasia, zwałił się i pozostał na śniegu.

Ojciec Jasia idzie blady. Trzyma w rękę płonąca głownię. Za nim uzbrojeni Niemcy. Zbliży się do pierwszej chałupy i podpala ją. Nie od razu zajęła się słoma. Wójcikowa ociemniała z początku, biegnie teraz z pięściami do niego i z przekleństwem. Śmiech Niemców jeszcze bardziej ją rozdrażnia. Wspina się drapać po twarzy. Schwycił ją za szyję i odrzucił na ziemię.

Zbliży się do swojej chałupy z głownią płonąca. Przed świętami z najstarszym swoim reperował dach — strzecha stoi porządna. Przez drzwi otwarte widać jeszcze żar pod kuchnią — wieczerza zgotowana dla niego. Wchodzi do izby. Nagle rzuca się ku drzwiom — krzyczy — własnej chaty podpalać nie będzie — ciska głownię. Już Niemcy drzwi zatrzasnęli, przytknęli ogień. Szamoce się z drzwiami chłop. Osłabł. Rozczerwieniona jego twarz ukazuje się w szybie.

Jasiu, twoja kołyska stała pod płotem, na kawałku odwieanej od śniegu ziemi. I Helka, pięcioletnia dziewczyna, patrząc uważnie na języki pożarów, zajmujące coraz wyżej ściany rodzinnego domu — kolebała ją ruchem miarowym tak samo, jak robiła to wczoraj przy kominie, pod obrazem Świętej.

WŁADYSŁAW KOWALSKI

## GRZMIĄCA

(fragment)

Szedł teraz pan Łazowski wygonem, przystawał często, rozglądał się po łąkach zbóż. W umyśle ciężko trawił zarzuty stawiane przez Odolanickiego chłopom. To wszystko wydawało mu się jednak niesłuszne. Odolanicki nazbyt tchnął starą szlachetczyzną. Lud prosty, — myślał Łazowski — wiele rzeczy może opacznie pojmować. Gdyby jednak istniała możliwość oświaty, we własnym państwie, drobne wady, jako i ta śpiewka

o dochodach księdza, wszystko to ustąpiłoby miejsca duchowi silnemu, jak to życie ludu, w którym tkwi dynamiczna potęga bytowania i przywiązania, przecież — powtarzał z naciskiem, — przywiązanie do ziemi i wiary...

Gdy wszedł w las, przeciskał się po gąszczu krzewów leśszczyzny, jałowca, czeremchy, głógów, kęp ożyn kwitnących białą, ubogą i rzadką, przybranych już w drobne, zielone, a jakby z prosa utkane, supełki jagód. Przystawał i rozglądał się po drzewach, tęgich sosnach, brzozech, których biała kora jaskrawo odbijała na zielonym tle liści i igliwia. Dłużej zastanawiał się nad wiązem, potężnym objęciu, a który na wysokość rosnącego człowieka zmurszał z jednej strony, aż dziw, że strzymał ogromnie rozrośnięte konary. Akurat na najniższej gałęzi, sąsiadującej o pięć kroków z wiązem brzożki, dojrział wiewiórkę, która figlowała, wyglądając to z wierzchu, to spod spodu białego drażka. Raptem skoczyła i znikła w gęstych konarach. Łazowski zamierzał już pójść dalej, gdy o uszy obił mu się czyjś głos męski, dość równy. Błysnęła myśl, że można by sobie z kimś pogadać. Nadsluchując za głosem, zbliżał się wolniutko i po chwili dojrzał w oddaleniu dwudziestu kroków dwie szare postacie. Twarzy stąd jeszcze nie widział, bo siedzieli bokiem do niego zwróceni. Zajęci rozmową nie zwracali uwagi i mógłby był podejść zgoła niezauważony. Łazowski ruszył ku nim po chwilowym namyśle, lecz w oddaleniu jakichś dziesięciu kroków przystanął nagle za krzakiem jałowca i obserwował. Obrazek bowiem, jaki stanowili rozmawiający, wydał mu się trochę dziwny. Stary chłop w burym spencerze i portkach koloru spłowiałego bławatka, siedział podparty trochę grzbietem o sosnę, nogi wyciągnął przed siebie i taczając na piętach, wachlował stopami. O dwa kroki od niego, tak samo ubrany, kucnął może dziesięcioletni chłopak, łokcie rąk wsparł o kolana, a dłońmi objął twarz i chciwie patrzył w chłopca, który coś mu opowiadał i to z powagą. Łazowskiego zaciekawilo, co też ów chłop mógłby opowiadać małemu, który aż tak wnikliwie słucha. Stał i nadsluchiwał. Posłyszał wnet słowa, które chłop wymawiał z przerwami, jakby się trochę zastanawiając.

— To... niby... powiadasz... rządcą cię złapał w grochu?... — mówił chłop. — Chłopak kiwał głową lekko za każdym zda-

niem. Chłop dalej gadał. Rozmamłany pod szyją, która, jakby płótnem obciągnięta, wisiała pochyło z głową nad rękami, wkółko splecionymi na udach nóg. Przy poruszaniu warg, bure rozstrzepane wąsy, zwisające pałakowato ku ustom, jak przez sito ukazywały białe zęby.

— Powiadasz, że nie lał cię, tylko pytał, czy nie wiesz, którzy we wsi mają strzelby i gdzie chowają? O! — Potrząsnął chłop głową. — To dobrześ zrobił, żeś tylko ramionami trzasnął. Bo jak się tak akuratnie nie wie co odpowiedzieć, to najlepiej udać głupka. A czasem — to się człowiek tak zapłcze i nie może wnet skombinować, jak wykręcić. To wtedy najlepiej udać głupka. Toto toś dobrze zrobił! — jeszcze przychwalił chłop, potrząsnął dwakroć głową. — Im nie można, jak psom, prawdy mówić. Bo oni są gorsi od psów! Jeszcześ mały, ale jak urośniesz to się przekonasz. Jeśli nie tak bardzo zza młoda, to na starość, ale się przekonasz. Tylko widzę, że z ciebie będą ludzie. Małyś, a już się za rozum chwytasz. Od jesieni cię poszlę do szkoły. Szkoda, żeś za tego Sielawy nie chodził. Ale te Jemioły to trochę niedbałe są. Bo ten to tu żadnych takich kosałów opalów nie opowiadał, tylko czytać, pisać i rachować uczył. A ten w Błotnicy to połowę dnia opowiada kiedy się jakie króle i wielkie pany rodzili, jak wojowali i takie jeich rozmaite historie. Na ten przykład pożytek z tego taki, jak z tych kłaków, co masz na łbie, kiedy się je zetnie. Ale oni uczą tego, żeby o nich pamiętać. I tak się chcą chwalić, co to dobrego na świecie zrobili. Nie wiadomo kto to tutaj od jesieni będzie uczył, ale zawsze jakiś będzie. Pośle cię do niego. Pisać i czytać trza się uczyć. Bo, po prawdzie, na tym gruncie to nic nie ma, tyle, że się ten świat mami. A ty przecie nie masz i zuska gruntu, to i przekocolować ci będzie trudno na tym świecie. Jak będziesz umiał pisać i czytać, to możesz popaść gdzie za woźnego, albo za stróża. To już ci lepiej poleci jakbyś nawet trzy razy miał gruntu co ja. Rachować się ucz! Bo jak nie będziesz potrafił rachować, to cię rodzony brat na jaki grosz oszuka. A szkoda i grosza, bo z niego się żyje. I we wojsku ci się przyda list napisać, czy jak. Bo przecie służyć musisz. Nie jesteś jedynak, masz brata. Chyba, żeby ci co brakowało do zdrowia. A tak to cię wezmą. Czy będzie ten, czy drugi jaki, to oni tu za-

rządzą pobór. Służyć musisz. Tylko, abyś czuwał dobrze, żeby się stamtąd cało wydostać. Dawno, dawno, uważasz, to szlachta chłopów do wojska nie brała. Sami wojowali i co tam zrabowali gdzie, to się podzielili. Chłop im tam co najwyżej żarcie przywoził. A teraz zmądrzeli! Teraz to i żarcie chłop i na wojnę chłop. Ale, bo ten nasz brat, to, psiakrew, strasznie głupi... — bładny uśmiech błysnął i znikł na ustach chłopca.

Mówił dalej: — Ma tu Oleś w Glinkach książkę. Pieczęć stoi na niej, że z Potykanowa. Jak się Oleś włóczył, za Ruska jeszcze, a dziedzic uciekł i we dworze żołdacy stojeli, chodził tam Oleś za handlem i ukradł. Akurat na tę trafił. To tam w jednym miejscu napisane, że... A, zaraz... Bom ci nie powiedział, że wojna była, a znów chłopci bunt przeciw szlachcie podnieśli. To jeden szlachcic za dziada był przebrany, spotykał chłopów w boru i na czemsiś dziwacznym im grał. A tę, psiekrewie, głupie, zamiast nieznanego dziada powiesić, to oni hulali. Jak im grał. Potem dał znać szlachcie, gdzie chłopcy są i szlachta zniecka otoczyła ich. Rozumie się wyrabiała. Trudno naszego brata do czego namówić i w kupę zebrać. A jak się zebrał, to nie czuwał, tylko hulął. Bo mu dziad grał. Psiakrew! To aż śmiechu warte! — chichotał cicho. Potem rzucił kciuk ręki: — I do dzisiaj! — przełożył nogi, splótł w kolanach, uniósł rękę i trząsał palcem: — Ci mówię, abyś im nigdy nie wierzył. Zapamiętaj to sobie, że ci to Kubas mówił, jakieś u niego za pastucha służył. Nie wierz wcale! Bo jak się tam trochę będziesz wagował, to cię zmamią i długo możesz być ślepy. Najlepiej nie wierzyć w nic, co mówią...

Powoli supłał w kieszeniach spencera, wytrząsał okruchy suszonych liści tytoniowych na papier i milczał. Chłopak jednakże ani drgnął, wzrokiem zatopiony w Kubasie, czekał. A gdy kłęb dymu rozplynał się cienką, niebieskawą chmurką, Kubas mówił wolno i z rezygnacją:

— Cię, ja... to, po prawdzie mówiąc mało wierzę, aby i Pan Bóg był. To też jakieś manienie jest. Jak ono tak może być, aby na świecie rozmaite gałganstwa, a on temu nie zaradza. To jedno. A po drugie: po księdzach widać. Aby na grosz chytne, na wygodę. I kręca! Za takiego diabła, jak Niemiec i to kazali się modlić. Bo rabuje chłopów, a im daje. Cotośmy tę drogę reperowali w wojnę, do Świdnic... Bale tam takie,



że! Ani jednego chłopom nie dali... Tyle, co kto ukradł. Wszystkie do księdza zawieźli. Takem, uważasz, stłamsił w sobie toto wszystko i nie wierzę w nic... — puścił kłęb dymu. — Ty może stłamsisz, a może i nie, bo to ciężko się tego wyzbyć. To ci powiadam: jak już nie będziesz mógł stłamsić, no to nie!... To już będziesz chodził i modlił się. Ale co tam ksiądz odskoczy na kazaniu od ewangelii i zacznie takie inne co mówić, to w to nie wierz! Bo się popłaczesz ty, a od ciebie kto inny... — rzucił wzrokiem za prawe ramię. — Wyjrzyjno, gdzie szkapsko! Bo czasem to ten „gwiazdka“ lubi się po boru włóczyć. Zjechał tu jucha i... Do Sobieraja gadał kiedyś cienko, jakby do smarkacza. Skoczno! Kiedy indziej ci powiem, jak to oni mają chłopą...

Chłopak skoczył w krzaki. Kubas zaś wyciągnął się swobodnie i ułożył na prawym boku, rękę podłożywszy pod głowę.

Pana Łazowskiego dziwne teraz opanowało uczucie. Cały jakby się rozdwajał. Na policzkach twardniał, a w głowie szumiące fale natarły ku sobie i stłumiły jasną myśl. Stał, nie mogąc się zdecydować, co z sobą począć: odejść niezauważony, czy też przyznać się do podsłuchu i pogadać z chłopem. Te dwie myśli walczyły uporczywie z sobą przez kilka minut, aż wreszcie przewyciężył instynkt ciekawości, jak chłop zareaguje na uwagi.

Chrząknął Łazowski, zaznaczając swoją obecność. Kubas momentalnie poderwał się na nogi, obserwował chytrze po krzakach. Dostrzegłszy idącego pana Łazowskiego, z którym wymienili spojrzenia, Kubas zdjął czapkę i skłonił się nisko, niespokojnie przedeptawszy nogami, i zamiarował odejść. Lecz przykuty słowami profesora, został na miejscu.

— Jak się macie, gospodarzu! — witał pan Łazowski, tając starannie nurtujący go wewnątrz niepokój. — Przyjemnie w boru poleżeć, gdy słońko pali?...

— Przyjemnie! — potaknął Kubas, zginając zarazem grzbiet w pokłonie.

— Siadajcie! — Łazowski rozpostarł pelerynę, i jak Kubas w czasie rozmowy z chłopakiem, wyciągnął przed siebie nogi obute w małe, lakierowane pantofle. Kubas przykucnął nieśmiało o dwa kroki od Łazowskiego, który poprawiał się i chrząkał, jakby od łechtania w gardle. — Widzicie — zaczął

spokojnie mówić pan Łazowski, — przepraszam was, ale sły-  
szałem, coście tu mówili przed chwilą.

Kubas wstał. Dolna warga opadła, twarz oblała się wstydem  
i wielkim zakłopotaniem. W oczach ukryta chytrze tała się  
nienawiść. Profesor udał, że tego zmieszania nie dostrzega.  
Mówił spokojnie.

— Widzicie, mimo woli was podsłuchałem. Właśnie bardzo  
mnie ciekawi, że to małemu... hm... Powiedzcie wy mi!... hm —  
nie mógł się zdecydować od czego zacząć. — Dawno już tak  
do kościoła nie chodzicie?

Kubas machnął ręką i w tejsze chwili twarz jego przybrała  
normalniejszy wygląd.

— Skoro pan i tak słyszał, to mi wszystko jedno. Nie tak  
dawno!

— Jakeście się już wyrzekli?...

— Się tam specjalnie nie wyrzekłem, tylko... — odpowie-  
dział wymijająco Kubas.

— Czy takich, jak wy, dużo we wsi jest? — pytał Łazowski.

— Tego, to akuratnie nie mogę powiedzieć. — Kubas skulił  
ramiona na znak, że nie wie.

— Ale jest jeszcze kto taki? — nacierał pan Łazowski.

— Może i jest taki, ale bo to się tam będzie tym rozchwa-  
lał — Kubas obejrzał się za siebie, zdradzając wyraźną chęć  
odejścia. Łazowski uspokoił go.

— Mój gospodarzu. Nie bójcie się nic. Ja co tu słyshałem,  
to we mnie zostanie. Słowa nie zipnę o was i nic złego wam  
się nie stanie! — zaręczył, dłoń kładąc na piersi.

Kubas podziękował za obietnicę i chciał jednak odejść. Lecz  
Łazowski zatrzymał go, mówiąc:

— Koniecznie chciałbym, abyście mi objaśnili wszystko.

— Co? — zapytał Kubas.

— Ano, coście tu chłopcu mówili.

W oczach Kubasa mignęła iskra nadziei. Powiedział.

— To pan nie od początku był?

— Nie wiem... — Łazowski uczynił słaby ruch głową. —  
Mówiliście, jak go rządca w grochu złapał. Ale to nie o to cho-  
dzi. Chodzi o to, dlaczego wy, na ten przykład, mówicie, aby  
nikomu nie wierzył. To jakże on żyć będzie?

— Sam w sobie, proszę łaski pana — rzekł Kubas twardo.

— Jakto sam w sobie? — Łazowski dziwnie otepiał na twarzy. — Zamknąć się w swojej chałupie i świata nie widzieć?

Kubas uśmiechnął się wstydliwie.

— Co do świata, to przecież ja o tym nie mówiłem, — zaprzeczył. — Świata, toby jak najwięcej warłało... Tylko mamie się nie dać!

— Ano, właśnie! — błądy uśmiech zawisł w kącikach ust profesora. — Pojedziecie w świat, spotkacie nieznanomego człowieka i on wam coś będzie radził. Jakże się wtedy ustosunkujecie do jego rad? Dajmy na to, robotę wam będzie stręczył, czy coś innego...

— A! — pociągnął z objawem niechęci w głosie Kubas. — Co do roboty, to nie ma o czym gadać. Takie inne gałgaństwa są...

— Jakie?

— Rozmaite.

— Na przykład?

— Przecie pan słyssał, jakem chłopakowi...

— Mówiliście mu, aby nauczycielowi nie wierzył. Jakże się nauczy poznawać świat i ludzi?

Kubas machnął ręką.

— Proszę pana! Świata całego to on i tak nie pozna. A co do ludzi, to na własnej skórze ich spenetruje, jak będzie starszy. We szkole, to prawdy nie mówią o ludziach.

— Myślicie?! — Łazowski uniósł się wyżej. — Tak myślicie?

— Prawdę mówię — przytwierdził Kubas, potakując głową. — Miałem tu takiego huncwota sąsiada... Jeszcze jest, ale teraz lepszy. Kto mnie tu mógł nauczyć, co mu było potrzeba? Życie nie dawał! Tak jednego razu myślę sobie: dość tego! Poszedł on za swoją potrzebą, przysiadł za psim bzem... Raz mu tylko dałem kolkiem przez łeb. Za jakie trzy dni, jak wypoczął, patrzę a on idzie. „Tak, tobyśmy się pozabijali“ — powiada. Cichy od tej pory!

— Może się na was czai? — rzucił trochę zgryźliwie Łazowski.

— A tak przecież ono na świecie jest! — podchwycił Kubas. — Ciągłe się na człowieka ktoś czai. To i mówiłem chło-

pakowi, by miał się na baczności. Tym bardziej, że sierota jest, ojca nie ma, to go tu nikt nie pouczy.

— Mówiliście mu o szlachcie, a nie o chłopach — zauważył Łazowski.

— Bo, uważa pan, chłop go może oszukać raz i nie na wiele! — odciął Kubas ostro.

— Jakże was tu pan Olpiński oszukiwał? — rzucił również szorstko Łazowski.

Kubas odpowiedział na to pytanie ze spokojem.

— On, uważa pan, nie mamił tak obces. Tylko tak jakos ono wychodzi... — kręcił młynka ręką. — Tak wychodzi! Tak... — nie umiał objaśnić.

— Na waszą krzywdę — dopomógł Łazowski.

— Na krzywdę zawsze! — potaknął łapczywie Kubas. Zgiął grzbiet i bezapelacyjnie oświadczył, że musi iść, bo chłopak może nie dać rady kobyle i krowie, a ugorek wąski, to narobi szkody w życie. Był pewien, że chłopak podejrztał obecność Łazowskiego i wygnał krowę ze szkapkiem z boru na ten ugorek, który umyślnie zostawiano co roku, aby móc stąd podpuszczać na dworskie.

— Musisz — zapowiedział Kubas chłopakowi, — z tydzień nie dopuszczać do boru. Bo jakby capli, — byle czym się teraz nie wymignę! Żem sobie, psiakrew, napaskudził, no! — westchnął i poszedł ku wsi.

MARIAN KUBICKI

## POGRZEB

(fragment powieści).

Za Smogórą stanęli. Deszcz trochę przycichł i tylko drobno, jakby kto suł makiem, szeleścił w liściach osiczyn, drżących koło próchniejącego krzyża.

Wiekiera, który zatrzymał się tuż pod krzyżem ukląkł, a za nim wszyscy, tak na oko ze dwadzieścia ludzi, co przyszli odprowadzić ciało — zwyczajem.

Umarłego odprowadza się za wieś pod krzyż. Cała bezmała wieś idzie zawsze za konduktem. A potem już tylko

krewni, przyjaciele i co najbliżsi zmarłego, na sam cmentarz parafialny ze 3 dobre kilometry. Inni — reszta wraca do swoich sadyb, do obrządku, do codziennej roboty, która nie może czekać ani chwili. Pomyśli może ten i ów o odchodzącym z tej ziemi człowieku jeszcze przez jakiś niedługi czas, lecz potem w świadomości tych ludzi zatrze się twarz ta, zaginie w czasie i przestrzeni, w tygodniach od niedzieli do niedzieli, i miesiącach liczonych robotą, ważnością tej roboty (zależnej od pory roku), i w latach przybliżających takie właśnie, z nagłą przeważnie naszą, niemiłosierne a konieczne odejście na wieczny już odpoczynek. I nie będzie się już tej twarzy przecież spotykało. Ani w polu, w kościele czy na jarmarku. Przyjdą inne, młode, a liczbą wielokrotnie przewyższające, nowe twarze, nowi ludzie i narosną z oczami lnianego kwiatu, przypominającymi niebo w maju na wiosnę. Przywała tamta, odchodząca codziennością zdarzeń, jednakim od wieków prawie nie zmienionym, kołowrotem zgrzebnych, nad miarę spracowanych dni: w skwarne, żniwne, gradowe dni szesnasto, osiemnastogodzinnym tylko czasem, by ledwie wydolić — czy w zawiąnię ostrą, długą zimą, śpiące tygodnie. Zresztą człowiek, który się tutaj rodzi, przeważnie swą pierwszą i ostatnią podróż odbywa właśnie koło tego krzyża. Jest zwykła kolej rzeczy. Nikt się temu nie dziwi. Stało się to już prawem naturalnym, koniecznością i regulatorem życia. Tak i teraz.

A Wiekiera wezwał wszystkich, by za duszę nieboszczyka zamówiono: Ojciec nasz, Zdrowaś Maria i wieczne odpoczywanie.

Z piersi, obakulonych szmatami od ciągiem padającego deszczu i przejmującego do szpiku zimna posypały się słowa duszne, żebrzące. Na wrywki spadały z warg oddzielane przestankami, by złapać w ciężko pracujące płuca, umęczone dusznotą oddech i z naciskiem, jak krople jesiennej pluchy, gęstym gonionym mamrotem waliły się u stóp przygarbionego wysługą lat, sosnowego, pomalowanego starością na czarno, krzyża, pod te nogi najboleśniejsze, najbardziej umęczone, nogi Jezusa, wiszącego złamaną w pół pasyjką. Tu i ówdzie w gromadzie wydarł się głuchy jęk spod sklepienia ludzkiej piersi, zamkniętego iluletnim z odpustu bożego frasunkiem i nieodmiennymi trudami. Westchnienie i prośba to o spokój wieczny dla odchodzącej duszy.

A wokół robiło się szaro, a od deszczu bezustannie i w doskonałej rytmiczności padającego, zimno. Pokrycie niebne zanesione było czarnymi, jak rola zostawiona w ostrej skibie, zbałwanionymi chmurami. Dusza ludzka zegnała dotychczasowego towarzysza — zimne, wracające do ziemi zwłoki. Z ziemi żyły, z ziemi wyszły, do ziemi wracały, aby ją użyźnić przez swój rozkład, zgniliznę i znów pod nowy dla innych, młodych pokoleń — chleb.

W taką psią pogodę odczuwało się dopiero i rozumiało słowa: „Z prochuś powstał i w proch się obrócisz“.

A spod krzyża, z gromady ludzkiej wyrosła pieśń za umarłych:

„Dobry Jezu, a nasz Panie,  
Przez Twe na krzyżu skonanie,  
Daj nam wieczne spoczywanie“.

Melodia powtórzona przez wszystkich poszła piskliwym, kobiecym głosem na wieś. Tłukła się o strzechy chałup, biła o progi, żegnając łzami i rozpaczą konieczność odejścia z tego padołu. Ginęła w pasmach brudnego z kominów dymu, waliła wiatrem w czubki drzew, gnąc je w mękach ku ziemi i wsiąkała w czerni gdzieś, w ledwie widniejącym w szarudze, w dalekim królewskim lesie.

Chyliły się krzyże ludzkich postaci ku mokrej ziemi. A łyżeciały myte przez zaśliniały, przetakowaty deszcz.

Wreszcie wóz ruszył. Za nim kilkoro ludzi. Reszta powracała ginącymi cieniami koło płotów w swoje obejścia, do swego życia. A oni jechali noga za nogą w glinie ciężkiej. Wóz chybotął się i tyrpał w zagłębieniach, dziurach i jamach. Skrzypiały niemilosierne luźnie, nie smarowane, Bóg wie, jak długo. Piasty prawie że ginęły w gęstej mazi czarnoziemiu i gliny. Ludzie idący za wozem rozciągali się pojedynczo ścieżkami i z trudem wlekli się ciężko odrywając nogi z gęstego błota. Przy każdym pochyleniu trumna toczyła się i obijała o deski. Na przednim siedzeniu z grochowin dwoje małych dzieci, tak by powiedzieć, 6 i 8 lat, płakało raczej z zimna i deszczu. Nawet cieszyli się, że pierwszy raz nie skrzyczał ich ojciec, który w pobok szedł, prowadząc konie, z twarzą chmurną i zdrętwiałą z bóleści. Pod samą górką konie z trudem wygramoliły

się, popędzane bątem — wio, wio, no wio małe. A potem trzeba było trzymać — z pagórka w dół.

Za lasem chłopskim, pod samą Słupią już rozległ się przytłumiony dźwięk dzwonu kościelnego. Ginał głos jego zardzewiały, tłumiony zmierzchem, cichł w młocce jesiennej nawałnicy i w wysokich topolach, stojących na straży bożego domu parafialnego.

Za wozem poszli wszyscy boczną drogą na cmentarz. Ksiądz nie wychodził pokropić. Ksiądz tutaj przyjdzie z wodą święconą i osłodzi ostatnią podróż tylko tym, co mogą parokrokwą fatywę wynagrodzić. A nie wszyscy tutaj mogą za słowa boże zapłacić. Nie wszyscy mogą tutaj sobie pozwolić na pójście wprost do niebios.

Jest już prawie wieczór. Na cmentarzu pod lasem hula wiatr, pochylony w krzyżach i blaszanych tabliczkach, strąca krople z młodych lniano białych brzoźek, białych, jak chłopska, śmiertelna, czysta, wtedy naprawdę czysto wyprana koszula.

Z brzoza czekał już dół ponad dwa metry. Żółcił się gliną i iłem. Grabarz podniósł leżący obok kupy piasku i gliny, czekający cierpliwie rydel. Co najbliżsi dołu wzięli do przemarzniętych rąk po szczypcie piasku i sypnęli na czerniejącą trumnę w żółtym dole. Jeszcze raz i trzeci żegnali tym trzykrotnym przysypywaniem zwłoki człowieka, który przecie niedawno kłopotał się i martwił tutejszym żywobyciem. A teraz nic go już nie obchodzą ludzkie sprawy, szczęście i bieda. Pracował przecież uczciwie całe swe życie, by taki sobie koniec wysłużyć.

Grób począł rosnać, naglony westchnieniami ludzkimi. Pryzma ośmiokątna rysowała się żółcizną gliny i bielą piachu. Dzieci kłęczały u dołu świeżego pagórka i drżały z zimna i głodu.

Wsadzono je na wóz. Przed sklepem ojciec kupił trochę kiełbasy, chleba, małą buteleczkę wódki i dwa duże karmelki. Dostały po zuchelku pleśniejącej kiełbasy i żuły, pofarbowane, mdłe w smaku, żółte cukierki.

I było w duszy raczej radośnie, tylko, że zimno. Pierwszy raz jadły słodczy. I pierwszy raz odczuły radość życia i piękno tego świata w październikowym, jęczącym po pagórkach i roli wietrze, w zimnej, lejącej poćmie.

Wracali do domu. Do tego samego życia, dziś wyrwani przez nieszczęście i Boże, według ich rozumienia, dopuszczenie. Życie jest i było dla nich jednakowe. W wypadku wyższym, — śmierci, życie to mąciło się, by znowu wrócić do równowagi z nakazu konieczności surowego i trudnego losu i walki.

A deszcz wraz grubiał i coraz szybciej, na wrywki, prawie zamulony, opadał na ziemię.

I na ziemię tę, na okoliczne wsie, szła czarna noc. Odpoczynek dla ludzkiego mozołu i trudu. Jedyna to, oprócz wódki, chłopska łaska i radość.

EDWARD MARZEC

## DZIEWCZYNA

Wnet będzie południe. Słońce potęgowało się na sutym śniegu światłem iskier. Mroźny do białości żar podpyłwa w obejście, pod progi, do okien, ożywiając nawet wyrudziałą strzechę tym wyraźniej, że sople na podobieństwo wyłamanych rogów zwisały zastygnięte. Jest jakby cicho.

Ojciec z Tadekiem obracali w sieczkarni, Anusia dokładała słomy. Chłopak pochyla się zajadle, zawadzając połą krótkiego paletka o korbę. Spieszmy się, spieszmy — myśli — i przerzuca pracę na drugą rękę.

— Tadek! Kobyłe ścienkła noga. Prawie nie widać, że była spuchnięta!

Nachylając się za korbą i podnosząc, chłopak wodzi oczyma po starym półkoszku ukośnie. Trochę w tym dziwactwa, bo ten sam grat ogląda się codziennie przy sieczce i od dawna wiadomo, że potargany zawczasie. Wysmykane wikliny szczerzą się, jak stare frendzliska od chustki, rzecz prawie nie do użytku i na wiosnę musimy kupić nowe.

— Owsianej nie domieszać trochę? — woła Anusia.

Tadek spojrzął na siostrę przelotnie i zmienił rękę, stając przy maszynie nieco bokiem. Zamiast półkoszka przemierza rozeschłe deski z szerokimi szparami w stronę wychodka. Siostra dokłada pszenicznej, bo kosy charczą opornie, więc nacisnął mocniej. Zresztą ojciec jakby słabł nieco.



— Oddali od Moląga wędzidło? — woła znowu ojciec.

Twarz Tadka wykrzywiła się zaciętym grymasem. Spod uchylonej czapki połyskują mokrawe włosy. W nogach odzywa się znana dobrze, ciepła drętwość znużenia. Sieczkarnia przytyka półzapałkami, a słomki z kolankiem odskakują najdalej. Kosy charczą twardo, coraz twardziej. Chłopak nie odpowiada na pytanie. Idzie z Janką Steczeniówną pod rękę. Zagląda jej w oczy, lecz panny nie dostrzega. Rozmawiają i Tadek się dziwi, że nie jest w stanie powiedzieć, jak panna się na dziś ubrała. Napływająca od serca lubość miesza się z wysiłkiem mięśni i chłopak nie może wywołać na wargi nawet uśmiechu. W głębokim zamyśleniu stracił zupełnie pamięć i nie zauważył wyraźnie, że kręci sam. To ojciec dla wytchnienia zajął się skwapliwie odgarnywaniem sieczki, choć bez tego by się obeszło. Gdy zaczął rozpatrywać na rozum, czy uda mu się do Janki zbliżyć, poczuł się mniej szczęśliwy. Ostatecznie przecież biedniejszy od niej nie jestem. Może nieśmiała grzeczność nie pozwoliła na mnie zwrócić większej uwagi? Kto wie, czy jej tamten piękny dworus nie zbałamucił do cna? Ale tamtego we wsi już dawno nie ma.

Sieczkarnia pluje resztkami iskier, a z boku urosła spora kupka tak, że z pewnością na dwa święta wystarczy. Kosy dogryzają ostatki. Ojciec puścił korbę i wywłoczy buciska z sieczki. Anusia podparła boki, medytuje nad wykonaną robotą. Przyniesie ojcu koszyk koński i będzie nareszcie czas na porządkowanie w izbie. Tadek tymczasem stanął na progu wozówki. Opadło przyjemne zamyślenie i czuł się, jak człowiek stygnący. Obeschły włosy więc poprawił czapkę. Nogi odzyskują zwykłą leniwość mocnego człowieka, a ręce czują się znowu jak własne. Chłopak puścił wolno oczy po śniegu, jakby niechcący, aż oparły się o niedaleki pagórek przy wsi.

Jasno jest — stwierdził, trzymając ręce w portkach.

Na pagórku rozsiadła się duża gospodarka o pobudynkach z czerwonej cegły. Wiadomo nawet z której cegielni. Wojenny dorobek Bruzdy. Przytrzymany tytoń, zręczne unikanie kontyngentów, pozwoliły sąsiadowi na wystawienie budynków okazalszych od wszystkich w całej wsi. Stefek Bruzdecka nie obracał korbą w sieczkarni. Głupstwo, zaprzęga konie i tnie przez pół dnia na cały miesiąc. Widać go właśnie, jak wjeź-

dza w podwórze sankami. Okrągło zawinął koło stodoły. Daleko nie jeździł bo dzwonek nie słychać. Wszystkie te drobiazgi łatwo zauważyć patrzącemu, cóż to jednak ma za znaczenie? Bruzda jest bogatszy. No tak. Ale nie każdą da się złowić na morgi. Tadek pocieszył się leniwie, jakby niezupełnie przekonany.

Stefek by się już dawno ożenił, gdyby go Janka chciała. Majątki najwyraźniej do siebie pasowały i kawaler zaglądał do Stecznego. Ale ten dworus wielebny nie cofnąłby się przed niczym i żeniaczka zawisła na kołku. Dziewczyna obgrubnia i zdrowa. Czegoż więcej szukać? Dobra do roboty, a z charakteru podana do Stecznego, będzie zawsze garnąć do siebie. Stary moje morgi dawno policzył, to go jeszcze postraszymy przy flasce. Janka ojca usłuchnie, bo w tym domu starodawny rygor. Rozsądnie pomyślawszy, zagwizdał lekko i klepnął kobyłę, płosząc ją do stajni. Śmiga jeszcze za nią batem z ciężkim kutasem, aż błyszczący zad skryła w drzwiach. Przed gankiem stwierdził, że konkurentów poważnych nie ma. Janiga. Modrak. A gdy wracał, niosąc derkę ze sanek, śmiał się wesoło do samego siebie, jakby już miał nieść na zapowiedzi.

Modrak nie był groźnym rywalem dla Stefka. Ma w domu cztery siostry prychające, jak kotki, bo osiągnęły już swoje lata. Trzech braciszków, z których każdy Józka przerasta. Modrak nie był temu winien, lecz czuł się zakłopotany, gdy zaczynał poważnie rozmyślać o dziewczynie. Morgów przecież nie przybywało jak rodzeństwa. Przeciwnie, gdy Józek dorastał, był zupełnie przekonany, że tych kilka zagonów najwyraźniej maleje, bo robotników jest w domu za wiele. Niedostatek tego, to jeszcze o gospodarke, jaka już była, nikt nie dbał, oglądając się na drugiego. Wbrew jednak wszystkiemu, Józek nie był smutny. Z morgami do panny nie muszą lecieć, któż by taki towar na stół wytrzepywał? Tak się zwykli pocieszać ludzie, niezamożni.

Zresztą i Janka nie miałaby tej ceny, gdyby była brzydka. Stąd rozpoczyna się przyjemność. Józek mlaskał łakomie. Miód, miód, prąd elektryczny, dziewczyna. Pomiłować, żeby drugim oczy na czoło wylazły z zazdrości. Więc grzebie uporczywie w szafie, szukając najlepszych łachów, żeby na wigilii u Stecznego wyglądać po ludzku.

Dzień świeci coraz słabiej. Skoro zaś miało szarzeć nastaje mróz, który wszystko czyni drętwym. Chropawe i nie do przelknięcia powietrze zawadza o zęby i przywiera nos. Śnieg skrzypi pod butem cienko, a przecież w południe zdawał się być miękki. Drzewa zakute do stanu martwości wyglądają, jak przedmioty przydrożne, tyle że nadają wespół z budynkami kształt wsi. Nie widać na drodze psa, ani wróbla. Im zaś mroźniej na polu, tym parniej w izbach.

U Wojciecha Stecznego odbywała się wigilia podług starego obyczaju. Po obwołaniu przez dzieci wilka i złamaniu opłatka spożyli z pobożnym apetytem przepisowe siedem potraw, po czym wstawali bez zbytniego pośpiechu, by sporządzić kopy za obrazy i gwiazdkę na powały. Przygotowane troskliwie plewienie prosa napewno się nie obejdzie bez gości. Janka jest nawet niespokojna, że dotychczas nikogo nie widać.

Stary spoglądał za jakimś gwoździem, gdy z hałasem wtoczył się do izby Stefek Bruzda.

Hm.

To.

Tamto.

Owo.

Ładna słoma — zauważył.

Tak. Pode młynkiem takie urosło — przytwierdził Wojciech, który zajęty prostowaniem gwoździa nie dostrzegł witającego wszystkich Tadka Janigi. Tak bywa, że grzecznego chłopaka długo starsi nie potrafią zapamiętać, dopóki się czymś nie wyróżni. A ten się wyróżniał tylko grzecznością. Bruzda częstuje go tytoniem, chociaż nie miewał zwyczaju.

Jako ostatni zawitał Modracek. Wesoło, a nie wyraźnie wymawiający boskie pozdrowienie. Nikt jednak nie wiedział, umyślnie nie domawiał, czy z wstydlivości.

Nie tracąc czasu kręcili goście kopy wraz z domownikami. Stefek rozprawiał donośnie, flacha wypinała mu zdradliwie lewą nogawicę, na co wskazali stara Steczna.

Babka u Stecznego byli jedna. Nie dlatego bynajmniej, żeby się z drugą zgodzić nie mogły, lecz z tej prostej przyczyny, że dziadkowie i matka Stecznej dawno pomarli. Od wielu lat obrządku plewienia prosa nie odbywali bez sta-

ruszki. Nawet przyciśnięta chorobą w którąś wigilię nie pozwoliła się wyręczyć nikomu, jakby to wymagało wielkiej specjalności. W kobiecinnie tej mieszały się dwa uczucia: tkliwa dobroć i starcza złośliwość, i dzięki tej dwoistości serca nadawała się chyba do kierowania najważniejszą częścią wigilii. I teraz rozsiadła się między pełnymi workami, po jednej stronie mając przysmaki, po drugiej krajanek z ziemniaków.

Bruzda stracił cierpliwość i stawia na stół to, z czym przyszedł. Koledzy nie wstrzymują radzi się napić dla rzetelności.

Dajcie chłopcy spokój z wódką — rzece Wojciech.

— Przez co? — spytali.

Aaa, dajcie jeszcze spokój — odrzekł stary.

Ucichło w izbie. Młodsze kręciły się koło babki, Steczna zaś dorzucając patyków do pieca. Wojciech wydłubuje śmieci z cygarniczki i to samo robią goście. Janka stanęła przy drzwiach do drugiej izby obojętna niby ale zaciekawiona. Do niej to przyszli we trzech na wigilię. Ani u Honorki, ani Józki nie będzie ich tylu, chociaż we wsi niemało kawalerów. Jutro wszystkie się dowiedzą i wszystkie zaczną Jance powodzenia zazdrościć.

— Po morgi przychodzą — powie Honorka — przecież jest we wsi wiele ładniejszych od Jani i w tej chwili pomyśli o sobie.

— Do takiej z zadartym nosem — zdziwi się Józka — jakby już ładniejszej nie znali?

A Marysia Swedorówna obleci cały przysiółek i obmówi Steczniankę, że umyślnie sprosiła aż trzech, bo się chce nawałt ożenić i to głośniej od innych.

Taki Stefek Bruzdecka. Poleci za nim dziesięć Honorek i piętnaście Marysiek, bo jest bardzo urodny. Oczy zupełnie jak świńskie — myśli Janka. W białych brwiach i w białych rzęsach. Łeb kudłaty, a skóra czerwona, jakby się oparzył. W tej chwili ślini bibułkę, skręcając grubego, jak paluch, papierosa, całym jęzorem, który wywała zpomiędzy grubych warg. Tadek, to zupełnie inny — myśli dalej dziewczyna, — ale jakiś miękki taki, że on raczej na żonę by się nadawał z tą delikatnością. Ładny, to prawda. A już Modrak nie dał

się Jance obmierzać. Ogarniał pannę ślepiami sumiennie od nóg do góry więc nic o nim nie pomyślała i spuściła oczy.

Babka przerwali ciszę. Chrzążą, ręce mając zanurzone w workach. Tu sypnęli nagle po słomie z dobrego worka. Któżby się spodział? Świadomi domownicy rzucają się do zbierania i wygrali. Gdy zachęcona kawalerka skoczy ku słomie prawa ręka miotnęła właśnie ziemniakami.

Obsadzisz z pół morgi — warknął ku Stefkowi Modrak.

Hi.. hii... hiii... i — parsknęło któreś z młodszych. Bruzda zaś obruszył się poważnie i odrzekł, że ma swoich dosyć. Wtedy babka, na podobieństwo baterii armatniej i karabinowej, otwierają ogień na czołgające się w słomie pospólstwo. Niskie serie orzeszane, bokiem, krótkie a podchodzącym bliżej podwójne garście ziemniaków. Ręce, jak pióra wiatracze krążą od worka do worka. W słomie, na podłodze kłębią się piskliwie chichoty i grubszy rechot męski. Palce jak haki drapią do gołej ziemi, i słycać trzask orzechów, mlaskanie miażdżonych jabłek.

Bez żadnej przyczyny, chyba, że to było śmieszne, babka wstrzymują wiatrak i wybuchają wielkim śmiechem, którego nikt nie słyszy. Lecz z pewnością, bo dwa zęby żółte, jedyne, jakie pozostały kobiecie, bieleją na podniebieniu.

Zajęci całkowicie plewieniem Tadek ze Stefkim nie zauważyli, że Modrak najwidoczniej gardzi owocem. Każdy omija ziemniaki, a ten je skwapliwie szukał pod kolanami Janki. To tam, to tu rozczapierza chciwie palce, szczypiąc przy tym ile może. I dziewczyna dobrze rozumie, że Józek potrafi plewić proso lepiej od tamtych.

Steczni nie brali udziału w plewieniu. Matka stoi oparta o okno i podtrzymując rękami stan, pęcznieje i pryska śmiechem hałaśliwie, ale po babsku i ciszej od Wojciecha, który ryczy nie zamykając wcale nawskroś otwartych ust.

Słoma się zmierzwiła do cna i rozgarnęła do ściany. Worki wnet zwiotczeją. Babka dla podtrzymania żywości walki miota jeszcze gwałtowniej, lecz znacznie oszczędzając, bo garście zmalowały. W rozhukany kłęb ludzki pizgnęła jeszcze nadgniłym ziemniakiem, który był ostatni. Wtedy liche ręce opadły na ławkę, jak niepotrzebne i kobieta trochę smutnie westchnęła, otrząsając się z różnych wigilii, które znała z mło-

dości. Śmiech skrzepł, twarz wróciła do swoich, grubych zmarszczek. Kobieta jest znowu babką.

Umęczona młodzież dojada zdobyte w walce owoce. Wojciech odgarnia butem słomę ku ścianie. Wszyscy po trochu nie znajdują swego miejsca. Rozmowa wśród dorosłych nie zdołała się jeszcze nawiązać, jedynie młodsze szwargocą niestrudzone, obliczając, ile które zebrało. Łatwo jednak zauważyć, że zabawa się kończy. W takich razach dorośli kręcą papierosy, rozumując bezwiednie, że tą czynnością usprawiedliwia się milczenie i nawiązuje nową rozmowę. Już się znaleźli przy stole, zostawiając wyraźnie miejsce dla panny na skraju przyławka. Stefek zaś, czemu koledzy nie sprzeciwiali się, postawił flachę na środku, odbiwszy ją przed tym z miną wielce butną. W tej chwili Janka uczuła wielkie zakłopotanie. Matka patrzy na nią jakoś inaczej. Tadek podniósł żarliwe oczy znad stołu. Zaloty?

Podej kubek — skinął ojciec.

Dziewczyna cofa się do drugich drzwi i mruga na matkę. Chłopaki chrząkali kolejno dla zagłuszenia pustej chwili, jeno Wojciech zdaje się niecierpliwić.

Dejcie, mama — prosi błagalnie Janka.

Podej Kubek, czego stoisz — powtórzył z naciskiem ojciec. Rozstawiła kieliszki, kiełbasę i chleb, sama usuwając się znowu do drugiej izby.

Steczny nie był spokojny od zniw. Wszystko w gospodarstwie wydarzone i należy się cieszyć, a Bogu pobożnie dziękować. Jednak małomówność starego stała się widoczna i poza domem. Jakieś nerwy go ponoszą — mawiała matka do Janki, na co dziewczyna oblewa się nagłym rumieńcem i zacina wargi ze złością. Rozumiały się z matką doskonale. Niecierpliwość Wojciecha nikomu na dobre nie wychodziła, co tym bardziej dziewczynę niepokoiło, że jest pewna przyczyny. Co raz częściej wspomina stary przychylnie o Bruździe, chociaż zawsze zwykł go przedtem ganić, lub zbywać machnięciem ręki. Babka, która się teraz zdrzemnęła, też coś mają w tej sprawie, ale Janka czuje to doskonale, że po stronie ojca. I tak wszyscy czworo myśleli o wigilii. Wojciech z babką nie mogli tego dnia doczekać, a Janka z matką zmartwione, że Świąt się nie da uniknąć. Jest wprawdzie sposób na przywo-

łanie zalotnika bez czekania okazji, ale Wojciecha to zawstydzano. Zresztą sam nie był przecież bez winy. Wieś wiedziała dobrze o zalotach fernalczyka, który nie jednej Jance się podobał. I przyzwalali wszyscy takiej żeniaczce, /ba nawet rozmaite Honorki i Marysie zacierają z uciechy ręce, że bogatsi pozostaną dla nich. Z trudem i zupełnie przypadkowo udało się Wojciechowi zalotnego dworusa wyzbyć, a nie wiele brakowało, bo się i staremu podobał za honorowość. Więc ugadywać Bruzdę nie wypadało, lepiej niech się sam zjawi, wtedy nikogo nie zdziwi.

Teraz siedzą nad pełnymi kieliszkami i pragną pić, zwłaszcza stary Wojciech, bo Stefek jest nieco chytrzejszy. W starym zamiar dojrzał zupełnie i rad by się trochę Steczny upić dla ułatwienia targu. Co gorsze i tamci dwaj czują się jak zalotnicy. Wszyscy więc przynaglają, a panna wyraźnie unika wódki.

Podalaś kubki, to pij — zaburczał Stefek grubymi wargami. Białe brwi skrzywił złośliwie, po czym spojrział z uśmiechem na Wojciecha. A ten podniósł głowę zamyślony.

Janka — warknął natarczywie — wypij z nami. Ostatnie słowa brzmiały błagalnie.

Matka kiwnęła na dziewczynę przytakująco. Janka wypila, otrząsając się po babsku, jakby z wielkiego niesmaku. Już nie jest oporna, ale nie chciałaby bynajmniej przegrać.

Zmiatają czubki z talerzy. Nalewają nową kolejkę. Zbiierają po dnie. Mówią o byle czym. Powoli skręcają papierosy. Izba ciemnieje i żółknie od dymu. Dziewczyna nie ustaje za drugimi, tyle, że więcej wylewa pod stół. Gdy tamci potracą pamięć, ona będzie jeszcze trzeźwa. Teraz ogarnia ich spojrzeniem z uczuciem zadowolenia, że bardziej podpici. Och, ten Tadek Janiga. Czego, ty chłopcze, chcesz ode mnie? Ma oczy przykryte nieco powiekami i rżesą, wilgotne. Niby mruga, niby kiwa głową, która marzy żarliwie, a lubość, jak przed południem, roztopia wolniutko serce, aż trudno pomieścić w sobie przyjemną obfitość. Dziewczyna podoba mu się okropnie. Nie pragnie jej całować, ani brać za żonę. Niechże nie odchodzi po zakąskę. Matka przyniesie zakąskę, byle by jej twarzy nie stracić z oczu i nie przerwać zapatrzania. Z boku chłopiec jest osowiały i drzemiący. Jankę ogarnia li-

tość. Zrazu obojętnie, a gdy Janiga uporczywie przywarł do niej oczyma, zmiękła, nie broni się. Patrzą na siebie prawie jednakowo przychylnie.

Stefek się zagadał z Wojciechem i o pannę nie dba.

— Jeździłeś dzisiaj gdzieś — zaskrzypi stary.

— Do rymarza. Do kowala — odrzekł grubo. — Przyszył mi nowe capraski na te lakierowane rzemienie. Wicek znowu obijał sanki w łabędzią głowę. Tak jak miał hrabia Wolf, ale większą i złotą.

— Będziecie mieli ładny wyjazd — przyświadcza tamten.

— Jak się śmignie, to kurz ze śniegu odda pod moimi końmi, które pod kościołem dęba stają — prawi rozochocony parobek.

— Tak, tak — zauważa pierwszy — oporządziliście gospodarke nieostatnio.

— Zrobiłem co mogłem — rzecze z naciskiem — brakuje mi tylko drogi do tamtego pola. Chciałbym przez wasze gnój wozić, bo jest równiejsze.

— Będziecie gnój wozić?

— Będę woził, bo się już nazganiało za wiele.

Janka przestaje nagle patrzeć na Janigę. To Józek ją płoszy. Niepoprawny amator mruga i mlaska łakomie, penetrując niżej brody. Dziewczyna poczerwieniała z uszami, bo przypomniało jej się plewienie prosa z Modrakiem. Tymczasem matka dorzuca kiełbasy i piją wszyscy. Stół unosi się i opada przed Wojciechem, który zupełnie traci pomiarkowanie i obejmuje Bruzdeckę, swojego zięcia.

— Gospodarnego, tak, gospodarnego — mamrocze — żeby się ziarnko nie zmarniło na polu, Stefku!

Zięć oddaje uściski zadowolony wielce, bo wszystko dzieje się według planu. W tym domu panował z dawien dawna rygor i dzieci słuchają rodziców. Gdy spojrział nieumyślnie ku dziewczynie twarz jego nie różniła się niczym od wizerunku wieprzka, któremu różowawy kolor skóry dodawał dobrotliwości. Nie ugryzie. Nie chrząknie zdradliwie, możnaby go krajać i piec. Janka widząc mokre wargi i rozgrzany łep ze szklanymi oczyma, wzdrygnęła się w sobie ostro, jak po niedobrej wódce.

O żeniaczce ze starym nie mówili, bo świadków było za



dużo. Zresztą porozumieli się już wyraźnie. Gdy się dwóch spotka o jednym zamiarze, wtedy każde zdanie o byle czym z życia gospodarskiego prowadzi do celu. W obydwu nabrzmiewa przekonanie, że są całkiem zgodni i nawet chętnie unikają jasnych zbytnio słów.

Reszta stołu zabawiała się rozmową zalotną, która polegała na pospolitym przekomarzaniu się chłopców z dziewczyną. Józek zmyślał. Janiga czerwieniał zawstydzony. Janka odbijała żarty, jak mogła.

— Nie czas by było na pasterkę? — zakwiliła Steczna.

Nie odezwał się jednak nikt, tak wszystkim było dobrze. Janka nawet wsparła się o ramię Bruzdecki. Wtenczas zdało się dziewczynie i mogłaby przysięgać, że za oknami zagrały dzwonki z daleka coraz głośniej i przycichły przed sienią. Za drzwiami słycać tupanie ciężkich butów, to ktoś otrzepuje się ze śniegu. Dzwonki odzywają się czasem jak bądź, bo konie poprawiają głowy i zmieniają nogi. Stół biesiadny odpywa na bok w żółtym dymie tam, gdzie drzemiał babka. Janek! Tak, Janek w paletku z tamtej zimy, wszedł do izby.

— Chodź! powiedział cicho.

Dziewczyna biegnie ku szafie po chustkę, nawet lepszych butów nie wdzwiewając z pośpiechu. Ogarnął ją ramieniem i prowadzi w sanki. Już siadała obok, a dzwonki nastrojały się u chomąt głośniej.

Gdy się ocknęła na Stefkowym ramieniu, wszystkie twarze przy stole wydały jej się wstrętne, czego nie zamierzała ukrywać. Znowu dla zagłuszenia dziwnego zakłopotania wychylili po kieliszku. Ręce sięgają po talarki z talerzy, ale panuje dziwna cisza.

— Czego wy, mama, tak na mnie patrzycie — odzywa się Janka.

— Bo mi cię żal — odpowiedziała przeciągle.

Wojciech chylił się ukołysany na boki. Pozornie spokojny i zadowolony pewnie ze Stefka. To tak, jakby już po wszystkim pomyślał, o ile go było stać. — Trzeba dopić resztę — mruczy Bruzda — morgi swoje znaczenie mają — łysnął w stronę konkurentów, którzy z kretesem, jak przewidział, upadli. Nalewa niezręcznie w kieliszki i źle patrzy na dziewczynę tak, jak się patrzy na żonę.

— Znowu nie pije — zachrypiał przez czkawkę.

Wojciech poruszył się niespokojnie, lecz już córki nie nastawał. A wtedy Bruzdecka niespodziewanie wypalił po pijanemu:

— Ty, Janka! Darmo se bzdurzysz o dworusie. Kawalerowi na zachodzie nie przydzielą gospodarki! I będzie dziadem, jak był!

— Co? Patrzcie, jaki ordynarny — oburzyli się zgodnie tamci dwaj.

— Na swoją Kaszę możesz tak wołać — wrzasnął Janiga.

— A ty, ty, gburze od gnoju! — rypnął Józek i kołyszając się nad stołem ponad krzesłami, usiłuje ułapić Bruzdę za łeb.

— Ciicho, chłopcy, ciicho. Dejcie spokój. Chłop... — bełkoce przerażony Wojciech.

— Bydle!

— Żłób!

— Ciiicho...

Matka bezradnie cofa się do pieca. Janka stoi nieco z boku. Steczny przegrodził wzburzonych, bo i Stefek się obruszył wreszcie, ale zamiast do bitki, zda się szukać obrony u dziewczyny. Wtedy Janka chwyciła pałkę od świńskich ziemniaków i poczęła krzyczeć, jakby w spazmie jakim.

— Wynoś się! Wynoś się! Niech cię moje oczy nie widzą!!! Zabierz te morgi ze stołu, bo byś wrócił!!!

Wywija pałą, mało nie zacznie bić wałkonia. Rozkolebane towarzystwo lezie przez próg do sieni. Janiga z Józkiem z pewnością mu tam mordę w śnieg wrażą. Niech go skopią, jak tłumok.

Steczny stał wsparty o futrynę i patrzył szeroko rozwartymi ślepiami, jak wół. Usta otwiera do mowy, ale ugrzązł w zamroczeniu i milczy. Babka poruszyła się na posłaniu. Dym uchodzi w sień, bo drzwi nie zamknęli, przeczyszczają się powietrze i chłodnie.

Tak, dziewczyno — woła z daleka matka — żebyś się wtenczas tak postawiła z Jankiem, byłoby dziś po wszystkim.

Głos ten słyszy Janka z prawego boku izby, a zdaje jej się, jakby ze studni.

WŁADYSŁAW MILCZAREK

BOJE FRANKA KURIATY \*)

Z chwilą kiedy Franka Kuriatę podstrzyżono na „zero“, kapral Skrabaka przyjrzał się mu uważnie i rzekł autorytatywnie: Słuchajcie rekrut! macie łeb jak nieprzymierzając ceber, jak pusty ceber. Ale to nic, nie martwcie się. Od jutra napędzimy wam trochę rozumu z tyłka do głowy.

Pucołowaty parobczak spod Biłgoraja uśmiechnął się głupawo cebulastymi oczami. — To się wi panie kapralu.

No i zaczęło się. W ostrzyżoną łepetynę wbijano siłą podstepu szablonowe komunały wiedzy wojskowej na szczeblu działania pojedynczego strzelca. Kapral Skrabaka był doświadczonym instruktorem. Przy pomocy wypróbowanych metod przyzwyczajał strzelca Kuriatę do systematycznego wykonywania czynności niezbędnych do zmechanizowania człowieka w ramach zespołu.

— Ot, w tym się rzecz ma cała — Skrabaka rozstawił ręce szeroko, jakby coś niewidzialnego obejmował w powietrzu — łeb musi być pakowny i otwarty naoścież jak stodoła przed żniwami. Tu się ułoży regulamin jeden, drugi, trzeci..., tu instrukcje, tam znów coś innego. A wszystko akuratnie, z drygiem, regulaminowo, według rozkazu. Zrozumiano!?

— Taajest! — odszczekiwali bez przekonania rekruci.

— A więc... rozkaz! Wy wiecie co to znaczy rozkaz!? — zagrzemiał i, nabrawszy powietrza w płuca, wyrzucił z siebie jednym tchem: Rozkaz to jest rzecz święta i ostateczna, jak amen w pacierzu. Żeby zrozumieć to słowo — ciągnął dalej uroczyscie — trzeba mieć dyscyplinę we krwi, trzeba być żołnierzem. Tu Skrabaka z wyraźną niechęcią odwrócił wzrok od płowych czaszek rekrutów i spojrzął w okno. O szyby tłukły się opasłe jesienne muchy, a na dziedzińcu koszarowym ćwiczone chwytły bronią. Nastąpiła chwila ciszy, jak to się mówi kościelnej. I wtedy to padło znienacka pytanie:

— A co to jest żołnierz?

Kilkadziesiąt par oczu piwnych, niebieskich i burych spoj-

\*) Fragment opowieści osnutej na tle września 1939 r.

rzało z przerażeniem na Kuriatę, bo to on właśnie wyrwał się tak nieopatrznie.

— Żołnierz-... — Skrabała miał filuterne ogniki w oczach.— Żołnierz to jest taki wielki pan, wobec którego cywil znaczy mniej niż wy na ten przykład wobec mnie. Żołnierz to jest dziesięciu rekrutów wziętych razem, to jest to — i uderzył się pięścią w piersi. Zapamiętajcie sobie raz na zawsze, huczał kapral-filozof, szukając w twarzach słuchaczy najmniejszego cienia sprzeciwu.

I Kuriata przejął się tymi słowami. Zapamiętał je wzrokiem i słuchem. Kurzonosa fizjognomia wiejskiego chłopca stężała natchniona dumą przynależną do wojskowego munduru. Być dobrym żołnierzem to zaszczyt i wielka sztuka. Uczono więc tego na każdym kroku. W sali wykładowej i na placu ćwiczeń, podczas długich marszów i na manewrach. Kuriata uczył się wytrwale z gospodarską pracowitością. Początkowo nie szło mu to składnie. W głowie wytworzył się chaos formułek i słów, niesłyszanych nigdy i obcych. Aż kłuło pod czaszką i brzęczało jak w rojnym ulu. Z czasem przeszło i to. Jak na schludnym wiejskim podwórku porządkował Kuriata nowonabytą wiedzę. Płaty mózgowe wygimnastykowały się i pochłaniały bez trudu nowe, regulaminowe dawki. Sens walki tłumaczył na prosty chłopski sposób: Zabić drania, gnaty mu przetrącić, a samemu wyjść cało z opresji, to najważniejsze. Walił więc kolbą w szmacianą kukłę „nieprzyjaciela“, kłuł bagnetem, wypruwał słomiane flaki, jeno kurz szedł. W oczach miał wtedy krwawe ogniki złości i dyszał ciężko jak podniecony buhaj na łańcuchu. — Patrzcie no — mówili miejskie andrusy — toż ten cep ma siłę, niech go nagła krew zaleje. I pomyśleć tylko, ziemniakami mu kołdun w młodości ładowano...

Kapral Skrabaka uśmiechał się z aprobatą: Spocznijcie Kuriata. Robota niczego sobie, ujdzie, tylko tyłek macie trochę przyciężki. Musi być więcej drygu, inaczej byle akuratny chłystek nabije was na widelec jak żabę. Trzeba, wiecie, z umiarem, siłę chować na zapas, a dziada — taka owaka jego mać — brać na chytróść. Tu przed oczami rekrutów rozwinął cały kunszt walki wręcz. Podskakiwał, przysiadał, zwodził drobnymi ruchami ciała, lub nagłym susem wysuwał żądło bagnetu grożąc niewidzialnemu przeciwnikowi.

— Ot tak i tak, z góry, i z dołu, i w bebechy — a rękę za nieboszczyka. Tylko trza wszystko robić regulaminowo, wedle rozkazu.

Słowo „rozkaz“ elektryzowało Kuriatę, zamieniało go w słupek soli. Nie zastanawiał się nigdy nad celowością ślepego posłuszeństwa, nawet wtedy kiedy ogarniała go chętka kombinowania na własną rękę. Tak trzeba i koniec, zgadzał się w myśli z braku argumentów. I widocznie rozumowanie jego było słuszne. Podczas osiemnasto-miesięcznej służby wojskowej omijała go szczęśliwie paka, dostał nawet „belkę“, a przy odejściu do cywila sam pan porucznik wręczył mu pięknie ilustrowany „Kalendarz rezerwisty“.

— Słuchajcie wy tam, jeden z drugim — usłyszał na odchodne — umierać za ojczyznę to jest rzecz słodka i chwalebna. Nie zapomnijcie o tym, gdy was powoła potrzeba. Co prawda Kuriata w duchu nie podzielał porucznikowego zdania, jako że był chłop młody i chciało mu się żyć jak najdłużej, ale cóż robić, widocznie taki rozkaz. Przytaknął więc skwapliwie trzasnąwszy obcasami na pożegnanie.

— O tej „potrzebie“, którą porucznik tak mocno, z naciskiem powiedział — mówiono coraz częściej. Co prawda w gazetach pisano bardzo ostrożnie, a ksiądz polecał modły i ufność w Bogu — chłopci poniekąd kombinowali wedle swego pomysłu. — Niech się tam pany pożrą trochę między sobą. Psiekrwie, owieś ich roznosi. I ładowali spiżarnie wszelakim dobrem na czarną godzinę. Bo ta niewiadomo co się wydarzyć może. Franek Kuriata pokpiwał sobie z tej przezorności. — Cepy zagnojone, o sobie tylko myślą. Z gęby ojczyźnie by wydarli, sobacza jeich matka. Przypomniała się mu wtedy „ojczyzna“ widziana na pięknym obrazie w świetlicy żołnierskiej. Dorodna pani — niby wiosna — szła po przez zorane pole, potrząsając zerwanymi kajdanami. W oczach miała uśmiech mocny i zdrowy. Pod lekką suknią zarysowane były okrągłe piersi i silne uda. Miała w sobie coś z pańskich pokoi i krzepy wiejskiej dziewczyny. Franek był zakochany w tej postaci. Oburzał się strasznie gdy poniekąd na swój sposób szacowali „ojczyźnianą“ urodę. Bo jakżeż to można w ten sposób mówić o obrazie. Postać Ojczyzny, zrodzona w fantazji malarza, przeniknęła i utrwaliła się w pamięci nie-

douczonego chłopca. I tak już pozostała. Nawet wtedy, gdy nabity ponownie w mundur w sierpniu 1939 r., powtarzał za księdzem uroczystą rotę przysięgi; słowo „ojczyzna“ skojarzyło mu się jak zwykle z zapamiętaną postacią z obrazu w świetlicy żołnierskiej.

Ojczyzna znalazła się w potrzebie. Więc słano jej na pomoc przeładowane transporty ludzi i koni, żywności i ostrej amunicji. W bydłych wagonach stłoczeni żołnierze śpiewali piosenki o wojnie, miłości i śmierci. Na stacjach częstowano ich herbatą i papierosami. Ogromne transparenty przypominały o obowiązku względem ojczyzny, nawoływały pód broń, na front, który rysował się już coraz wyraźniej. Żołnierze chodzili po peronach, jak pawie.

— Zobaczycie, jak my urządzim tego Hitlera — przechwalał się poniekąd, klepiąc z dumą świeżo wyfasowane ładownice. Inni korzystając z pomyślnej koniunktury munduru, flirtowali z jędrnymi panienkami z przysposobienia wojskowego. Przyjmowali kwiaty i przelotne pocałunki. Notowali skrupulatnie adresy miejskich panien, które dziś były nadzwyczaj przystępne i ponętne. Transporty szły bez przerwy coraz to inne, rozśpiewane i upstrzone kwiatami... Kwiaty w tym roku miały zadziwiającą intensywną barwę, jakby z nadmiaru słońca i tej radości, co to ludziom tryskała z oczu niby srebro. Polami snuły się pajęczyny, oplatając złotą szczecinę rżyska. Płynął orzeźwiający chłód wieczorów zmieszany z wilgotnym listowiem drzew. Chciało się żyć wiecznie. Rozmarzeni chłopcy zasypiali późno w nocy, stukając głowami w takt rozgalopowanych kół wagonów.

Na stacji Bydgoszcz-Wschodnia transport Franka Kuriaty otrzymał rozkaz wyładowania się. Żołnierzom przypominano o honorze munduru i tajemnicy wojskowej wobec cywilów.

— Pamiętajcie, chłopcy! Buzię na kłódkę i trzymać fason. Unikać kobiet. Taka jedna z drugą, wyfiokowana jak nieszczęście dama, z bebeczków wam tajemnicę wojskową wytrzęsie. I co wtedy? Kula cię czeka bracie, i na to nie ma rady... Żołnierze pokpiwali sobie w duchu z tej przestrogi, zresztą i sam pan major — dowódca batalionu, zajadły kobieciarz — uśmiechał się, mówiąc te słowa.

Kompanie strzeleckie szykowały się już do odmarszu. Za

chwile długi wąż kolumny drgnął i ruszył naprzód wzniciając kłęby kurzu. Był ranek. Bydgoszcz spała. Tu i ówdzie grupki cywilów przyglądały się maszerującym z zyczliwym uśmiechem.

— A skąd to? — pytali ciekawscy.

— A z Biłgoraja. Tam, gdzie kozy pod siodłem chodzą. Inni w bardziej dosadny sposób określali swoje rodzinne wioski i miasteczka.

— Wiadomo. Tajemnica wojskowa. Zuchy chłopcy.

Bydgoską szosą turkotały wozy obciążone bańkami z mlekiem, śpieszyli ludzie do pracy i dymią kominy fabryk na przedmieściu. Pobliskie kwatery wchłonęły batalion, zabarykadowały go siecią posterunków ochronnych, i życie potoczyło się normalnie, koszarowo. Dnie powszednie wypełniano musztrą, przeglądami broni i wałęsaniem na małej przestrzeni między latryną a kwaterami. Nuda, beznadziejna nuda koszarowego życia. Rezerwiści zaczęli przemyśliwać, jakby tu dostać urlop.

— Oderwali ludzi od roli, a tam roboty, aż głowa puchnie. Zbliży się pora kopania ziemniaków; kto się tym zajmie? Miejskie andrusy kpiły z tego gospodarskiego frasunku.

— Nie martwcie się, cepy. Źle wam tu. Brzuchy ładujecie wędzonką i komiśniakiem, jak worki; grzejecie tyłki w słońcu jak hrabiowie... Co wam więcej potrzeba? Chyba za babskim mlekiem tęskno? Nie bójcie się, nikt wam waszych bab nie ukradnie.

Sierpień przepalał się powoli, a mocno. Któregoś tam dnia szef kompanii kazał wydać chłopakom po sześć sucharów, konserwę i kostkę kawy żołnierskiej. Powiedziano, że to porcja „R“ i jeść tego nie wolno.

— Kto zeżre, względnie zgubi, otrzyma stójkę w pełnym rynsztunku, aż to jedzenie zakazane wypoci z siebie do kropelki. Rozdano również małe owalne blaszki. Szef wyjaśnił:

— Jak was którego szlag trafi, czyli przeobrazicie się w ciało chemiczne, figurować będzie na ziemi znaczek rozpoznawczy — niby ta blaszka. Komu pisane, nic go przed śmiercią nie uchowa. Na tym medaliku jest wasze nazwisko i przynależność do RKU. Według instrukcji DOK znaczek i sznurek nie podlegają żadnym wpływom atmosferycznym i che-

micznym. Popiół i dym może z was zostać, a blaszka przetrwa dla waszych bab na pamiątkę. Zrozumiano!

I wtedy to chłopcy zaczęli przemyśliwać skrycie, kogo to pierwszego szlag trafi, bo wszyscy nagle zapragnęli żyć, jak nigdy. Aluminiowy owal tabliczki parzył piersi i przypominał ciągle o swym przeznaczeniu. Ten i ów pisał list pożegnalny do domu, ot tak na wszelki wypadek, bo gdzie tam mogło być inaczej.

30 sierpnia oddano bagnety do ostrzenia; rusznikarze przeglądali broń maszynową. 31-go nocą zadrżała po raz pierwszy ziemia. Daleki łoskot dzia<sup>ł</sup> narastał i potężniał jak straszliwa burza z grzmotami. Nikt nie spał tej nocy. Noc była parna, wygwieżdżona i pełna niepokoju. Z miasta dolatywał turkot wozów i warczenie samochodów. Na stacji przewalały się ciężko pociągi. Ślepią parowozów ziały niebieskim, ochronnym światłem. Wojna? Podoficerowie zapędzali żołnierzy do snu.

— Nie ma wojny. Ćwiczenia tylko. Spać, byki krase. Wojny się im zachciewa.

Pierwsze samoloty niemieckie pojawiły się nad Bydgoszczą rankiem pierwszego września. Krążyły na wysokim pułapie, ledwo widoczne, przypominające wyglądem siwe jastrzębie. Zarządzono alarm, chociaż nikt nie był pewien czyje to samoloty. Żołnierze ubierali się pospiesznie, bo akurat w tym czasie część batalionu poddawano szczepieniu przeciwko czerwonce. W tym nagłym popłochu i rozgardiaszu rozkazów ktoś krzyknął: Gaz! Maski włoż! Wytworzyła się komiczna sytuacja, kiedy to młody żołnierz zapominał nagle o wszelkich instrukcjach i przepisach odnośnie używania tego sprzętu wojskowego. Gubiono pochłaniacze, rwano taśmy, ktoś wzywał sanitariusza i kłął, na czym świat stoi.

Przy torze kolejowym Bydgoszcz—Gdynia, czekało niemordowanie działko pe-lot. Krótkie urywane serie wzniecały bukiety obłoczków i ognia. Odezwały się również C. K. M-y nasycając powietrze rojem smugowych pocisków. Samoloty wzbily się wyżej, zawróciły i znikły gdzieś, jeno daleki szum motorów drżał chwilę w powietrzu przypominając, że to już naprawdę wojna. Reszta dnia zeszła spokojnie. Wieczorem trwało pogotowie, a nocą batalion Kuriaty załadowano w Fordonie i pchnięto na południe w stronę Częstochowy. I nocy



tej nikt nie zmrużył oka. Opowiadano o Gdańsku, który według informacji oficera oświatowego wpadł w nasze ręce. Szykowano się na Berlin, na szkopskie dziwki, na motocykle, których tam więcej, niż w Polsce rowerów.

Przed otwartymi drzwiami wagonów przesuwał się chłodny pas nieba, nabijany pluskiewkami gwiazd.

Na bliskich horyzontach drzemały przyczajone wioski i lasy. A dalej na zachód, w zasięgu wyobraźni, trwał bój uporczywy na śmierć i życie. Płonęła granica. Tutaj w czterech ścianach wagonu ludzie tęsknili do widoków, których na razie nie dane im było oglądać. Jechano całą dobę mijając przeładowane lory obciążone brezentem i umajone gałęziami drzew. Wysokie niebo drżało od huku niewidzialnych samolotów.

W międzyczasie zmieniano marszrutę. Podobno spod Częstochowy parły na Piotrków niemieckie brygady pancerne. Kuriata nie wierzył własnym uszom.

— Jakżeż to jest, do nagłej krwi! Tłuczemy się tu w wagonach aż gnaty bołą, a tam szkopy uchwyciły taki szmat ziemi. I przez moment uczuł w sercu zimne ostrze niepokoju.

— Nie martwcie się, panie gospodarzu z Pacanowa — pocieszał go ryży andrus z Lublina. — Cholera ich wie, jak tam jest naprawdę. Udało się im w jednym miejscu, dostaną w tyłek w drugim — zresztą niech was głowa o to nie boli. Oficerowie są od tego.

Inni dorzucali na swój sposób mniej lub więcej słuszne spostrzeżenia i uwagi. Atmosfera nie była przychylną do rozmów. Ludzie, wymęczeni nocą, drzemali w półśnie lub gapili się na pola, na których tu i tam gospodarni chłopci podorywali ścierniska. Transport zatrzymano na skraju lasu przed jakąś małą stacyjką; podobno niemieccy dywersanci uszkodzili tam tory. Od strony kuchennego wagonu zalaływało grochówką i dymem. Szykowano się do obiadu. Z pobliskiego osiedla zbiegli się ludzie. Najwięcej przyszło młodych dziewcząt z kwiatami i koszyczkami owoców. Częstowano żołnierzy i przystrajano C. K. M-y z obrony przeciwlotniczej pękami różnokolorowych astrów. Wojsko rozlazło się za dziewczętami tak, że trudno było doliczyć się stanów w kompaniach. Trębacz dał sygnał do zbiórki. Ustawiano się nieskładnie, powoli.

W tym momencie, nie wiadomo skąd, śmignął w locie koszącym klucz dwumotorowych Junkiersów. Ledwo przebrzmiały gwizdk alarmowe, a już bomby zaczęły drzeć ziemię. Odłamki pocisków warczały, wyły, zanosząc się śmiechem rozpalonego żelaza.

JÓZEF MORTON

## CZAROWNICE

Działo się to w sierpniu, na kilka dni przed wielkim odpustem na Zielną. A zaczęło się od zwykłego zarządzenia ojcowego, że najbliższą stróżę ja muszę odbywać, ponieważ on już jest za słaby, ażeby całą noc nie spać. Czyste wymysły, ale wola ojca — święta. Toteż kiedy przyszła owa stróża, wybrałem się na nią wespół z synem sąsiada, chłopakiem do tańca i do różańca, niskim, krępy, a silnym, że półmeterek śmigał na siebie jak półgarncówkę.

Noc była widna, księżycowa i ciepła, jak w czerwcu. Odziani mimo to ciepło, z berłem naszej ważności, to znaczy z kawałkiem krowiego rogu, przemierzyliśmy całą wieś, zajrzeliśmy to tu, to tam, czy nie szykuje się jakieś morderstwo albo podpalenie, choć te rzeczy przychodzą w najmniej dogodnej dla ludzi porze, prawie nad samym ranem. Potem zakrążyliśmy napowrót pod kościół. Stanęliśmy w punkcie wyjściowym. Z dachów domostw jak wymarłych sączyła się senność, coraz większa, mocniejsza...

— Niedługo północ — ziewnął mój kompan. — Na diabła będziemy tutaj sterczeć i marnować czas. Chodźmy lepiej na gruszki.

Na widok rozespanej wsi i mnie poczynąta już brać drzemota, oczy tarłem i raz po raz ziewałem jak młody psiak. Lecz kiedy posłyszałem słowo: „gruszki“, jak pod uderzeniem magicznej różdżki nie wiedziałem kiedy i jak poczułem w sobie rzeźkość. A gotowość zakradnięcia się do cudzego sadu rozpalila mnie jak żądza wyciągnięcia ręki pod bluzkę urodnej dziewczyny.

Nie ma żadnego gadania. Wystarczy, że są gruszki, a my obydwaj mamy na nie apetyt. Duże, soczyste winówki czy owsianki... z cudzego sadu!

Nad nami noc, czysta, księżycowa, przed nami długa, szeroka droga wymoszczona ciszą, jak wełnistym kilimem. Nasze kroki, ostrożne i zwinne nie zdradzały niczym naszych łobuzerskich zamiarów, toteż spokojnie jak według boskich przykazań znaleźliśmy się w cudzych opłótkach i po zrzuceniu butów, nie wiedzieć kiedy, bujaliśmy już na gałęziach dużej, wyniosłej gruszy, jak wielkie o dziwacznych kształtach nietoperze. Po omacku wybieraliśmy co największe i najbardziej smakowite gruszki. Bez obawy, że nazajutrz rozbolą nas brzuchy, pakowaliśmy do ust co wlezie, a do kieszeni, ile tylko można było. Wypakowałem zanadto, że musiałem potem dobrze przyciągnąć pasa, żeby się nie wyrzuciła koszula, napęczniały wszystkie kieszenie, lecz że jeszcze żal mi było złazić z drzewa, zdjąłem kapelusz i do niego wkładałem pociemku smykane gruszki.

— Józek — przemawiam cicho — ja już nie mam gdzie chować. A ty?

Towarzysz, zbyt pewny bezpieczeństwa, jaką dawał północek, parsknął śmiechem.

— Ja do portek chowam. Zdjąłem je i trzymam w garści. Zrób to i ty, bo gruszki są naprawdę dobre...

Wtem posłyszeliśmy skrzyp drzwi. Właścicielka sadu wychodziła na dwór. Rozespaną zaleciały ostatnie słowa i stanęła w podle gruszy. W koszuli, mała, pokraczna figurka, zadarła głowę rozczochraną do góry, pod sam księżyc i ziewając jęła się przyglądać drzewu. Duża, rozłożysta korona gruszy nie zdradzała najmniejszą wyrwą czy choćby szczeliną naszej obecności. Ale diablik śnać opętał mojego kompana, bo skoro tylko ujrzał zadartą ku górze mazgajowatą twarz baby, wyszukał co prędzej co najdojrzalszą gruszkę i trzepnął nią kobietę w samo czoło. Pocisk rozprysł się na miazgę, baba ryknęła w niebogłosy i co sił dopadła do swoich drzwi.

— Złazić! — zakomenderował kompan.

Objuczony gruszkami, że każdy niefortunny krok groził mi runięciem i skręceniem sobie karku, jąłem zsuwać się z gałęzi na gałąź, potem skok, buty pod pachę i poza płot!

Na odgłos przerażonego krzyku kobiety trzasły powtórnie drzwi i posłyszeliśmy wściekle:

— Czego się drzesz? Co ci się stało?

Babina nie wydała z siebie najmniejszego głosu i znikła w czerni sieni, skąd po małej chwili wyłonił się jej chłop. Równie mały i pokraczny, w gaciach, z olbrzymią pałą w rękach, ostrożnie zbliżył się do gruszki. Wiedzieliśmy dobrze, że psa nie miał ze sobą, mimo to począł gwizdać i wołać: — Bukiet! — Potem: Bierz go! Ano! — Nie odpowiedział mu ani tętent uciekających, ani płaczliwe: — Darujcie! — toteż dalej obchodził drzewo, jedno jedyne jakim pysznił się jego ogród, zasadzony dzikimi różami i zachwaszczonym kwieciami, uderzał w nie, coraz śmielej podnosił głowę ku górze, aż się całkiem rozzuchwalił, nie mogąc zapanować nad wściekłością, jaka go opadła. Jął kłać, wymyślać na ludzi, potem na żonę:

— A to głupia baba. Przywidziało jej się coś i mnie tu zrywa z łózka! Nie daruję jej tego. To cholera!

Na ramieniu poczułem twardą dłoń Józka. Ścisnęła mnie kurczowo, coraz mocniej, aż syknąłem:

— Co robisz?

— Palnąć go w sam nos?

— Daj spokój. Bo jutro znów może przyjdziemy, a tak to gotów pilnować albo psa skąd przyprowadzi i przywiąże go do gruszki.

— Tak mówisz?

Tymczasem ściemniało się. Poczuliśmy się zmęczeni. Gruszki, wypychające każdy skrawek naszego ubrania, już nam nie smakowały. Brał nas sen coraz władniej. Lecz co najmniej przez trzy godziny jeszcze nie wolno nam było porzucić wsi na pastwę losu i snu. Trzeba było nad nią kawęczyć.

Józek stoi przede mną. Głowę wystawił naprzód, i raptem z przerywanym ziewaniem mówi mi coś, z czego nie bardzo zdaję sobie sprawę, taki jestem rozespany. Potem pochyła się prawie do samej ziemi i podnosi spodnie. Są ciężkie. Wypakowane owocami, wyglądają jak odrąbane kilkuty. Brak im tylko butów. Zarzuca je jak chomać na szyję i zapuszczamy się w mrok wąskiej uliczki. Wśród nocy głuchej i martwej zmierzamy ku własnym domom. Dosyć stróży! Dosyć gruszek! Chcę spać! Wsi bez nas diabli nie wezmą, jak nie wzięli jej

wczoraj i zawczoraj. Z tych myśli przebudza mnie raptem Józek. Niedaleko domu siada na ziemi i wcale nie zmęczony czystym i spokojnym głosem proponuje mi nową awanturę. Chce krowę swoją popaść na obcych łąkach i prosi mnie, żebym jeszcze przez godzinę dotrzymywał mu towarzystwa.

— Jutro, w dzień, nie mógłbyś tego zrobić?

— Zgłupiałeś? Na obcych łąkach paść krowę za dnia?

— Prawda. A czy teraz nie boisz się, żeby cię kto nie wypatrzył?

— Chyba „czarownicy“, bo więcej nikt.

Była godzina najwyżej pierwsza po północy. Noc jeszcze czuwała nad snem, ale niebawem miała się rozpląnąć w nadciągającej jasności przedranka. Poniektóre gwiazdy gasły już nawet, nie czekając końca panowania mroku nad światem. Było ciepło, parno, lecz kiedyśmy się znaleźli już na łąkach, poza stodołami, poczuliśmy pierwsze tchnienie przedrannej ochłody. Krowa, puszczona z łańcuchem, zadzierżgniętym na rogi, utonęła w gęstwie zbitej na gruby wał mgły, zakrywającej nam całkowicie pole widzenia. Od czasu do czasu słyszeliśmy tylko brzęk łańcucha, potem cisza niezmiernych mgieł stłumiła i te odgłosy. Ubrani w watowane kapoty, wsunęliśmy się pod zwisające gałęzie dzikiego bzu i z miejsca jęliśmy się tulić do siebie, jak bliźniaki, by nam było cieplej, podciągając jednocześnie coraz wyżej nogi, do których poprzez dziury w butach coraz skuteczniej dobierała się rosa, zjadliwa jak zagzajer, a zimna jak lód.

W pewnej chwili posłyszałem poza sobą ciche i lekkie kroki. Odwróciłem się. Odwrócił się i Józek. I obaj zobaczyliśmy dwie kobiety. Prędko, ale wyrachowanie przebiegle i bardzo ostrożnie zbiegają z pagórka. Obydwie mają po przetaku. Ubrane są jak zwykle. Jedną, tę pierwszą wlot rozpoznaję. Nazwisko jej podaję na ucho towarzyszowi i z zapartym oddechem śledzimy je dalej. Lecz nagle przystanąły. Spostrzegły nas, przykucnęły za mizerną pozostałością płotu, sterczącą przy drodze i przez wyrwy przyglądają się nam, nie przestając półgłosem mówić coś do siebie, prędko, gwałtownie. Lecz my nie zrozumieliśmy tego gadania ani w ząb.

Nie wiem czemu struchlałem. Z oczyma zawieszonymi na kobietach przyciskam się do Józka. Józek znów do mnie

i obaj nie wiemy, co należy czynić. A przede wszystkim jak i czym wytłumaczyć sobie ich obecność. W dodatku z przetakami. Zrozumiałe byłyby płachty, z czym wychodzi się nocą na trawę. Z przetakiem o takiej porze nie idzie się po nic i na nic. Ostatecznie dlaczego ukrywają się poza resztkami ogrodzenia? A może to?... I wstrząsam się cały. Ten sam wstrząs przejmuje towarzysza. Zbyt często opowiadano nam o czarownicach, aby się jeszcze wahać. A przybory, które im służą przy odprawianiu uroków i zaklęć rytualnych, nie jeden raz rozpałały naszą wyobraźnię, aby o nich zapomnieć w tej chwili. Pośród nich naczelną rolę zajmuje przetak. Przetak! Z nim czarownice wychodzą na rosę. Do niego ją zbierają, ale tylko w takie noce, kiedy na rosie pasie się czyjaś krowa, której przez odpowiednie gesty i zaklęcia odbiera się wtedy mleko.

Józek zrozumiał groźbę wiszącą nad nim i jego krową i wyprężył się cały. Jakaż szkoda, że krowę wypuścił z łańcuchem! Takim lepiej by się lało baby po plecach, ale i laską też można dokazać czegoś. To też zacisnął ją w garści z lubością, oderwał się ode mnie i wstał chyłkiem. Nie uszedłszy jednak i dwu kroków zawrócił. Przypadł do mnie. Chłop, świecący w oczy śmiało i hardo co najzuchwalszym, tu się zalaął. Nie znalazł w sobie siły do bójki z czarownicami.

— Boję się, bo na czarownice tylko różaniec. A laską zamiast po ich plecach, po swoich bym się grzmocił. Bo wiesz, one by tak sprawiły. Bracie, poradź mi, jak mam ratować mleko, przecieżś uczony, toś i mądrzejszy ode mnie. Mów, co robić? — z rozpaczą szeptał urywanym głosem. Przywierał do mnie w bezbronności dziecka, choć ja byłem również bezradny, jak i on.

Czarownice dalej kuczały poza płotem. Wyglądały jeno ich spódnice. Wreszcie jedna z nich ruszyła naprzód. Wyminęła duże i pochyłe od starości drzewo i raptem, jakby się rozmyśliła, zawróciła.

— Słuchaj — podsuwam Józkowi nieśmiało. — A jakby tak krzyknąć? Możeby się przestraszyły...

— Nie, nie możesz krzyżeć, bo moja krowa w obcej trawie. Wyleciałby który z chłopów, i oberwałbym i od niego i od ojca rano.

— To rób sobie, co chcesz!

— Mam — cisnął mi nieoczekiwanie w radości. — Przecież ja mam na szyi szkaplerz. Zdejmę go i z nim pójdę.

I począł rozpinać kaftan. Drżąc, gorączkowo, w pośpiechu. Lecz zanim go wydobył, rozległ się ostry, przejmujący skrzyp wrótni stodołnej. Niebawem posłyszeliśmy głos sąsiada. Przywoływał psa, z którym na krótko przed świtaniem lubił wybierać się na zające.

— Capaj tu! Do nogi!

Ten głos dodał nam odwagi. Jak odpryśli od ziemi, rzuciliśmy się obaj ku czarownicom. W tej samej chwili posłyszeliśmy przeciągłe stęknienie, tupot bosych nóg — i poza płotem nie było nikogo. Pod własną stodołą stał dalej kłusownik i z psem, wziętym na łańcuch, rozglądał się dookoła.

ANTONI OLCHA

## SOBONIE

JAK TO BYŁO WIOSNĄ...

Tymi miedzami, tymi wytartymi z traw chodnikami, biegnącymi kręto wśród ról, chadzał Władysław Orkan — chłopski syn, Dumac i Gazda porębiański, piewca borykających się z ponurym losem siermiężnych swoich braci. Na swój czas poeta i myśliciel śmiały, który miał odwagę ukazać nędzę wsi pracującej i ostry dramat chłopca, stojącego nad urwiskiem.

— Pola, poletka, zagony — niezliczona ilość miedz — podział ziemi pomiędzy dzieci i dzieci tych dzieci — podział, zmieniający się rychło w urwisko, w bezwyjściowość z tragicznego położenia.

W kilkanaście lat po śmierci Orkana chłopci z jego rodzinnych stron: ci z Poręby, z Niedźwiedzia, spod Mszany i spod Limanowej — przerzucają most nad tą przepaścią. Mocny. Stalowy most w przyszłość naprawdę lepszą. Nikt nie musi stoczyć się w urwisko.

— Jedziemy na Śląsk. Tam nase gazdówki. Sto sterdzieści rodzin z gromady zapisało się na osiedlenie. Bieremy se piastowskie pola.

Tak dzisiaj mówi orkanowski chłop, Teofil Domagała

z Niedźwiedzia, członek Związku Samopomocy Chłopskiej. I tak powiadają jego bracia i ich dobrzy sąsiedzi.

— Kizby to grzysi byli, coby my sie tak dusili na tych odrobinach zagonków. Dość tego. Ludowe casy nastaly, cyli ze to my teraz, my chłopy polskie pokażemy na co nas stać i to bez włócykijstwa po Brazyliach i Amarykach!...

\* \* \*

To są obietnice. Ale czemuż ich nie notować, skoro dziś rano jeszcze słowem są, a popołudniu oddzwiekują już czynem. W pojedynkę i gromadami chłopscy pionierzy ciągną nad Odrę. Obejmują gospodarstwa. Biorą się za bary z trudnościami, przeciwnościami, kłopotem. Nie mało tego jest. I nie słodka jest droga, przierzucana w mozole nad urwiskiem.

— Ale to, wiecie, tak z tym jest, — tłumaczy mi mój rodak upaprany w glinie i gnoju, przenoszonym w koszu na plecach na jakieś trudno dostępne poletko, — z tym naszym lepszym jutrem, jak z dzieckiem — noworodkiem. Rodzice się ciesyli, ze bedzie dziecko i ciesyli sie, kie sie urodziło i na chrzcinach. A tu zarazinek kłopot, skąd wziąć dobrą kołyskę, za co kupić pieluchy, jak to dziecko uleczyć, bo ma krosty, a to znów cosi mu dolego i becy.

— Wiadomo, ze chłop z niego wyrośnie jak smok. Ale co to kłopotu trzeba z nim podżyć!... Tak jest ze wszyckim. Tak teraz z nami naszą pracą. Chcący cosi godnego mieć, trza się rwać do roboty, ale to, wiecie, tak scyrze po chłopsku.

\* \* \*

Drzewa i trawy na uboczach błyszczą od rosy. Twarze pięciu chłopów z Niedźwiedzia zrasza grubokroplisty pot mozołu. To właśnie bracia Domagałowie oraz ich koledzy, razem pięciu chłopu, posuwają się kamienistą drogą ku Mszanie Dolnej. Idą krok za krokiem, napinając mięśnie z ostrym wysiłkiem, bo sami oni ciągną wóz, naładowany ziarnem do siewu. Pięćset kilogramów zboża wiozą tak aż spod Miechowa. Takich tu nazywają „soboniami“, jako że w braku koni, lub wołów, sobą zaprzęgają wozy.

— Pojedziemy gazdować na Śląsk. No i dobrze. Ino naj-



przód musimy u siebie zasiać wszystko co się pod siew nadaje. Tak było powiedziane od rządu i tak my chcemy, co by było!

Data tego dnia nie może być pominięta. Jest 28 kwietnia, 1945 roku. Za kilka dni, czy tygodni, wartki prąd czasu przyniesie nawał nowych innych wydarzeń. Szosy zaroją się od ciężarowych aut. Coraz więcej pociągów toczy się z jednego krańca Polski w drugi. „Soboń“ to zjawisko krótkotrwałe. Jednakże bardzo charakterystyczne, znamienne, a to tym bardziej, że w niektórych okolicach Podkarpacia masowe. Za kilka miesięcy może wyćwiczonej wyobraźni pisarzy nie będzie się nawet śniło o tego rodzaju faktach, będących przejawami chłopskiej inicjatywy w boju o chleb dla wszystkich.

— Auta transportują nasiona i furmanki tyz. Sami przecie, wiecie. Ino ze tego wszyckiego nie ma telo, co trzeba. No to jak my doznaku srąbki wyśmiatali, tak se godomy: „na nic cekać nie wolno, ino starać sie, na kiela sie uda, swoimi siłami“. I my se pojechali po to ziorko.

— Dzisiok dobijemy do chałupy. Jutro będziemy siać!

— Skoro już chcecie wiedzieć, to se wiedzcie, jak my walczymy o demokracje. Robotą. Nie godaniem, ale robotą!

Teofil wypowiada te zdania zapalczywie, z uniesieniem. Bracia i sąsiedzi potakują mu głowami oraz gestami ciężkich, żyłastych rąk.

Potem jeszcze mówią mi, żeby napisać w gazecie apel do inteligencji. Niechże garnie się na wieś. Niech zbliża się do chłopów i pomaga im w pracy. Po gminach sporo jeszcze kręci się starych wyjadaczy i cwaniaków, którzy próbują się wkręcać do spółdzielni, do zarządów przeróżnych po to, żeby nieporadniejszych chłopów to tu, to tam podskubnąć.

— Samopomoc Chłopska u was jest?

— Jakże! Jest! Ino cy sie to człowiek tak zaroz połapie w tej pracy? Nolezimy i robimy co mozemy, ale...

Ale wielu wsiom brak jest koniecznego doświadczenia, brak poprostu praktyki. Wojna poczyniła straszne spustoszenia w aktywie chłopskim. Ludziska poniektórzy odwykli w masie od zorganizowanego działania, od myślenia społecznego. Może nawet były niepotrzebnym męzny trud większości, a może wszystkich „soboni“, gdyby myśl chłopska biegła szybciej trop

w trop za potrzebami dnia; gdyby myślenie było uspołecznione na tyle, by ludzie umieli siłą całej gromady przewalczać zło, niedostatek i trudność.

Gromada zawsze jest mocniejsza. Gromadą łatwiej dokonać ważnych czynów, prac, osiągnięć. Łatwiej i lepiej. Dowodem inicjatywa samopomocowa podtatrzańskich chłopów z Olczy i innych wiosek, którzy wspólnymi siłami w najcięższych dniach wiosny potrafili zorganizować tabory konne. I te wozyły żywność oraz ziarno siewne dla bardzo wielu potrzebujących.

\* \* \*

Boczna droga z pogranicza dwu wsi: Pcimia i Lubnia, prowadzi do Kszczonowa, Tokarni, Bogdanówki, Skomialnej Czarnej. Tam „sobonie“ na plecach wynosili obornik po stromych uboczach, tam nierzadko zaprzęgali się sami do pługa i brony...

Trzeba nazwisk? Przykładów? Należało by ich dać tysiące. A kto po Podtatrzu i Beskidach wędrował tej pierwszej i jedynej w swoim rodzaju wiosny 1945 roku, ten mógł zobaczyć takie obrazki i setki im podobnych.

\* \* \*

Nie siać! — podszykiwały podstępne głosy tu i ówdzie. Wstecznik sądził, że uda mu się osłabić chęć do pracy, sparaliżować chłopską wolę budowania nowego życia. W odpowiedzi na to, przeważnie może i nie wyrozumowanej, ale za to wyraźniejszej z głębokich pokładów demokratycznego i obywatelskiego poczucia chłopu polskiego, zjawił się ustokrotniony wysiłek mas wiejskich. Chłop z własnej inicjatywy chwycił się takich środków zaradczych, o jakich się nikomu nie śniło. W ogólnej sumie planowych poczynań władz, samopomocy chłopskiej i aktywu stronnictw demokratycznych — wypełniło to nieraz dość poważne luki.

Wzdłuż i wszerek Polski leci poszum zielonej fali zbóż. Chłopskie pola śpiewają pieśń o chlebie. Karpacki wiatr osusza uznożone czoła soboni.

## ODSTĘPCA

(fragment powieści).

Przyjazd Adama do domu był dla Rózańców straszliwą niespodzianką, tym bardziej, że nie uprzedził ich żadnym listem. Stało się to zbyt nagle. Cios był dobrze wymierzony w nadzieję i zamiary ojca. Stary nie krył się nawet z niechęcią ku synowi. A Adamowi ciężko było powiedzieć, że już do seminarium nie wróci. Mruczał, że mu dano urlop, że chory na nerwy. Kazano mu dużo mleka pić i leczyć się. W domu jednak, widział, nastąpiła teraz bieda. Nie doiła się ani jedna krowa i nie było mleka ani dla malutkiej Stefki ani do barszczu. Kury także przestały się nosić, za co więc kupić soli, albo omasty?

Niedługo się jednak dało ukrywać fakt.

Po wsi gruchła wieść, że Rózańca wyrzucono ze seminarium. Co się wtedy nie działo!

Leciała bajka od domu do domu, z ust do ust: — To go biskup wywalił po prostu za złe egzaminy. Tak oni, prostaczkowie sobie wyobrażali: ano więc, że biskup, i za naukę, wreszcie, że „wyrzucił“. — A może jeszcze gorzej? Któż tam wie, co Adam zmajstrował! Może to niedowiarek?

— Lepiej takiego nie trzymać w domu, bo to kara boska — ostrzegł ten i ów Kubę Rózańca — syn ci się popsuł!

— Żebyś ino tego nie żałował.

A stary wracał do domu wieczór, kiwał głową, ponury i zły, drobił sobie swój chleb do barszczu.

Adam zamknął się na cały dzień w izbie, nie wychodził nawet na pole więcej jak tylko rano i wieczór, w nadziei, że sąsiedzi przestaną się nim interesować i skończą się plotki i oszczerstwa.

Nadaremnie. Z tą samą wytrwałością, z jaką czeka się na prowadzenie bandyty, czekały kobieciny zza płotu; Bełzka i Pytłowa na pierwsze wyjście Adama, ciekawe, jak też wygląda taki, który zrzucił sutannę. Stąd też, gdy w Boże Narodzenie rankiem idąc na mszę, odważył się wyjść ostrożnie na drogę po cywilnemu, w czarnym jeszcze tylko płaszczu poddany został długiemu, nieznośnie przykreemu, egzaminowi.

Z mężczyzn zaden mu się nie uklonił. Ten i ów mruzczał znacząco i wcale nieuprzejmie, albo podśmiechiwał się ironicznie. Kobiety zaś, z których przecież nie wszystkie uchodziły za parafialne tercjarzyce, rzucały mu surowe spojrzenia. Dziewczęta wręcz parskały śmiechem i to prosto w twarz, że omal się nie rozplakał. Tak, to była złośliwość, jakiej się można spodziewać tylko od znajomych.

Całą drogę szedł dalej ze spuszczoną głową, a w kościele klęknął w samym kącie pod chórem, żeby nikogo nie drażnić swoim widokiem... Niemiłosiernie i brutalnie obeszły się z nim dzieci. Podlotki, które gdy wychodził z kościoła, ciejdały po pastwisku i bawiły się na drodze w śniegu, usuwały się lękliwie w bok z odzieniem odrazy, jakby przeszedł pies zarażony wódowstrętem. Nagle wśród gwaru i wrzasku ucichły jak jedno, pochowały się za drzewa, stamtąd patrzyły mu zuchwale prosto w twarz i skoro tylko je mijał, mruzczały najpierw po cichu, a potem coraz głośniej: — Książd, książd, książd!

Doprowadzało to Adama do wściekłości, że ledwo panował nad sobą. W tym wszystkim nie kryło się nic tak bardzo złego. Wiedział, że dzieci drażnią się z nim, bo ich rodzice im tak każą. Ale i tak miał ochotę puścić się w pogoń i wyrwać komu z korzeniami ucho.

Wyobraźnia hańby wyolbrzymiała w oczach jego obelgę, a wrażliwość jego nie mogła ścierpieć wyrafinowanego okrucieństwa, jakie go spotykało na każdym kroku. Mniemał, że znalazł się wśród samych wrogich i niesprawiedliwych ludzi.

Znowu się rozbiegła plotka, że Różaniec okradł biskupa. Nie było rady z hołotą.

\* \* \*

W domu zaczęła się formalna wojna.

— Do niczego nie dojdiesz, nie będziesz niczym. Ty bandyto mojego zdrowia — to mówiła matka.

A Adam pienił się ze złości, nie wiedział, jak już mówić i jak się bronić.

Niekiedy przychodziło mu do głowy opowiedzieć ojcu wszystko; ale myślał: — to jest prosty człowiek, gdzie zrozumie to, co się w nim dzieje. Rezygnował. Brakło by mu zresztą słów. To było wszystko jak burza, w charakterze mało zindy-

widualizowane, nawał faktów, rzeczy i cierpień. Tylko krzykiem można by to opisać, a to mniej przekonuje, niż chłodna argumentacja, na którą teraz nie mógł się zdobyć. Zresztą sam nie wiedział, czy był bez winy. Przecież tylu ludzi w jego wieku szło na teologię do Klerykowa i sobie chwaliło. Postąpił jak rozrzutnik. Oto gest godny indywidualisty i naprawdę silnego charakteru. Bądź co bądź postąpił odważnie. Kto mu zaręczy, że jest naprawdę poetą, a nie zwykłym śmiertelnikiem, kabotynem i niebieskim ptakiem, któremu się nie chce pracować? Wzdrygnął się, czuł siły w sobie, z którymi pójdzie wszędzie. Wierzył, że tak nie jest.

Wszyscy podjudzali ojca, żeby go wygnał, bo wstyd, ludzie się śmieją. — O właśnie! Ojcu i matce tylko o opinię chodziło. Stąd też ciągle robili mu awantury, wyzywali go, drwili zeń. Szyderstwom nie było końca.

Pokazywało się, jak wygląda miłość rodzicielska w praktyce, w chwili, kiedy syn cierpiał. Gdyby mógł gdzieś uciec, sam by się dawno już wyniósł z ich domu. Toteż pogardzał nimi. Wykluczył ich raz możliwie na zawsze ze swoich dawnych uczuć.

Pogardzać człowiekiem, to znaczy przekreślić go z góry, raz na zawsze, uważać go za straconego, stwarzać między nim a sobą dystans większy niż ten, który Boga dzieli od człowieka.

Ze strachem spostrzegł Adam, że on tak właśnie przekreśla miłość ku rodzicom, ich samych, ojca zwłaszcza. Zresztą wiedział, że ojciec nawzajem go nienawidzi. Lżył go przecież na każdym kroku, że musiał chować się po kątach.

Pożycie w domu stawało się coraz niemożliwsze. Gdzie się tylko ruszył, odprowadzało go złe spojrzenie. Uszczypliwe docinki nie kończyły się.

— A ty hycłu bez honoru! Ludzie się z ciebie śmieją i z nas!

Chciał się już raz z tym załatwić. Jeśli dla krewnych był zakałą i pośmiewiskiem i jeśli wytykają ich palcami przez niego, oto pójdzie sobie. Ale wiedział, że ojciec mu nic nie da na tę drogę.

W oszczędnościach miał Adam zaledwie trzydzieści pięć złotych: piętnaście od rektora Grocha, a dwadzieścia od Marszałki. Te ostatnie przeznaczone były pierwotnie na komeżkę.

Kobiecina dała mu swoje oszczędności nie bezinteresownie. Śmiał się z Marszałki, a przeznaczył sumę na swój jedynie użytek. Domyślał się, o co jej chodziło. Chciała jeszcze nawrócić go na księdza — naiwna naprawdę baba. Prawdopodobnie ojciec ją do tego namawiał, bo sam za hardy i za dumny, żeby Adama prosić o powrót do Klerykowa. Do jakich to wybiegów się już uciekał, pojęcie przechodzi. Ale trafił na mądrzejszego od siebie, oho!

Zresztą z tą komeżką miała się rzecz bardzo tajemniczo i rzucała ponure światło nie tyle na ojca, ile na ofiarodawczynię.

Marszałka trudniła się akuszerią i jak zwykle w takich wypadkach na starość zrobiła się strasznie pobożną osobą. Ojciec znał ją jeszcze z dawnych lat. Była ładną dziewczyną i pono kochała się w ojcu. To jej nie przeszkadzało bywać u niego przy powiciu dzieci z córki Zdebita, którą wybrał za żonę.

Ostatnio ojciec stałe siedział u Marszałki, odkąd tylko zaczęła słabować na piersi i tam uknuł się plan podstępny. Pewnego mianowicie wieczoru przyszedł Kuba z wieścią, że Marszałka ma się gorzej, że po księdza nawet posłano i coś tam gadał, że Adam powinien odwiedzić chorą, bo to przecież kobieta znajoma z przyjaciółstwa, a zresztą ona ma z nim do pomówienia.

Adam mógł nie usłuchać, ale wstał i poszedł. Zastał sąsiadkę w łóżku, dyszącą ciężko, ale wcale znów nie wyglądającą na to, żeby miała zaraz umrzeć. Więcej było udawania w tym, niż rzeczywistego cierpienia. Marszałka zapytała, czy wie, po co go wołano. Nie, Adam stanowczo się nie domyślał. To, że ją z jego ojcem łączyła stara przyjaźń i że czasem zaglądała do ich domu, nie wskazywało bynajmniej na to, żeby czuł względem niej jakiś wyjątkowy szacunek ponad to, co się każdemu należy.

— A więc — ona tak zaczęła — czuje się coraz słabsza, pewnie już z łóżka nie wstanie, jest bardzo stara... Zawsze się cieszyła, widząc Adasia Kubowego w sutannie kleryckiej, w której mu tak ślicznie.

Trzepała i trzepała, ale nie przerywał.

— Wielka to radość dla całej wsi i zaszczyt, kiedy rośnie

nowy ksiądz. Teraz smuci się, że tak niespodzianie Adaś wrócił, lecz myśli, że to tylko chwilowy urlop. Nie wierzy ludziemu szczerkaniu...

— Tak! — zgadzał się z nią Adam. — Jestem chory, cierpię na nerwy i muszę odpocząć.

— O, kto dziś nie cierpi na nerwy — uspokajała go. — To jednak minie — i ona zawsze prosi w pacierzu, żeby Adaś wrócił, jak tylko się skończy z tymi nerwami... Zaczęła kaszleć. Już ona nie doczeka tej chwili, kiedy będą jego prymicje, nie, ale chciałaby mu dać od siebie jakąś pamiątkę. Oto uskładała dwadzieścia złotych — leżą właśnie na stole — niech sobie weźmie od niej i kupi komeżkę. Gdy ona umrze, to może kiedyś przynajmniej Adaś, będąc już księdzem, westchnie za jej duszę do nieba.

Była to propozycja tak niespodziewanie dziwna, że Adamowi dech odebrało. Nie wiedział, co odrzec. W pewnej chwili uczył nawet, że to zbyt wzruszające i że ta staruszka szepcząca w chorobie to strasznie dobra kobiecina; oto ostatni grosz oddaje dla niego — łajdaka. Ale prędko się powstrzymał. Zabrał pieniądze ze stołu, jedno w całym papierku, i mruczając coś na podziękowanie, pocałował akuszerkę w rękę i odszedł.

W domu wzruszenie go opuściło nagle jak z wiatrem. Ba, co więcej, zaczęło mu się to wszystko nie podobać. Wietrzył podstęp. Hej, to był na pewno wybieg ze strony ojca, który okrężną drogą chciał zmusić go do powrotu na teologię. Oszukali go, a on gotów był rozplakać się. O podli!

O tym, że był to rzeczywiście podstęp, przekonał się już wkrótce, kiedy w domu nic nie wspomniawszy o wizycie u Marszałki, pieniądze zamknął w szufladzie stolika i jakby nigdy nic, zapowiedział, że mu się nawet nie śni teologia. Ojciec wtedy skoczył jak wściekły i krzyknął:

— Złodziej! Złodziej! — i wypadł z domu bez czapki.

Poznał Adam, że to zaciekłość okrutna. Ojciec przegrał i to doprowadzało go do takiego rozdrażnienia. Wiedział o wszystkim. Adam chciał pójść natychmiast i zatkać babie pysk jej dwudziestoma złotymi, żeby się udławiła. Po chwili zastanowienia się jednak poczekał. Właściwie, kiedy się ta sprawa tak przedstawia, to głupi by był, gdyby pieniądze oddał. To jest podłość ze strony akuszerki i ojca. Dobrze im tak, niech cierpią! I w nim się upór budził.

## KRZYŻE JANINY

O roku ów!

Dom stoi na ustroni, przy lesie. W małej izbie, przy świetle naftowego kaganka czyta Stanisław Rusiecki. Chłopi nie patrzą na siebie. Sochy, Żiomek, Treć, Piasecki spod Chelnicy, dwóch Brewińskich, Kumór, Sieradzki, Wróbel. Twarze ostre, pobrużdżone, ginące w dymie. Spod lampy dochodzi głos: — „wolna już jest cała Afryka i południowe Włochy. Toczą się ciężkie boje we Włoszech. Na wschodzie Rosjanie oczyszczają Zadnieprze, zdobywają Białoruś i Ukrainę. Wyzwolenie już coraz bliżej...“ — „Psiakrew“ — przerywa Sieradzki, „wyzwolenie pięć lat już przychodzi, Afryka jest wolna, a nas tu rżną jak baranów, w domu nie śpij, nie jedz, nie pracuj, bo doczekasz się drugiego Szydłowa. Wrzucą cię jak Kaczorowskich do ognia, zastrzelą jak psów, jak Dyzka Kowalika, Szydłów bandit, Szydłów komuna, cholery!“ — „A tam się w przyczółki bawią, zmiany rządów, stosunki zrywają z Rosją, kiedy Rosja bije Niemców, usrać się z taką polityką“. Siwy Brewiński podnosi się z ławy: — „ale, kiedy my gadamy, całe Szczytniki pod bronią w lesie stoją“. — „I co i rzuca się na Niemców. Niemcy swoje zrobiły, w Szydłowie 11 trupów na rynku. — „Słuchajcie“ — Rusiecki schował w zanadrze gazetkę — „Szczytniki szły na Szydłów, choć były za słabe, żeby wdać się w walkę. Ale broń powyciągali i już im nie chodzi o to, jaką nagrodę otrzymają, czy kule, czy krzyże, czy ziemią ich przysypią, czy chałupy popalą. Bronić się trzeba!“ — „Za wcześniej jeszcze“ — stary Łacki, „stryj“ spod Dębiny wkłada czapkę na głowę, „pójdziemy już, jednaki los zresztą dla tych co broń powyciągali jak i dla tych co jej nie mają. Ja nie mam i tyż muszę z domu uchodzić jak i twój syn“. Chłopi wstają i pojedynczo po dwóch wsiakają w ciemność. „Odprowadzę cię Stasiu“, mówi Jan do dziewczyny i patrzy na jej jasne włosy.



## Ranek Poletka

Słońce wschodzi nad Kołaczkowicami. Poletkowa spogląda w to czerwone wielkie słońce i mówi — pogoda — potem otwiera chlewik i wypuszcza kury. Zagląda do krów, do świń. Wszystko w porządku. Ze stajni bucha przyjemne krowie ciepło. — „Dzieci wstawajcie“ — woła w otwór powały. Za chwilę idzie z synami do domu. Ojciec jeszcze leży, dziewczęta zaczynają robić ranny porządek. Za oknami słychać tupot butów, matka spojrzała, „Matko Boska, Niemcy!“, — „Dzieci chowajcie się, łapanka“ — woła ojciec. Żandarmi wchodzą, kiedy syn był już na drabinie: Poletek Jan, agrom — ja, wstawać, ubierać się“. Za chwilę płacz i krzyki, dzieci już się nie chowają, dom jest obstawiony żandarmami. „Prędzej, prędzej“, matka wiesza się ojcemu na szyję, mała Nastka całuje po rękach, żołnierz uderza kolbą Jana Poletka. Otoczony bagnietami idzie na punkt zborny w Janinie. Już czekają na niego Janeczek Jan, Wojtacha Władysław, Piasecki Andrzej, Graca Stefan, ks. Pankowski Marian. Ludzie patrzą z zapiekłymi gardłami na odjazd aresztowanych. Poletkowa krzyczy — „dlaczego nie wyjrzałam na drogę“ — „Mamusi uśpokój się“ — mówi Mila.

## O d w e t

Nad ranem samochody jadą przez Janinę. Jeden, drugi, trzeci, Zdral budzi się — staną, nie, jadą dalej ku Kołaczkowicom. Słabe światło powoli niknie. Ulga, straszna ulga. Już wieś się budzi, alarm, młodzi chłopci chyłkiem uciekają w stronę Rajku, do lasu. Samochody jadą do Szczytnik. Dwustu Niemców otacza wieś, rewizja w każdym domu. To już nie łapanka to śmierć. Za chwilę pali się dom Maślanki, dwa strzały i nie żyje Antoni Walasek i Władysław Czechowski. Żandarmi wygrażają chłopom — „banditen, alle banditen, — tyś był pod Szydłowem, co!“ — Chłop patrzy nieruchomo w oczy volksdeutscha, nieogolona twarz, wyrwana nagle ze snu, jest biała, bezradna. Samochody wiozą aresztowanych. Zbity, skuty Józef Walas pojedzie do Oświęcimia.

## Listy

30 maj. Poczta przynosi pierwszy list. Oczy błędzą po niezrozumiałych znakach. — kto przetłumaczy to pismo? Tylko na końcu podpis znany, kochany podpis: Jan Połetek. Auschwitz. Dziesięć kilometrów trzeba iść do tłumacza. „Liebe Frau!“ Kochana Żono! Donoszę Ci, że jestem zdrowy i dobrze się czuję. Dozwolone jest nam przysyłanie paczek żywnościowych o wadze do trzech kg. Nie wolno przysyłać lekarstw i płynów... Pisz do mnie dwa razy w miesiącu i tylko w niemieckim języku. Napisz mi proszę, co u Was słyhać nowego? Oczekując Twojego listu pozdrawiam Cię serdecznie i moje dzieci Twój mąż Jan Połetek“.

5. VII. „Moja Ukochana otrzymałem już siedem paczek. Przysyłajcie suchary, bardzo proszę o cebulę i jeśli możesz tłuszcz. Pozdrawiam całą rodzinę, jestem zdrowy Twój Połetek Jan“.

8. VIII. „Najukochańsza Żono i Drogie dzieci, wasz ostatni list otrzymałem, także wszystkie paczki, chociaż nie wszystkie były w dobrym stanie lecz to nie jest wasza wina; droga jest czasami długa. Jestem Bogu dzięki zdrowy. Napisz mi jak idą żniwa, czy Gieniuś żął? Pozdrawiam wszystkich znajomych i krewnych i Was moja kochana Żono i Dzieci, całuję was tysiąc razy wasz kochający mąż i ojciec Jan“.

6. XI. „Moja Kochana Żono i Dzieci. Wasze ostatnie listy otrzymałem za co wam serdecznie dziękuję. Na wasze pytanie donoszę, że nie potrzebuję ciepłej bielizny. Pisaliście do mnie, że wysyłacie tygodniowo dwie paczki, lecz w ostatnich trzech tygodniach tylko jedną otrzymałem. O ile tylko możliwe przysyłajcie mi dalej paczki. Życzę Wam dobrego Nowego Roku. Pozdrawiam Was serdecznie i całuję Was, Wasz Ojciec i Mąż“.

12. XI. „...kiedy nie otrzymacie ode mnie listu, posyłajcie mi paczki spokojnie w dalszym ciągu. Co słyhać z kartoflami, jak pszczoły?“

\* \* \*

20. XII. „Nasz najukochańszy Tatusiu i Mężu. Ostatni list bardzo nas zaniepokoił, pasek, o który prosiłeś, wysłałam Ci pocztą, nie wiem czy prędko dojdzie. Tęsknimy bardzo

za Tobą, kiedy my się zobaczymy. U nas wszyscy zdrowi, gospodarstwo nam się powiększyło o jedno cielątko, pszczoły są dobrze zaopatrzone. Kontyngentu nie oddajemy, bo nas gromada zwolniła. Czy nie widzisz się z Janem Pieronem, bo jego żona nie otrzymuje listów i wciąż płacze, Twój brat Józef już wyzdrowiał na kolana i rażno chodzi. Spodziewamy się jego przyjazdu. Całujemy Cię...“.

13. I. „Listonosz przynosi Połatkowej paczkę. Poznaje — to pasek, który poszedł do Oświęcimie. „Zurück“ — to słowo już nie obce i ta paczka jeszcze nic nie mówi, lecz ręce drżą i oczy patrzą nieruchomo w twarz listonosza. „Je-  
szcze nic nie wiadomo, nie martwcie się Połatkowa, przecie i, poprzednim razem zwrócili wam paczkę, a w tydzień potem otrzymaliście list“ — „O Jezu, Jezu już ja go nie zobaczę“.

### Z a p ł a t a

Jest czerwiec. Siny ranek. Z nad łąk płyną mgły. Bugaj śpi, okna zatulone w przedranny mrok. W te mgły wchodzi Stanisław Rusiecki. Budzi się dzień, noc przeszła spokojnie, z niedalekiej Janiny nie słyhać szczekania psów. Jest spokój, cisza. Dziś będzie dzień pracowity, dom czeka na swego gospodarza, robota. „Halt!, halt!“ ostre głosy przecinają ranek, „halt“, pada strzał i Rusiecki obejmuje ziemię w ostatnim uścisku. „Bandit, bandit“, okute buty kopią bezwładne ciało. W domu w Janinie matka budzi najstarszą córkę — idź na Bugaj, powiedz ojcu, że spokojnie.

### Trzymajcie się mocno

Wrzesień. Gmina Szczytniki przeżywa nowy najazd. Który z kolei w tym 1943 roku? Janina, Kołaczkowice, od Rajku po Chełnicę i Ruczynów mundury żandarmów, gestapo i Sonderdienstu. Otaczają dom Antoniego Skwarka. W domu popłoch. Zenka woła — „łapanka“ i chce oknem uciekać. Ojciec podchodzi do drzwi, otwiera, żołnierz strzela prosto w pierś. Antoni pada na progu swojego domu.

W Busku badają Ignacego Dziurdę — „tyś urządził ćwiczenia dla chłopów, mów! Jakie organizacje są w twojej gmi-

nie!? Tyś urzędnik, sekretarz? bandyta!! Skrwawione, posiekane ciało leży na desce śmierci, ręce wyciągnięte nieruchomo. Ignacy Dziurda chłopów nie ćwiczył, ale wie i o tym i o tamtym. Ignacy Dziurda nie odpowiada, nie wie nic. Wielki Hans jeszcze raz zmierza się nahajem w lepkie, czerwone plecy i woła na psa. Owinięty w łachmany, bosi, niepotrzebny nikomu strzęp wiozą na cmentarz żydowski i tam strzelają.

Tam na tym cmentarzu leżą już od czerwca 43 roku Jan Brodtko, naczelnik poczty w Janinie, Stanisław Grzegorzcyk, posiadacz dwóch hektarów ziemi w Janinie, Józef Muszyński, który zostawił żonę, matkę i troje dzieci małych na jednym hektarze ziemi, Stanisław Cyrański, gospodarz na dwóch hektarach, Jan Kawecki (żona i syn mały 1ha ziemi), Stanisław Jankowski (zostawił żonę, troje dzieci — 1 ha), wysiedleni z poznańskiego Józef i Zygmunt Grzegorzcyki i Antoni Treć. Gdzie jest Bolesław Rydel, więzień oświęcimski?

Na tym cmentarzu leży Jan Jasiński, dawny nauczyciel w Kołaczkowicach. Jasiński do ostatka, przez tych, którzy wychodzili na wolność, słał pozdrowienia znajomym — „trzymajcie się mocno“ — sam nie mógł już się ruszać i współwięźniowie musieli go karmić jak dziecko.

### Sierpień 1944

We dworze w Kołaczkowicach stoi oddział Piotra, jest tam również Miła, córka zamordowanego w Oświęcimiu Poletka. Front jest w Kołaczkowicach. Niemcy zajmują jeszcze Busko. w Stopnicy są już czołgi sowieckie. Ale Niemcy pchnęli jeszcze jedną dywizję pancerną na przyczółek sandomierski, wojska radzieckie ustąpiły dwa kilometry za Stopnicę i gmina Szczytniki znalazła się po stronie niemieckiej. Teraz już wiemy, słyszymy: front u nas, nie na Bugu. Samoloty krążą, armaty biją, naokoło horyzont zasłany jest chmurami: palą się całe wsie. Za każdym domem czai się czołg. Sołtysi spisują ludność, nazajutrz rano wszystkich wypędzają do roboty; ludzie kopią schrony, rowy, okopy. Sierpień, wrzesień, listopad, grudzień — jeszcze pół roku najstraszliwsza okupacja. Piotr mówi — „schowałem karabiny w polu i pół metra od tego miejsca Niemcy okopali działa“. Na błoniu wykryli ukryte karabiny w snop-

kach, zastrzelili Józefa Lamparta. W lesie kołaczkowskim złapali Marcina i Marię Bławatów i Stanisławę Molisak. Pałą wsie, pałą Szczytniki, Skrobaczów, Kuchary. Co słyhać z Bławatami, gdzie jest pochowany Henryk Tometczak ze Skrobaczowa, aresztowany przez Wehrmacht w Janinie?

Rano, w słotny jesienny dzień żołnierze wypędzają wszystkich chłopów na place zborne. Z Janiny, Kołaczkowic, Ruczynowa, Strzałkowa pogoniono osiemset chłopów do obozów pracy w Niemczech. Jasnowłosa Stasia nie mówi nic i nie widzi nic. Tej nocy trzech Niemców kolejno dzieliło się jej ciałem.

### Brzozowe krzyże

Od dwóch godzin bije bezustannie sowiecka artyleria. Katusze, Katusze. — „Już koniec“ — szepcą w chałupach i piwnicach chłopci. Niemcy uciekają. Na zakręcie widać już czołgi sowieckie. Niemiec podkłada ogień pod chałupę, uciekający drab ciska granat w otwarte okno. Huk, śmierć, porozrywane nogi i ręce. Ale już są żołnierze z gwiazdkami na czapkach. Za chwilę prowadzą Niemca — „patrz! To wyście zrobili“. Front jest już za Buskiem, za Pińczowem, Nidą. Od Stalingradu przeszedł aż po Kołaczkowice. Stara babka obmywa ciała córki, zięcia i wnuków. Na cmentarzu przybędą nowe krzyże: Trelińska Irena, Treliński Wojciech, Trelińska Krystyna, Trelińska Liliana, Reperowicz Genowefa, Skwark Janina. Niech wieś zatrzyma te nazwiska. Tauzowski Bolesław z Zaborza, Wojtacha Mieczysław z Bugaja, Gardyna Jan, Rokita Jan, Pieron Jan, Ściana Piotr, Graca Stefan, Poletek Jan, Piasecki Andrzej, Wojtacha Władysław i inne, inne, poległe w Oświęcimiu, Busku, Pińczowie i w nieznanym dalekim od Janiny miejscu.

STANISŁAW PIĘTAK

### „KONIOKRAD“

— Niech idzie, huncwot, może zysko u Ruskich konia. Stracił go, powinien go zdobyć — mówił basem siwowłosa, przystojny jeszcze chłop, Grześ Burdza i oganiał się pod sto-

dołą przed bąkami. Matka i synowa patrzyły z lękiem i odrobiną nieufności na Tomka i odwracały się bokiem, jakby miały się żegnać w tej chwili.

Tomek sam stał na bosaka i układał rzeczy w plecaku poważnie i z majestatem. Najpierw na dno położył papier, potem bochenek chleba, potem znowu osełkę masła, trochę jabłek, wreszcie na koniec trzy pełne litry bimbru, na to znowu papier i zabierał się do wiązania sznurkiem.

— Tomuś, a może syrka trochę? — wybąkała nagle stara Burdzka i lękliwie spojrzała to na syna, to na męża, to na niebo.

— Może być i syr — oświadczył powoli Tomek i podtrzymał sznurki nad plecakiem.

Wyszedł już dobrze po południu. Gorąco było, toteż kaszkiet trzymał w garści i machał nim w powietrzu. Właściwie czuł się zadowolony, że idzie — omijała go robota przy żniwach, jedzenia miał sporo, cieszyły poza tym przygody, jakie się spodziewał znaleźć w pobliżu frontu.

Na polach stały jeszcze niezbrane półkopki żyta, bielila się poza tym i złociła niezżęta pszenica, kulił się płowy owies. Niebiesko było, szosą między jabłonkami pędziły już auta sowieckie, szli pieszo czerwonoarmiści. Raz po raz odzywały się niemieckie strzały artyleryjskie, które padały blisko z odgłosem jak kłapnięcia. — Tomek odwracał się wtedy i krzywiąc nos mamrotał.

— Sukinsyn mo wciąż amunicje — skąd on bierze, aby go ślag trafił!

Oglądał się — znów przecież nie paliła się jego wieś, ale Zawisłe, które leżało tuż, tuż za rzeką.

Słupy ciężkiego, burego dymu wzbijały się i na wzgórzach — tam też biła artyleria bez przerwy i raz po raz natchodził pomruk samolotów.

Tomek właściwie bał się, ale robił dobrą minę, oganiał się przed komarami i szedł na wprost na przeprawę. Dopiero był trzeci dzień, jak wojska sowieckie wkroczyły na ten teren — po spalonych obejściach chłopci w koszulach, z gołymi głowami grzebali w popiele, jakby nie dowierzając, że wszystko się spaliło. Gdzieniegdzie leżały jeszcze trupy w rowach, w zbożu — oto jakiś podoficer niemiecki ze szerniałą zupełnie twa-

rzą, z kostrzewą bujnych jasnych włosów, które wydawały się przyklejone do czaszki. Patrząc, widziało się tylko te włosy — poza tym skrzep czarny, maź, rysy zupełnie rozbite.

Tomek zamierzył się zdjąć Niemcowi buty, ale że było gorąco, machnął ręką i poszedł dalej. O kilkanaście kroków za ledwie głębiej, na łączce, o którą toczyła się walka, spoczywało już więcej trupów. Oczy Tomka uderzył przede wszystkim trup sowieckiego żołnierza. Żołnierz ten, mocno zbudowany człowiek, leżał godnie na wznak, tak jak gdyby się położył do snu i odpoczywał ze spokojem. Usta były prawie zamknięte, na czole wysokim, silnie zarysowanym tkwiła jakby rozważa, jakby namysł. Dopiero nachyliwszy się można było zobaczyć szkliste, nieżywe, niebieskie oczy...

I tu Tomek zamierzył się przetrząsnąć kieszenie zabitemu biedakowi, popatrzywszy wszakże na słońce, zaniechał tego zamiaru, wypluł komara, który mu się plątał między wargami i skierował się ku wałowi wiślanemu.

Był pełen nadziei i wigoru, ale na przeprawie spotkała go niespodzianka. Przejeżdżała tędy niezliczona ilość furmanek — i jemu już błysnęły oczy z chciwości, błyskawicznie w myśli wybierał co lepszego wierzchowca, a tu go nagle odtracono od przygodnych znajomych i zatrzymano na punkcie kontrolnym.

Tomek machał ręką poprzez niebieską Wisłę, poprzez niezbytki most za żołnierzem, u którego targował konia, a tymczasem oficer sowiecki z dwiema dziewczuszkami w mundurach ścigał z niego najzwyczajniejszy protokół.

Tomek patrzył w przeźroczystą wodę i nie widział wcale swoich długich, pokrytych błotem stóp, swojego podejrzanego plecaka, swojej szklistej łysiny, widział tylko surowy wzrok oficera i czuł żal, żal straszną, że nie może pobiegnąć za końmi, które mu się tak podobały.

— Niemcy mi zabrali obydwie konie! Niemcy są w tej wiosce, ja muszę tam być — powtarzał bez ustanku.

Skamlał i u pułkownika, który właśnie przejeżdżał w odkrytym aucie — i wtedy dopiero otrzymał pozwolenie na przejście przez most.

Huki słyhać było tu jakby dalej, ale przecież Tomek, skoro tylko wyszedł za Wisłę, ujrzał, że pożar wybuchł za ledwie

o jaki kilometr stąd. Topole miejscami tu wystawały pocięte — tkwiły spalone czołgi, walały się kosze po amunicji.

Front tu był chyba o kilka kilometrów — auta i wozy szły tu zamaskowane bocznymi drogami, żołnierze ciągnęli też gęsiego i często pod krzakami przystawali. Tomek pchał się z taborem, zaganiając swoimi dużymi stopami po trawie i na zmrok dotarł do drugiej linii. Od razu poobchodził wszystkie zakamarki, dopytując się o konie i trafił rzeczywiście na okazję.

Dwóch sybiraków, chłopów wysokich na schwał, rezolutnych, zawiadanych, zaofiarowało mu klaczkę piękną i młodą, zażądało tylko dwóch litrów wódki. Tomek spojrzął w niebo śliczne, błękitne, na auta stojące pod śliwkami, na rozebranych kompanów i odstawił swój plecak.

Jeden z sybiraków przyprowadził klaczkę skarogniadą do płotu, przy którym siedzieli, — jakże było odmówić? Rozkorkowali pierwszy litr, przy drugim poczęli dyskutować o polityce — kiedy przyszła kolej na trzeci, przechodząca warta zabrała Tomka na przelegitymowanie do pułkownika.

Tylko, że był pijany bardzo, nie martwił się. Stał na dworze z odkrytą głową i kiwał się sennie. Przestał się wszakże kiwać, gdy znowu puszczono go na wolność. Zaszedł pod płot, gdzie stała klaczka i rosły śliwki, a tu okazało się, że nie ma ani sybiraków, ani niczego innego!

W pierwszej chwili nie dał wiary, sądził, że pomyliło mu się w głowie — następnie przecież począł beczeć. Skamlał znowu i wyblagał u pułkownika przepustkę do pierwszej linii, by szukać swoich koni i straconej wódki.

Teraz już nie był nastrojony entuzjastycznie i pełen nadziei, przeciwnie — ostro skupiał się w sobie i roił o odegraniu się. Dzień znów był czysty i gorący. Po bokach odsłaniały się pożary, paliło się i za Wisłą. Wieś, do której wstąpił Tomek, była prawie bez wojska — poza tym też mocno pusta.

„Do diabła, gdzie oni się biją? Linijo tu przecie jest o dwa kilometry“ — pomyślał. Zobaczył naraz sad tak piękny przy jednej rozwalonej na pół chałupie, że zatrzymał się, wylaźł na jabłonce i począł zajadać w najlepsze różowe jabłka.

Byłby tak siedział ze dwie godziny, ale strzał niemiecki, który znienacka padł tylko może o 100 metrów w kierunku Wisły, zaniepokoił go i zmusił do położenia się pod jabłonce.



Palilo już słońko i mrówki szybowwały po piasku. Macając się po łysinie, Tomek podniósł się i poszedł w kierunku chałupy. Izba była pusta — łóżka stały obdarte z pościeli i kot tylko bury, leniwy chodził po podłodze i mruczał gniewnie na muchy, siadające mu na oropiałym uchu. Gospodarze widąc uszli przed strzałami, ale jakoś wszystkiego nie zdążyli zabrać — leżał chleb, stało mleko, kawałek słoniny sterczał w szafie, poza tym wreszcie za skrzynką w samym kącie kuchni spoczywały piękne półbuty męskie.

Rozradowany przygodą Tomek najsampierw wpakował półbuty do plecaka, potem zjadł słoninę z chlebem, wreszcie zabrał się do skręcenia papierosa.

Zapalił już, ale nagle strzał wyrzwał chyba o kilkanaście kroków, bo tynk osypał się z powały i szyby wyleciały z trzaskiem. „Nie dobrze, ten sukinsyn Hitler bije coraz ostrzy“ — szepnęła Tomek, bladej zresztą jak ściana.

Wychylił głowę ze sieni — po ulicy wsiowej ukrytej w sadach pędziły dwa wozy z amunicją w całym rozbiegu — tuż obok leżał żołnierz i wymachiwał skrwawioną, pociętą dłonią, jęcząc. — Którędy najbezpieczniej na Samborzec? — zawołał po rosyjsku starszy, siedzący z tyłu pierwszego wozu.

Skrwawionego żołnierza porwano naraz i ułożono na słomie na trzecim wozie, który się tu skądś zjawił. Na Tomka wystąpiła gęsia skórka, ale wyszedł i począł się skrobać po głowie.

— Konie macie do sprzedania? — jąkał się. — Konie macie?

— Droga na Samborzec? — krzyknął znowu starszyna.

— Jo nie wiem, jo tu po konie. Germańcy mi konie ukradli.

Wozy w rozbiegu skręciły na łączkę w pola — zdala dochodziło rzenie koni, zabłąkanych czy rannych.

„Hej, zdobędę konika — pomyślał Tomek. — Zdobędę, jak mi matka miła“.

Przeszedł pustą ulicą wsi, wyludnioną zupełnie i dopiero pod szkołą natrafił na grupkę żołnierzy w okopie.

— Co, tu front? — spytał się, znowu głupio drapiąc się po głowie i myszkując burymi oczyma po niebie.

— Da, da — odpowiedzieli nieogoleni, pobrudzeni żołnierze. — Za wsią w lasku są Niemcy...

— Naprawdę? Jak się to dzieje — jo nie rozumię. — Jak

osa, kula zagwizdała mu przecież koło ucha — i tu dopiero zrozumiał. Skulił kark i skoczył do okopu od razu.

— Sukinsyn, sukinsyn! — bełkotał. — Patrzcie go!

Dopiero po jakiej pół godzinie rozpatrzył się w położeniu. Za domami, za polami, za stojącym jeszcze w pełni zbożem wznosiło się wzgórze, a z boku niego stała niewielka dębina poprzeplatana olchą i brzozami — tam okopali się Niemcy. Na lewo obydwie wsie — jedna w wąwozie, druga na nizinie nadrzecznej były w ręku Rosjan. Wieś pierwsza była prawie cała spalona — dymiły się zgliszcza, raz po raz po strzale wybuchał jeszcze ogień na krańcu zachodnim. Tomek drząc, począł z powrotem kręcić papierosa.

— A koni tu nie ma? — spytał. Począł skamleć i znowu opowiadać, jak go wykpił sybiracy.

— W dole, gdzie jest olszyna, stoją trzy konie lekko ranne. Idź tam, durak i weź sobie — powiedział najmłodszy żołnierz, płowowłosey, z szerokim, zabawnym nosem i wzięwszy od Tomka tytoń począł też kręcić.

Tomek cały dzień wybierał się do tych koni, ale go przy każdej bliskiej eksplozji zimny pot oblewał i odkładał wyprawę. W oczekiwaniu zastał go wieczór. Gdy ściemniało, nagle poczęła napęlić się wieś taborami, przywożono amunicję i jedzenie. Od strumienia w kierunku na Olszynę odezwała się nawet piosnka. Tomek wyszedł z okopu, zachęcony radośniejnym nastrojem i rozglądając się na wsze strony, szukał łączki, na której miały stać konie.

Szczyście mu sprzyjało, przeszedł odległość bez wypadku. Obmacał z kolei jednego wałacha i skonstatowawszy, że ten jest lekko zadrapany tylko w szyję, wgramolił się już na niego z plecakiem, gdy naraz zastanowiło go jękliwe mruczenie samolotu w górze. Nie zdążył ani kopnąć konia piętami, ani rozzejrzeć się, w którą stronę ma jechać, kiedy znowu tuż, tuż zawisła rakietą w powietrzu.

Wieś nagle z wozami, z drzewami lekko poruszającymi się na wietrze, z kominami chat odsłoniła się niezwykle jasno. Wozy i ludzie poczęli niknąć w sadach, ale tymczasem rozbłysła już druga i trzecia rakietą i z suchym przeraźliwym szumem upadło kilka bomb. Równocześnie od strony lasu

poczęły bić czołgi niemieckie i zapaliły chałupy na wchodnim krańcu wsi.

Tomek znalazł się nagle w kręgu ognia z koniem i nim pojął co się dzieje został sam ostrzelony gwałtowną salwą. Chciał jeszcze jechać, ale koń rżał, kręcił się i raz po raz zrywał się, pędził wprost ku Niemcom w sam ogień. Odchodząc od przytomności, Tomek zeskoczył na ziemię i odbiegł chyłkiem w olszynę kilkanaście kroków. Samoloty niemieckie zrzuciły teraz bomby co chwila na wieś — artyleria sowiecka biła znowu z szaloną szybkością. Przytulając twarz do błota, Tomek bał się patrzeć. Każdej sekundy spodziewał się śmierci i tylko jęczał i przy każdym wybuchu nakrywał kataną głowę.

Dopiero rano nacięła bitwa — kontratak niemiecki załamał się, wojska sowieckie wbiły się o kilka kilometrów dalej na zachód stąd i Niemcy zmuszeni byli się cofnąć.

Na polu bitwy leżało kilkanaście rozbitych wozów, kilkanaście rozdartych straszliwie, zmasakrowanych koni. Poza tym znów słońce świeciło i skowronki, jak zawsze śpiewały.

Tomek, patrząc z daleka na trupa wałacha, na żołnierzy skulonych w okopach, nagle zaczął pełznąć na wschód, a skoro się dostał za olszynkę, porwał się na nogi i jał chyłkiem uciekać.

Jeszcze tego dnia przeszedł Wisłę i jeszcze tego dnia wrócił do rodzinnej wsi.

Patrzcie, Tomek prowadzi konia! — śmiał się krzywo stary Burdza.

— No, Tomek, gdzieś u jakiego parobka zostawił klaczkę? Synowa stała spłakana i tarła oczy.

— Zostawiłem uwiązaną u chłopca za Wisłą. Wrócę po nią, tylko pieniędzy wezmę — zaburczał naraz Tomek. — Poza tym kupiłem buty.

Otarł łysinę, zdjął plecak i nagle ziewnął.

— Franka, daj kwaśnego mlika — przecież zasłużyłem, buty, klaczkę kupiłem. Stoi psiachmac uwiązano u jednego chłopca u wirzby.

Poszedł jeszcze tego dnia za tą klaczką, ale już nie na linię, a za front w kierunku południowym.

## KŁÓTNIA

(fragment powieści: „Ludzie pustkowia“).

Wiosną pierwsza kłótnia powstała między sąsiadami o szkodę jaką robiły kury ubogiego Bosonia w zasiewach Drabasowego pola.

— Do cholery, pozawierojcie se te kury, abo powiążcie na powrózkach — począł kłać pewnego dnia Drabas — bo jak nie, to wam je wszyćkie wyzabijom!

— Dejciez spokój, bo przecie je zganiomy, kiej ino wlażo — usprawiedliwiała się Bosoniowa — a ze ta casym kóro grzebnie nogą po zasiewie, to wos przecie cheba tym nie styro. Zreśtą za te skode to wom co pomogymy robić we żniwa.

Drabas począł się dąsać. — Styro, nie styro, nie puscojcie na moje, bo jo na wase nie puscom.

— No bo wy macie kole chałupy syroko i ogrodzono dokoluśka.

— To se i wy ozsyrzcie i ogródcie, jak wom zazdrość!

— Nie ugryzojciez mie, bo przecie daje kurom zryć.

— Jakbyście dawali, to by nie leciały zarozicki w zasione zboze.

— E, godocie tak, kiebyście rozumu ni mieli, jak na przykład te kury, co kaj bądź grzebno. Was pies to im wcięż z korytka wyzyro, a jo sie z wami o to nie swarze.

— Ale wy macie rozum, jak jo ni mom! — odciął urażony Drabas — i pilnujcie se kur, bo co insygo ni macie do roboty, dziady zatrzasłe!

— Wiecie, kaj mozecie dziadów pocałować?!

— Kaj, pokoz no, to cie zaroz pocałuje!

— Toli tu! tu! tu!

— Jak jo cie, chorobno omierzło pocałuje, to ci jaz gorzko bedzie! — krzyknął Drabas wygrażając jej pięścią. — Jo cie, dziadowo, nauce, jo cie pocałuje!

— Pocałuj mie, pocałuj, tu, tu, tu, zeby ci jaz łeb odskoczył!

— Ty zatrzasło dziadowo, carownico omierzło, jędzo przekłeto, chorobno parsywo, ty sie powozys tyłek do mnie wypucać!

— A co, może ci gęby nadstawić, hy?! Przyłóżeś tu pyskować, jak kura roz pazurami grzebnie na twojem polu!

— To im dej zryć, to nie bedo grzebać!

— Ty dej psu zryć, to nie bedzie loto! po cyik sieniak za zarcie!

— Hoho, mój pies więcy mo zarcio, jak ty, suko, co juz ledwie zipies od biedy, a swarzyć to sie umies!

Bosoń wyszedł przed chatę i zawołał na żonę:

— Pódź, babo, do chałupy i nie sworz sie, bo ni ma o co!

— Tak, tak, zawrzyjcie jo se do chlywa i przytrzyjcie jej pyska! — zawołał Drabas — a nie, to jo ją muse przykarcie!

— Mocie swoje labaruche, to jo se bijcie!

— Ty dziadu niemiły! Wies ty, ze twoja sucho jędza to nie worto moi babie przy tyłku stanąć!

— Idź, pieroński świętosku, skąd-eś przysed i nie pyskuj, bo ni mos o co!

— To mi nie puscoj kur w skode, ino im dej zryć!

— Ty dej psu zryć, niek nie wylizuje koryt po wszyčkik sieniak!

Z najbliższego domu sąsiada wyszła cała rodzina na podwórko.

— Nasłuchojcie sie ludzie! — zwróciła się do nich Bosoniowa — on tu przysed sie swarzyć z nami i dziaduje nos! On nie dziad, a morzy psisko, ze biedne ino tym zyje, co kaj kurom z koryta plewy wyzre!

— Jak sie tyz, pieron nie wstydzi i Boga nie boi tak zywym psisko morzyć! — wołał na przemian Bosoń. — Jaz przecie zgroza słychać jak to psisko wyje, a on godo, ze na wojne wyje, a nie do mu zryć! Bedzie widać wojna, bo mój pies wciąż wyje! — przedrzeźniał go. — Dej mu zryć, to nie bedzie wy!

Drabas uderzał się w pierś zaklinając: — Jakem katolik, jak Boga przy śmierci pragne, przysięgam, ze jak jesce roz popadne kury na mojem polu, tak do jedny wyzabijom.

— Tyś katolik, aleś sto razy gorsy od kalwina, lutra, cy heretyka.

— Ty psi męcycielu! ty Judosie! faryzeusie! kałmuku wściekielski! — wołała na przemian Bosoniowa. — Mozebyś i ty z koryta wyzyroł, jak twój pies, hy? Bedzie widać wojna, bo mój pies wyje! — przedrzeźniała go.

— Mozecie mi kaj powskakować, dziady zatrzasa! — wrzasnął Drabas odchodząc do domu.

Po tej kłótni Bosoniowa trzymała kury w chlewiku, a jeśli je czasem wypuściła, to poleciła dzieciom pilnować je. Drabas wychodził często w pole pilnie strzegąc swych zasiewów. Do sąsiadów powtarzał dumnie: — Widzicie, jak to dziadom pomogło, zem sie naklon na nik... Z dziadami to sie trza ostro obchodzić, to sie ustatkują... Muso se całe lato trzymać kury w chlywiku. Zeby dziady miały krótsze jęzory, to by im lepi było...

Bosonowie chcieli sie przecie potargać od złości za takie pyskowanie i na przekór kałmukowi wypuścili jednego rana kury w jego zasiew. Drabas właśnie klęczał przed obrazami i odmawiał pacierz, gdy z podwórka weszła żona mówiąc:

— Bartek, bo Bosoniowie kury w samym środku nasycgo pola.

— Zaraz tam lece — z kijem — przerwał chłop i jał szybciej odmawiać modlitwę. — ...Dziesięcioro Bożygo przykozanio. Jo jestem Pon Bóg twój...

— A uwijojze sie! — przynaglała go żona.

— Zarozicki... „piąte nie zabijaj... jo je tam wszyckie wyzabijom... szóste nie cudzołóż... W imię Ojca i Syna i Ducha Świętygo... dej no mi ta, babo, mieloka... Ofiaruje Ci tyz tyn pacierz... — szeptął prędko, pędząc w pole z mielakiem w rękę. Po drodze podniósł też parę kamieni.

Gdy dobiegł opodal stada kur, zwolnił nieco kroku, zaszedł od strony chaty sąsiada i celnie rzucił za nimi; dwie padły w miejscu, a trzecia z przetraconą nogą uciekła wraz z innymi.

Przed chatę wyskoczył Bosoń, a za nim żona, ku którym sąsiad rzucił zabitą kurę i wyrzekł gniewnie:

— Nycie na rosół, bo już ledwo ziewocie od biedy. Pokrzepcie sie troche.

Bosoniowa załamała ręce: — o ty kałmuku, psi męcycielu, a cóżeś ty zrobił tym kurom?!

— Jo wszyckiem tak zrobie, a na ostatku i tobie, dziadowo, wies, jak mi bedzies dali robić skode!

— Jo tobie łeb ozbije! — krzyknął Bosoń.

— No pódź, dziadu, haw do mnie, pódź!

W tejsze chwili przybiegła tam żona Drabasa i wszczęła się kłótnia jakiej jeszcze nigdy w Pustkowiu nie było.

— A wy dziady zatrzaśle, skodniki, krzywdziciele! — wołała! — Cóż wy se myślicie, że nos styrocie?!

— My wos nie kcy my styrać, ino wy nos, bo nom kury zabijocie!

— To im dejcie zryć i nie puscojcie na cyje!

— Wy psu dejcie zryć, niek naszym kurom nie wyzyro z korytka!

— Kaj, kiej?!

— Zawdy, w każdziuskie rano!

— Zebyś sie tak na sto łokci pod ziemie zapadła za to cygaństwo!

— Tyś sie juz downo powinna zapaść na tysiąc łokci, ino, ze Pon Bóg za bardzo cierpliwy i trzymo cie tyli cas na tym swiecie!

— A ciebie, choćby Pon Bóg kciół trzymać, to i tak zdechnies! — odciął Drabas — bo juz przednówek wnet bedzie!

— Nie bój sie, kałmuku, bo do ciebie po chlyb nie póde!

— Bo bym ci nie doł, choćbyś przysed!

— Jo bym sie udowił twojem chlebym!

— Hoho, teraz byś sie, dziadu, udowił! — wołała na przemian Drabasowa — a dotykcos to my sie ni mogli ograć przed wami!

— Kiej i z cym, godoj, labarucho, smotrucho ozkostrząbiono!

— A zawdy i ze wszyckiem! Całe lata my wos dozywiali i wasyk baków!

— Zeby ci jęzor kołym w pyziorze stanył za te posądzenia! Zeby cie zaroz ozerwało na kawołecki!

— Ciebie powinno było ozerwać, jakeś zyrała u nos!

— Hoho, ty byś co komu dała choć oblizać, a jakze. Ty byś jesce komu z gardła wydarła, zebyś ino mogła!

— Tobie moze, sucho jędzo! — wrzasnął Drabas.

— A wydar byś, wydar, świętosku! — odciął Bosoń. — Do kościoła chodzisz, posadzke całujes, klepies pocierze na różańcu, a i tak cie diabeł nie opusco i juz cie wnet porwie do piekła.

— A cóz ty, dziadu, myślis, ze ciebie anioły wezno do nieba?!

— Nos anioły wezno, a wos diabły! — krzyczała Boso-niowa. — Modlicie sie, choroby przekłete pod figurą, a diabłów macie za skórą!

— Dziadówo, aniś u wielganocny spowiedzi nie była, bo ni mos co wdziać na swoje parsywe cielsko!

— Wyście oboje byli, a gorsiście sto razy od tyk, co nie chodzo! Tak to ksiądz kazuje robić bliźniemu, jak wy robicie, hy?! Jakeście sie ta nie udowili tą Świętą Komuniją! Jak wos ta Tyn Cudowny Pon Jezus nie skorół, zebyście trupami padli przed ołtarzem!

— Wos juz wnet skorze i popodocie trupami, ino przed-nówek nadyjdzie!

— Tu mi pogodaj labarucho!

— Ty mi tu pogodaj, jędzo, żabo parsywo, jascurko, żmijo jadowito! Ale tyz mos to żądło, mos, zebyś nim wszyčkik ludzi uśmierciła, zebyś ino mogła!

— Ty maskaro, gnojówko, smotrucho, juz śmierdzi gno-jem od ciebie, jak od tworza!

— A od ciebie trupym śmierdzi sucharo kościsto! — wołał Drabas. — Ledwo zipies od biedy, a ziorać to paradziś na cało zdechnies i będo ludzie mieć spokój!

— Ty zebyś zdech, to by ludzie mieli spokój, a diobły ucieche z twoi duse! O, żgali by jo tyz zelaznymi widłami, sarpali pazurami i zębami! Tak bedo diobły twoje duse gonić po piekle, jak ty nase kury po polu!

— Tak wom bedo diobły robić, użrys! — wołał Bosoń. — Ty myślis, ze ci Pon Bóg daruje to, co na tym świecie z ludziami wyrobios?! Hoho, nie cies sie, ze cie ta świętokradzko spowiedź zbawi, abo to całowanie posodzki i różaniec! Świętosek zatracony, jak wlezie do kościoła to już tak miłosiernie patrzy do ołtarza, tak rącki składo, tak wzdycho! — wołał Bosoń, naśladowując ruchy Drabasa w kościele.

— Dziadu, nie klękoj, bo nie wstanies, coś taki słaby od głodu!

Bosoń klęcząc wyciągał złożone ręce do góry, to znów ude-rzał się w pierś, wzdychał i całował ziemię, przedrzeźniając tym pobożnego sąsiada. — O, Jezus... o Matko Bosko... Boże, bądź miłościw mnie grzysnymu...

Drabas znów otwarł usta jakby dla zaczerpnięcia powie-



trza, opuścił ręce i słaniając się na nogach, udawał osłabionego, wtórując tamtemu! — Już tak, dziadu, łazis, tak! — pokazywał odchodząc w stronę swego domu. — Pódź, babo, do chałupy — zawołał na żonę — bo sie lepi tą parą posilić, jak sie odzywać do tyk obrzydłyk dziadów, obstrzępańców! Tyn strach za stodołą w konopiak przecie lepi od nik wygłada!

Drabasowa już odchodziła; lecz odwróciła się jeszcze wołając: — Uciekajcie, oberwane dziady, do swoi budy, bo was sie jesce ludzie poprzelękajo! Dziady! wsorze! Tfy, tfy, tfy, jaz na sto mil śmierdzi od was!

— Tu, tu, tu, żabo parsywo mi pogodoj! Tu cie mom, tu, wies!

— Dziadówo, nie klep sie po stargany kiece, bo ci sie do reśty oźleci!

— Tu, tu, tu mi popyskuj tym długockim jężorym!

Drabasowa przestała się kłócić i podążyła za mężem do domu.

Bosoniowa płakała o zabitą kurę, a mąż kłął: — Pieroński świętosek!... To jo jego psu nic nie robie, choć wciąż z koryta wyzyro, a on mi kury zabił!... Zackoj, jo ci tu zrobie!... Wyszukał kawałek drutu i począł go ciąć na drobne kawałki.

— Cóz ty robis, hy? — spytała go żona.

— A lykarstwo lo Drabasowych krów.

To kres widać te kawolki ozciepać po jego łące..

— Zgadłaś.

— A moze to grzych męcyć niewinne bydłeta.

— A kurom ubijać nogi i zabijać je — nie grzych?

— Wszyćko grzych.

— No to jak on sie nie boi Boga, a jo sie mom boć? Jak on pójdzie do piekła, to i jo tyz póde za nim.

— Wies, chłopie, lepi sie kaj przypilnuj wiecór na niego i wkrop mu porządnie, a krowom dej spokój.

— Godos, babo, jak głupio. Wies ty, siela jo bym musioł siedzieć w kozie za nigo, jakby mie tak poznoł?... On by przepłacił adukanta w sądzie, bo go stać na to, a jo za co bym sie bronil, hy? Cheba, zebym sprzedol te potargane portki...

— Juzci prowda — przyznała kobieta.

— Ciepne to hań na jego łące, niek mu krowy pozdychajo... On mie skrzywdził, jo go tyz skrzywdze... Jak on sie

nie boi Boga, to i jo sie nie bede boł... Lo mnie tyła znacy kura, co lo niego krowa, bo jo biedok, a on bogac... Oko za oko, ząb za ząb... Jak Kuba Bogu, tak i Pon Bóg Kubie.

Za chwilę wziął przygotowane kawałki drutu i udał się w stronę Drabasowego pastwiska. Wtem przypomniał sobie, jak to raz widział stękającą krowę i lamentującą jej właścicielkę z małymi dziećmi. Zawahał się co ma zrobić. Przystanął rozmyślając o tym.

— Ale tyz wtedy biedne babsko płakało w niebogłosy i za włosy sie targało, ze jej dzieci ostano bez kapki mlyka -- wyszeptał cicho. — Drabaska by tyz tak płakała ze swojemi... Nie, tego bym nie zbołoł, zeby kto z moi winy płakoł i cierpioł biede bez mlyka. Tak, Drabas mi zaloz za pazury, ale cóz mi winne jego krowy i dzieci?... Niek go Bóg'karze, tego drania... jo sie nie bede na nim mścił... On to sie mści na mnie... A moze to i nie zemsta, ino go złość zebrała, ze mu to kury skode robio. A w złości to ni ma miłości... Mnie tyz w złości diobeł podkusił do takiego ciężkiego grzychu... W imię Ojca i Syna i Ducha świętego — przeżegnał się. — Boże, daruj mi tyn grzyszny zamiar — westchnął głęboko i szybko wrócił do domu.

LEON POKORA

## JAK PRÓŻNIOCYSKO CŁEKIEM TWÓRCYM ZOSTOŁ

Jak można, ludzie kochane, robić w tym polu! Żodny nie widze jo tu uciechy... Słońce cie spryca, dyszcz osika albo i zciapie, a cóz z tego, cóz?

Nic. Zmajstrujesz coś cłeku, albo co, rzecz nową, jakąś na świecie... Pycioj w ty świnty zimi, rób jedno i to samo — od poczontków świata. Nikt cię nie pochwoli, nie powie ci, ot zuch, wymyćloc! — mawiał tak sę cięgiem Józek Ślusarski, gdy go kto doganioł do cepów, wideł, cy pługa. A kto go tam słuchoł! Wiadomo, próżniok od pocudu świata, robota się mu kucy, i to zmyko a mamroto. Żeby to mamrotoł a szedł, jak to robi niejedyn, to jeszcze nic — ale te juche nie naprow-

dzińke nie wystyniuleś do roboty! Chyba — że napocon tylko i broł się za drugą, by ją znów kidnąć. Już brała żalność patrzeć na jego robotę! Łaziuł jak ta mucha w mazi, przeciun-goł się, ziwoł. Kuźdyn nie chcioł z nim robić, bo jak zocnie kawynkać, molestować, to bierze sie wreszcie to do serca, zacyno słuhać, cy słońce parzy, a snopek woży — aż bedzie wożył jakby z ołowiu był — i kuźdyn ma chrape se lic albo i wioć od roboty; na śmich całyj wsi! Bracio jego, robotne chłopcy, długo nie dawali mu abkadusu, chcieli go nawrócić na porządneho chłopca, ale popatrzyli że go myncu jak diabli dusę w smole — i nie mieli sił słuhać wreście jego wyrzykań. Leżoł więc sobie Józik gdzie na sianie, alboli w piosecku za stodołom, gdzie było nojciepli. Kłuło to ludzi w ocy, bo to i nie jedyn chłopak dawoł przytyk swymu rodzicowi, że jeń jak kuń tyn ciągnie, a innym to sie lubo powodzi; radzono więc staremu Ślusarskiemu by odpiun paska i werznuł mu na gołą. Ale stary nie chcioł robić jarmarku przed śmierci, a wiedzioł, że jak amyn w pocirzu, nie pomoże to huncwotowi, więc molestowoł, przytakiwoł, urzykoł, wie jakiego hołysia wychowoł, że go za młodu nie utopiuł, ale wreście dodawoł: A niech ta! Ja za niego płakoł nie bede! Póki żyje dum mu żryć, późni niech zdycho, kiej nie chce pracować. I tak szedł sobie czas. Józik stawoł się kawalyrem, ale po prowdzie to mało się odminiuł. Łaziuł po lesie, wiwiurki straszuł, ziwoł i społ, nic go nie cieszyło ani obchodziło. „Un jest dopiro szczyńśliwy“, urzykały chłopoki, co to zapordane były w robocie, zaharowane jak te żydowskie śkapy. Ale Józikowi snać nie widziało sie i na swobodzie, bo roz, jakosić na jęsieni — przysed do ojca, pocałowoł go i mówi jak nic: „Idę sie wisać“. Ojciec ozdziwiuł chape, przeżegnoł się szeroko i... jak odposze paska! jak zacznie go łoic gdzie popadło, wykrzykiwać jak wściekły: „żreś, łazis swobodnie, wisać się chcesz nicpuniu!? Takiś, jo cie pozajme... Dum ci wciry, o dum! Odgunie ci muchy...“ Józik poszedł potarmoluny — spać. Nic nie pomogło rzucanie się starego, bo teraz był chłopym starym, to i co się tam — bał kogo! Ze starego, lektryka wylezła, pomiarkowoł że taki grzyśnik to co może i jego wyprawić na lepszy świat... I było znów jakieś casy cicho. Józek jod razym z innymi, ubiroł się — a o robocie ani dudu. Jedyną robotą były spacery do lasu,

gdzie sie waluł pod świerk i społ w mechu — późni wyciungoł kliszcze. Roz, idzie jak zwykle miedzą i widzi, że jego brat loto po polu spopuniony jak mysza; znosi snopki w mendle. Popatrzuł się, popatrzuł Józik, przystanął obok brata i pyto: powidz Tadek, cego ty lotosz, jakby się paliło?

— Jakto cego? Snopki składam!

— To cego nie nosisz je wolno?

— Idźże gamuniu jedyn! Bedziesz tu mnie zabawioł! Muszę się zwijać, by wyrobić za siebie i na ciebie — drania!

— O wa! nie rób. Ale chce jo się spytać: Jak ty człowieku możesz tak zawdy robić, gdy wiesz że ci z tego nic się nie zawiąże... Wytrzymać takie myncarnie?!

— Myncarnia — snopki nosić? Samo nie przyjdzie, o nie. Ale sie to zawiąże, że i ty i jo mowa co żryć! Trzeba jeść — trzeba robić. Nic sobie nie krzywduje. — To jo to tyż wim. Wim jak idzie wsyćko. Mnie aż wos żol... Ale cóż pomóc ni mogę, bo mnie aż ścisko kiej robię. A to lotego ze syćko takie marne, nieciekawe... Żeby to robić coś... coś takiego... bo jo wim — inakszego, wciąż nowego. Żeby człek nie był więźnim, zapumnioł że brzuch tylko pracuje. Mówie sobie: „Jak nie bedziesz robiuł — zdechniesz przecie“ i nie pomogo.

— Boś sie opróżniacuł jak dziod. Folgowoł ojciec — a ty rozpuściłeś się i skapcianołeś. Albo ty to znów inacyj chowany. Tylko że mosz inny pomysłunek.

— Jo miołbym tak siedzieć jak ty! Ze wstydu bym sie spaluł. Nie wytrzymałbym nawet.

— Albo to jo mogę wytrzymać? Toż wisać sie chciołem...

— Prawda może i ty nie taki szczyńśliwy... Ale bez cóż chciołeś to zrobić? Co ci jeszcze zawodzo i co jeszcze chcesz od świata?!

— Wiele gadać. Najgorzy to nie robić. Aż mnie cholera bierze. No i to, że niby wom zawodzać trzeba... być jak pyrz na polu. Cy chce co? Jo wim? Coś chce, ale nie wim czego.

Coby to było, gdyby... mnie tak ktoś zabronił robić. Pazurami bym go darł. Orać... znać złocistego zboża... Choć tyle się człek nacieszy... o bidzie zapomni! Orzesz na zboże, żeby urosło w pas bujne, naźniesz dużo kop, czekosz, żeby dobrze sypało. Najpierw słodko nadzieja, późni radość zbiorym. Cieszy się człek, co mówić, z byle i bławatu, że te kwiotki, osy, trzmiele, na jęgo polu — jęgo są!

— Róbtá se — rozeźlił się Józik — mnie ta to nie cieszy! I powlókł się w las, choć chmura wylazło corno i na burze się miało. A brat jak fryga wartki, znosił snopy, stawiał mende, półkopki i myśłoł, myśłoł. I wymyśłoł.

Za parę tygodni Józika już nie było w piosecku za stodołą, a wrony krakały ze trzy dni ze zdziwinio, że go tyż nimo pod świrkiem.

Wysłano go do miasta, na naukę.

Nie cieszył się Józik, prawie markuciuł, ale pojechał. Przez parę lat ani go kto widziół na wsi. Bracia z roz tylko zajrzeli, a tylko ślali mu pieniądze, jako że kolej była drożyńko.

Dopiro za parę lot przyjechał do ojca. Wystrychninty, elegancki i... i wesoły. Chłopy się ni mogły wydziwować taki był farki, obrotny, rozmowny. Nie długo chciół tu bawić. Pojechał do miasteczka, gdzie zakładać chce warsztat. Ludzie wiele o tym mówią. Co z niego i za majster, taki próźniac. Roz dwa roboty na cas nie zrobi i kto do niego zanie sie!

Sami bracia nie dowierzali i tylko patrzyli, jak sie do nich wniesie i wybierze w pioch za stodołę. Ale sie wszyscy omylili. On robiu!

Ale jak robiuł. Trzebaby chyba dwa razy dłuższego dnia żeby mu wygodzić. Wszyscy chwalą że robota nad dziw solidno. Nie tandyta a jakoś štuka, majstersztik. Żeby tak wszyscy robili, toby w butach sie chodziło po pić lot — i to jakich butach! A ubranie by było nawet lo parobka jakby lo hrabiego... Cóż by to nie było na nie innym ale na tym, solidnym nie tandytnym świecie. Ale to o Józiku mało. Sprowadzo narzędzia jucha. Chce coś wymyślać som. Wynalazki cudowne. Mówią, że już coś zrobiuł, ale kto wi. To tylko pewne, że łeb mo, kiedy dorobiuł się majuntku (choć go pono chce wcibić w te maszyny), i to z nicego, z tego ze robote robiuł starannie i w mig. I to wiadomo, że stary Ślusarski, dumny ze swego syna, opowiadó teraz z miną mądrali: Jo wom mówie. Są niby różne półgłówki, próźnioki huncwoty. I są to różne charaktery: malarze, pisarze, majstry. To darmo my ich do wideł... Kuźdyn ma talent, tyn do rynki mu daj za młodzi. Próźniok, cym winkszy — tym bardzi bedzie harowoł., im bardzi tylko ugodziłeś mu w chyńci. Będzie pracowity i szczyńśliwy — w tym cało rzec.

## PAŁAC

Kto wchodził do „pałacu“ Karpia, sołtysa Dąbia, ten mimo-woli, choćby częściowo przestawał być sobą; ta jego siła onieśmielania i wprowadzania chłopów w zakłopotanie, niepewność siebie leżała w nieswojskiej, niezwykłej innym gospodar-skim domom przestrzenności przedpokoju, gdzie pod ścianą przeciwną wejściu stało kilka ustawionych rzędem krzeseł; krzesła te narzucały nieprzyjemną orientację, że tutaj, zanim się wejdzie do środka, siedzi się jak w poczekalni, że tutaj zwyczajna, gospodarska serdeczność może okazać się śmieszną, czy wywołać chłodne zdziwienie. Owa siła usadzania z miejsca nawet rozgorączkowanego człowieka leżała w obszerności kuchni, nie zwyczajnej czystości i okazałości kafłowego pieca i w sto-sunkowo skąpej ilości mebli, sprzętów, — długi, nakryty ce-ratą stół, nie na środku, lecz z boku, pod oknem, kredens w kącie i długa ława pod ścianą naga, bez obrazów świeckich czy świętych; odnosiło się wrażenie sali niemieszkalnej, gdzie nie ujawniało się nic z codziennej popolitości życia mieszkań-ców, gdzie należało wejść, pobyc chwilę i spieszenie iść dalej, gdzie nawet domownicy bywali jak gdyby chwilowymi gośćmi, przechodniami. Osadzało cię z miejsca i zachowanie się do-mowników: sztywne, dumne ruchy i chłodne milczenie; z ich rozmów w obecności obcych ludzi wiało coś bezosobistego: — my jesteśmy i chcemy być dla ciebie tylko „figurami“, tak a tak wyglądającymi postaciami — ty zaś jesteś nie tym kimś, którym jesteś, lecz sprawą, którą spowodowała twoje wejście tutaj. I przeto, wbrew zwyczajnym towarzyskim nawykom wchodząc tam, z miejsca zaczynałeś: chodzi mi o to a o to...

W wieczór ów, po tej wizycie gestapa, wielu przychodziło takich, którym chodziło o to a o to. Przewidział to sołtys; zawsze gdy zdarzyło się coś osobliwszego, napływowi ludzi nie było końca. Sołtys rozumiał dobrze, że nie chodzi o to, o co chodzi; mógł sobie przeto pozwolić na uchylenie się od handryczenia się z nimi; najwyżej odchodzili źli, niezadowoleni z potraktowania ich jak włóczęgów; od takiego zaś niezado-wolenia ani krowa nie padnie, ani dom się nie zapali, a córka jego piękności nie straci.

Penetrował po zabudowaniach gospodarczych: pastuchowi Jaškowi przeliczył pieniądze ukryte w słomie na pryciu; załała go fala ciepła, gdy okazało się, że pieniędzy jest o trzy złote więcej niż znaleźć się spodziewał — musiał coś ukraść, stwierdził. W stajni — klatce rozplodowego buhaja nie nadało mu się pościelisko ze słomy, że było zbyt zagnojone — pomedytował chwilę nad kawalerami służącej od bydła, do których ona według informacji pastucha co wieczór wychodziła pod kopy za stodołę; nie, brzuch jej nie rośnie, a co do buhaja, zakomunikuje jej wieczorem, że nie robi się tak jak należy, że trzeba dbać nie tylko o kawalerów dwunogich, lecz i o tego pożyteczniejszego trochę, czteronogiego — boć pożytek z niego był również i jej pożytkiem: po pierwsze, mając troskę o bydło, służąc u sołtysa nie poniewierała się teraz po Niemczech, po drugie jadła chleb, miała nad głową dach. Że w obejściu służby, w ich odnoszeniu się doń tała się obcość a czasem nawet — dostrzegał to często, coraz częściej — wrogość, nie pojmował: ci ludzie urodzili się wszak wśród gnoju, gnój ich wychował, umieli akurat tyle, ile wymagała praca nad gnojem, a — robi wrażenie jakgdyby z gnojem nijak nie mogli się zżyć, jakgdyby istniały w nich pretensje do czegoś innego, niepojętego — do czego?

— Dziadku — chodźcie... ludzie na was czekają.

— To dobrze, chłopcze... ludzie zawsze powinni czekać; jak tak poczekają z godzinę, dwie — to potem... lepiej się z nimi rozmawia. Czasem zdarza się nawet, że sobie zapomną z czym przyszli, a poza tym niech wiedzą, że beze mnie niczego nie załatwią, to im też dobrze zrobi; to kończy się na szacunku, bratku... zrozumią: im trudniej rzecz załatwić, tym więcej dbać należy o tego, od którego załatwienie zależy.

— Czy zawsze jest dziadku, tak jak mówicie?... że kończy się wszystko szacunkiem? A pamiętacie tego o zboże — jak on się źlił, nienawidził was...

— Gdyby na świecie, chłopcze, nie było nienawiści, życie byłoby przeokropnie nudne, nie byłoby z kim walczyć, nie byłoby przyjemności zwyciężania, a co za tym idzie — przyjemności wznoszenia dostatku.

— Was jednak dziadku za dużo ludzi nienawidzi... dlaczego?

— Zwyczajnie, bo jestem bogatszy od nich, bo jestem... widzisz więcej życiowy od nich... bo...

— Dziadku, a czy to jest dobrze, gdy ludzie nienawidzą?

— Gdy się na nienawiści ludzkiej coś zyskuje — dobrze, gdy się traci — źle.

— Dziadku, ale to nie o to chodzi... gdy widzę jak ciebie nienawidzą — to... to jest mi jakoś nieprzyjemnie...

Karp milczał; chłopak ten śmiał zachodzić z nim w rozmowy, w jakie nie ważył się zachodzić nawet ksiądz proboszcz w konfesjonale, on również — choć może w innej materii — podobnie jak i służba miał pretensje do czegoś niepojętego... do czego? W czasach przedwojennych tej dziwnej choroby, której, od której specjalistami winni być tylko księża — nie obserwowano się; ten chłystek jest dla życia człowiekiem straconym — stwierdził.

— A wiesz ty, mój huncwocie, jaki jest zwyczaj u bogatych, ale takich bardzo bogatych Żydów? Gdy się urodzi chłopak taki jak ty, gdy zadaje się z myślami takimi jak ty — orzekają, że będzie z niego prorok. Nie psują mu krwi, nie robią nad nim gwałtu... pozwalają mu nic nie robić, tylko... myśleć. Musi on przy tym, choć to, jak zresztą ty sam osądzisz — nie należy do przyjemności, musi on umartwiać się, pościć, biczować się, nieustannie czytywać święte księgi. W ten sposób sprawa jest rozwiązana na czysto — on jest prorokiem, oni zaś, rodzina, są przeokropnie honorowani.

— Dziadku, ty jesteś mądry...

— No, ty zdaje się będziesz ode mnie mądrzejszy, tylko pamiętaj — ja, żeby być w zgodzie ze swoją mądrością, twojej mądrości finansował nie będę... tak jak ci Żydzi... Pamiętaj! Kto tam czeka na mnie?

— Andrzejka siostra, i Brendal, i...

— Co za Andrzejka, jakiego Andrzejka?

— Dyląga, nie wiecie?

— Nie Andrzejka, tylko Andrzeja!... Już się z tym komunistą i ty zwąchałeś!... Wymykacie mi się z rąk, rozłazicie się po tym parszywym świecie! Czyniecie akurat to wszystko, czego ja bym nie czynił — a nie zapytujecie tego, który na was pracuje, który karmi was chlebem, czy on tego sobie życzy...



Ale ujrzycie wy się kiedyś wszyscy jak ten święty turecki, nagimi, głodnymi, poniewieranymi — czas ten przyjdzie.

Wyszedł ze stajni. Poszedł do stodoły jeszcze; dlaczego Brendała, Andrzejka z jego siostrzyczką, tą... świat cały! — nie można powywieszać? Usiadłby potem na szczycie tego szubrawego cmentarza i... przestałby myśleć.

Chłopak usiadł na progu. Zapatrzył się przed siebie. Dziadek wydawał mu się wspaniałym, niepojętym starcem; skakało od niego do oczu jednak coś budzącego grozę: chłopak zdumiewał się nad wiele już razy pojawiającym się w nim raptownie pragnieniem uderzenia dziadka w twarz. Szczekał pies; nieustannym warkotem zakłócał ciszę wieczoru. Piotruś wzdrygnął się: dom, pałac sołtysowski patrzył na zabudowania, na niego, na psa i na czyste ciemno-błękitne niebo oczami widma zapoznanego w bajce i wielkoludach, w uszach dzwonił już, zdawało się, zapomniany szept, podsłyszany razu pewnego przy kościele: „ten pałac cementowany jest potem i krzywdą ludzką, tak“. Chłopak zerwał się, pobiegł ku otwartym wrotom, zatrzymał się, potem z rozpaczliwie rozstawionymi rękami począł biec prosto w upiorną twarz domu.

I pałac wchłonał go zgrzytem zatrzaskiwanych drzwi.

JANINA SOBIESZEK

### EWKA i TERESA

(fragment z powieści: „Na psa urok“).

Tereska Klimecczanka była tej zimy nieszczęśliwa.

— Nie chuchaj ciągiem na szyby, chorobę wychuchasz. Okno chcesz wybić? Nie biegaj po dworze, łeb rozłupiesz na ślizgawce, trepy zedrzesz. Nie plątaj się tu wedle garnków; bo ci łeb oparzę. Do miski się nie pchaj, starszym pierwszeństwo, bo pracują. O, ratunecku, wszystkim na zawadzie stoję, wszyscy mie ino chcą zjeść! — broniła się zawzięcie.

— Jak przetrzymam ten rok, tę zimę, to już będę w niebie — oświadczyła głośno, gdy ją do darcia pierzy zasadzili z Jackiem.

Nie daj Boże z tymi pierzami. Ani się ruszyć, ani co. Nie dmuchnij nawet, bo bieda. Zasię, gdy nie ruszać, nie dmuchać — wiadomo: śpik ogarnia. Nogi drętwieją od siedzenia, palce od skubania, człowiek się robi, jak ta odarta szypuła. Nie daj Boże.

— Przyjdzie lato, za bydłem pójdiesz. Posmakujesz lepszego — straszyla Zośka.

— Się nie boję. Bydło poćwiwe.

— Jakie?

— Poćwiwe. Pierze na nim nie rośnie — wyjaśniła z westchnieniem

Jacek na nią mrugnął.

— Przykrzy ci się? Poczkaaj, jutro, jeśli mróz ściśnie, pojedziemy na Kraków.

— Jedźmy bez mrozu. Jacek! Zaraz!

— Głupiaś. Bez mrozu nie pojedzie.

Mróz ścisnął dopiero trzeciego dnia.

— Chcesz sama jechać?

— Sama? nie trafię..

— Jak nie trafisz, to nie jedź. To Kraków do ciebie przyjedzie.

Kłasnęła w ręce.

— Zrób tak!

— Zrobię, ale ty mi musisz pomóc. Nabierz śniegu w obie garście, o tak. Trzymaj mocno. Widzisz te drzwi? Tędy Kraków się objawi. Ino przyłóż język do klamki, jak długi..

Przyłożyła, jak długi. Nawet nie było wcale trudno z oderwaniem. Skóra sama odlażała, zostając na klamce białym, lodowym płatem. Jacek stał wystraszony niemniej niż Tereska sama, i pierwej jeszcze w ryk uderzył, nim matka w jego skórę. Tereska zasię beczała przez to głównie, że nie zobaczyła Krakowa.

Wreszcie zima poszła sobie, ustępując miejsca wiosennym roztopom. Wezbrał potok jak jaka prawdziwa rzeka. Tereska namówiła Jacka. Tą rzeką w starej balii pojedą do Bzury, a Bzurą do Krakowa. Tylko trza jechać samym środkiem, gdzie najbystrzejszy nurt. Ale Jacek był smerda, nurtu się zląkł, a pozatem balia się przewróciła. Ktoś tam widział, czy słyszał, boć Jacek gwałtu narobił, zanim co. Więc dzieci wróciły do

dom, jedno pod jedną, drugie pod drugą pachą przez chłopa przyniesione, i jeszcze domacano się w nich życia. Ale balia do Krakowa dojechała sama.

Gdy zaś wiosna przyszła na dobre, a łąki i pastwiska złączyły się od kaczenców, upadło twierdzenie Tereski, że bydło jest poczciwe. Odkąd pędzić je wzięła codziennie na gromadzkie pastwisko, okazało się, że nie ma dość grubego kija na tę poczciwość.

— A żeby cię sprzedali. Żeby cię złodziej ukradł! — płakała, goniąc zdyszana za krową, za tą przebrzydłą, docna znarowioną, co iść jak drugie nie chciała, jeno nurkowała w pozapłocia, w ogrody i sady, po krzakach i grzędach szkodę robiąc i szum. Wylatywały gospodynie z gębą na paskudziarę taką, co krowy gnać nie umie, paskudziara zaś przysięgała się, że do śmierci nie daruje. Krowie, czy gębom? Wszystko jedno.

Zostawiała resztę krów na drodze i biegła za tą jedną, ugiąwszy spódniczyny, fyrtając się i przewracając po grzędach.

— Niech ją aby do obory, na łańcuch... niech ją aby... to już ji sprawię takie manto jelito, że...

Z chwilą jednak, gdy krowa dopadła obory, Tereska zapominała o mancie. Zziajana przysiadła na kamieniu, czekając na resztę krów, co same do wrót skręcały. Pokazywało się wtedy, że chustkę z głowy zgubiła. Leciała więc szukać, bo jakże z gołym łbem. Leciała szczęśliwa, bo do następnej, popołudniowej gonitwy był jeszcze dobry półtoragodzinek. A po tym aż do wieczora.

Czasem udawało się Teresce przyłączać swe krowy do Waśkowych. Wtedy był spokój. Waśko, od dwu lat pasterz gromadzki, choć był głupi, z bydłem sobie radzić umiał. Nie tyle on po prawdzie, co jego pies. A Waśko był mowny taki. Całą długą drogę z pastwiska, najpierw przez bór, po tym przez łąki, po tym przez pola i wieś całą, nie zamykała mu się gęba. Różności prawił. Albo i śpiewał. Czasem nawet tańcował z kijem swoim po piasku, wtedy mianowicie, gdy był głodny. Dostawał za to kawałki chleba, a na chleb zawsze łasy był.

— Kartofle — mawiał — to chłopy. A chleb to biskup.

Napcha się chłopów do kościoła, że już ani jeden więcej nie zdoli — tak pełno. A niech się biskup pojawi — to co? Przez cały kościół drogę mu dadzą, ho, ho, jaką szeroką!

Różności różne prawil Waško, na pastwisku rządzący się jak król.

Głupi Waško królował więc dalej na Stawach, Tereska uganiała od świtu za narowistym bydlakiem. Nie znaczy to, że do roboty nic więcej nie miała. Roboty wszędzie dość. Gęsi paść musi, kto chce spać pod pierzyną. Próbowwała Tereska i bez niej, no, latem to fracha. Ale zimą... Trza było umykać na łóżko do matki. A po tym, już bez ryku, gęsi paść.

Gęsiarstwo nie jest znowu straszne, jeśli się już nabrało wprawy. Tyle, co gęsior czasem oskubie, alboli skrzydłem nakryje w rozmachu. Zresztą można se robić, co wola, taplać w potoku razem z gęśmi, leżeć, siedzieć, kozły stroić, z całym światem gadać. Albo przypominać, jak się Jacek uczył z książki. O takim jednym, co go car powiesił, Romunaldzie. Niech mu ta Pan Jezus da zdrowie.

Zdarzały się i rozrywki w tym gęsim uprzykrzeniu. Gdy na przykład gęś głupia okulać się dała. Wtedy mogło być lanie.

To znowu z żyta, wzdłuż którego biegała po miedzy, wyskoczy pies. Pies jak to pies — miał tam swoje psie sprawy kędyś i te mu były najpilniejsze. Ale widząc Tereskę w pędzie, z patykiem w ręku, najeżył się i z zębami do niej, złych zamiarów oduczyć. Tereska go łap za uszy. Ściągnęła mu pysk do góry, aż psu oczy na wierzch wyłaziły i tymczasem dopiero w krzyk. Za żytem były kartofle, które Jagustyn obredlać kończył. Uwolnił Tereskę, a właściwie psa, cale zaskoczzonego i pokornego. On zemknął, ogon podtuliwszy, ona zaś w bek uderzyła spóźniony.

— Ugryzł cię?

— Chciał, ino nie zdążył.

— To czego becysz. — Głasnął ją po warkoczyku ręką, która była dziwnie chuda.

— Jagustyn jest dobry. Psu me nie dał, jeszcze pogłaskał — mówiła po tym Tereska Ewce.

— On je chory.

— Na co?

— Na biedę. Brzuch go boli, ale żeby bogaty był toby się wylekował. A on nie ma co jeść. Babka tak mówili.

— To umrze?

— Musi umrzeć. Jak mój tatulo w niewoli.

— To Jagustynka będzie płakać!

— Phi. Ożeni się z drugim, jak moja matuś...

Ewka już była mądra taka, jak duża. A Jagustyn był chory naprawdę. Łaził, póki mógł, nogami powłócząc. A w same żniwa położył się i umarł.

Pochówek to miał Jagustyn godny. Ze światłem, z dzwoniem, z przemową. Była na nim i panna Koleta, i Ładacki Adam, znaczy się pan Ładacki „nauczyciel nowy z Szewc. A ksiądz Stefan, poczciwości dusza, mało co wziął za on pochówek.

Tereski, rozumie się, na pogrzebie nie potrzebowali. Ktoby gęsi pasł? Wylazła na most, na burtę i patrzyła zazdrośnie, jak za trumną szły wszystkie małe Jagustyniaki. Ten najmniejszy zasię jechał na wozie obok trumny ojca, wielce tym honorem zadziwiony.

Gdy orszak ją minął, pobiegła do Ewki.

— Wiesz co? Szkoda Jagustyna. Śpiewają mu, bo był dobry. I my mu zaśpiewajmy.

— A jak?

— Jak nie bądź. Ino grubo. Ucz się:

„Jagustyn — Ro-mu-nald,  
niech wam Bóg zdrowie da...“

Śpiewały w kółko przeciągłymi głosy, jako należy na pogrzebie. Nie zauważyły, że Teofila, w pole idąca, zmierza ku nim. Chwyliła Ewkę za ramię.

— A wy smarki, zamknieta dzioby? Grzech i obraza boska, nieboszczyka nie uszanować. Teres do swoich gęsi!

Tereska buchnęła w krzaki. Dopiero, gdy Teofila była już daleko, odważyła się wytknąć nos.

— Zbili cię, Ewka?

— Ej, nie. Aby w kark trzepli.

— Widzisz. Coś ty narobiła, coś ty narobiła. Grzech i obraza.

Ewka spojrzała okrągłymi oczyma.

— Moroziak ci gęsi goni. Leć!

Tereś obejrzała się i popędziła co tchu...

— Moroziak! te, psinarodzie... Odyńdziesz?

Dała nurka w gestwę naci kartoflanej, spędzając rozpierzchnie stado. Nie łatwo to szło, bo skołowaciałe ptaki łopotwały we wszystkie strony, aż Moroziak pękał ze śmiechu. Usiadła w bruździe, zdyszana, i pokazała mu język, ale tak, żeby nie widział. Złego psa nie drażnij, bo ugryzie.

Ewka tymczasem zebrała do wora chwast przez się zerwany i podygowała go do domu, to jest do chlewa, prosiakom na drugie śniadanie. Okrutnie żarte te prosiaczyska, zgoła nieżarte. Dyguj, noś i jakby w piekło ciskaj. Cięgiem mało. A tatulo mamrze, że prosiaki chude. O Jezusinku, ile to termedyj na tej biednej, dziecińskiej łepetynie.

— Babko, o, babko, dejcie się zdrzymnąć ździebko...

— Dziecek musisz przypilnować. Mnie do Kobuski wołali, duchem idę.

— Wedle czego?

— Nie twoja sprawa. Kartofli obierz, na obiad, masło ubij, statki pozmywaj. Wróć, duchem się uwarzy. Poniesiesz ojcu w pole.

— O, jej co roboty.

— Takie to i życie, moje dziecko. Robota do śmierci, a odpoczynek na tamtym świecie. Takie to i życie. Chowają jednego, drugi się rodzi. Jedenaste z rzędu. Chwat baba...

— Kto, babko? Kobuska?

— Dzieci pilnuj! Już idę.

Ewka ubijała masło, stojąc na małym stołeczku przy kierzance, która była dla niej za duża. Stołeczek był fajny, przez Kacpra robiony, te... przez nowego tatula. Co tam stołeczek. Tatulo cały dom zmajstrować umie. Kto postawił ten nowy dom u Żuka? Michał z tatulem. Tomek Matysek zerznął drzewo, Michał bale ciosał i do boru jeździł, a tatulo postawił dom, zatknął na krokwi wiechę zieloną, tera deski hebluje na podłogi, na drzwi, na wszystko. Do jesieni dom będzie gotów — tak uradzili z Michałem. I Michał powiedział wtedy: Kacprze, a jak będzie fertig, to taką knajpę odwalimy, że to ha...

Niebardzo Ewka wiedziała, co to za knajpa taka, jeszcze

dopótąd nieodwalona. Cudaczne słowo. Ale bo to jedno ino? Tyle ich, co chabru w życie.

Zbaczyła sobie Ewka, jak Waśko na pastwisku wydziwiał w niedzielę:

— Wliesz tam, gdzie nie trza — mówią ci, rajza, raus! forwek! A przódzi mówili ino: wont i tyle. Albo dziewuchy. Przódzi żadna nie była fajniejsza od drugiej, ino śwarniejsza. A tera są same fajne, jeśli nie felerne.

Dzieci słuchały, co Waśko gadał, rozłupując ciuchnięte w niewiada czym sadzie zielone jeszcze plebanki. Rozdziałały łupki między siebie, mówiąc:

— To dla majne, to dla twajne.

Ale gruszki były nie dobre i twarde, więc dzieci praskały je wreszcie o ziem.

— Siajsa.

— A po tym duża Felka odciągnęła Ewkę na ubocz.

— Wiesz nowinę? Ale to taką nowinę...

— Jaka?

— U Żukówny Kasi będzie małe klajne — szepnęła Felka, z przekrzywionym na bakier uśmiechem. — Rozumiesz?

Ewka udała, że rozumie. Ale nie bardzo rozumiała. Spytała się po tym babki, ale babka burknęła tylko: głupiaś...

— Głupiam?

— O jej, babka dzieci pilnować kazali! Obejrzała się, gdzie też spały. Masło było już ubite. Korciło ją, by spróbować maślanki i liznąć masła, ale nie poradziła zdjąć wierzchu. Tarmosiła się z nim, spotniała z wysiłku, gdy ktoś zarumotał w zamknięte drzwi. Zabiło Ewce ze strachu serce, nacisnęła prędko wierzch, by znaku nie było. Ale to tylko Antka rumotała.

— Nie ma babki?

— Nie ma. Poszli do Kobusów.

— Maszci kolko. — Antka chwyciła się za głowę. — Że też akuratnie w tę porę. Dobry rok.

— A bo co?

— Jak przyjdą babka, powiedz, że Kasia zasłabła! — I Antka wybiegła pośpiesznie.

Ewka zamknęła za nią drzwi, po tym przyłożyła pięść do nosa, co zwykła czynić tylko w chwili głębokiego namysłu.

— Aha — powiedziała wreszcie.

„Aha“, to bardzo małe słowo. Ale mówić je można na wiele, bardzo wiele sposobów.

ANIELA GUT STAPIŃSKA

## Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

We dworze państwa U. od wczesnego ranka rozpoczęło się gorączkowe przygotowanie do dzisiejszego a tak uroczystego corocznego polowania. Pani U. wyciągnęła z kosza kunsztowną porcelaną, ustawiła kryształ w miejscu najbardziej widocznym, zmieniła firanki, wdziała najelegantszą toaletę francuską i żywo dobierała mieszankę kawy, upominając służbę żeby broń Boże nie przypaliła śmietanki.

Kilkakrotnie zwracała uwagę kelnerowi i przy tym nie szczędziła rad i wskazówek co do przyprawy bigosu. Bigos myśliwski, to wyraz pańskości nie mówiąc o tradycji przestrzeganej od wieków przez dwory szlacheckie, trzeba więc dbać o jego oryginalność w doborze artykułów, a nade wszystko nie trzeba zapomnieć o trzech liściach bobkowych.

Jednocześnie pan U. konferował w sali myśliwskiej z leśnymi, gajowymi i gońcami, omawiając tereny na dzisiejszy dzień polowania, troszcząc się o najdrobniejszy szczegół, aby polowanie nabrało pańskiej świetności, zręczności i nader dobrej organizacji.

Po odprawie dworskiej myśliwskiej załogi, dał znak do odejścia, zostawiając na maleńką rozmowę starego Gajderę, którego we wsi obwołano królem polowania i wirtuozem w sztuce myśliwskiej z racji pewnego wyczynu, a mianowicie stary ten pocziwiec idąc raz z dubeltówką na ramieniu — prawdopodobnie z kłusownictwa — zobaczył we wsi lisa wśród kur i wzywającą ratunku gospodynię. Nie wiele myśląc wypalił z dubeltówki kładąc trupem lisa i wszystkie kury. Gospodyni przestrzelił spódnice, nie czyniąc jej żadnej przykrości w zagrożonej kondygnacji jej osoby. Od tego pamiętnego czynu stary Gajdera w sprawach myśliwskich miał pierwsze i ostatnie słowo. Wśród myśliwych był honorowany, a p. U.



nazywał go starym zacnym przyjacielem bez którego na polowanie nigdy nie wyruszył.

Dziś p. U. nie posiadał się z radości widząc Gajderę w dobrej myśliwskiej formie.

— Polujemy jak zawsze — rzekł mrużąc porozumiewawczo prawym okiem.

— Ono ta jakosi będzie, cożby nie — dziarsko odrzekł Gajdera. — Pamiętajcie zająć stanowisko z prawej strony obok mnie. — Bocem o tym zawdy tak jako w pocierzu jest Jamen! — zapewnił Gajdera.

Tymczasem na dziedziniec dworski wjeżdżały dymiące para i parskające ochotnie ogniste rumaki wioząc dostojnych gości z powiatu i okolic, wśród zaproszonych nie brakło najlepszych myśliwych, począwszy od starosty, a skończywszy na starym Gajderze. Przyjechali również panowie z sąsiednich dworów. Doroczne wielkie polowanie.

Ruch, krzyk, nawoływania, myśliwski pośpiech i las.

Las okryty nieskalaną śnieżną bielą, w promieniach wschodzącego słońca walił w oczy blaskiem białych ogni, groził potęgą mrozu, a zwarte drzewa pancierzem śnieżnym zamykały dojście do jego wnętrza.

Powierzchnia leżącego śniegu na polanach była równa i niesłychanie biała. Wokoło nie było śladu ludzkiego istnienia. Natura jak gdyby pragnęła samotności.

Myśliwi zaabsorbowani polowaniem nie zwracali uwagi na cud natury i majestatyczną, prawie że groźną ciszę zamarłego lasu. Brocząc w śniegu na zboczu góry obstawili pozycje według przepisów myśliwskich, zapuścili psy do lasu, rozesłali gońców z trąbami i rozpoczęli zabawę niemiłą dla mieszkańców leśnych.

Pan U. znając tajemnicę terenów, zajął najlepsze stanowisko przy wylocie obsadzonego kotła, obok nieodstępny towarzysz Gajdera.

— No cóż stary przyjacielu uda się polowanie? spytał p. U. Gajdery, kontrolując starą odziedziczoną po przodkach dubeltówkę.

— Wto wie cy ono ta będzie tak jako wyjście wcieli? — mruknął Gajdera.

— Dlaczego? — spytał zaniepokojony p. U.

— No bo tego rumu w tej kawie było mało, prawie teli kielo jest omasty we średe popielcowom. Ono ta na polowanie trza mieć w sobie krew ozgrzanom, to sie ta pote strzelo, cozby nie! — mścił się Gajdera za ryzykowne skąpstwo p. U.

— Ależ zapewniam was przyjacielu — starał się zło naprawić p. U. — jeśli uda się polowanie, to wieczorem bigos ale jaki bigos! no a w rumie to was chyba utopię.

— Trza by to było rumu co by ja sie w nim utopił — nie skończył, bo w tej chwili krając racicami cudną biel śnieżną wypadł z lasu rozjuszony olbrzymi dzik waląc prosto na p. U.

— Jezus Maria — krzyknął — ratujcie Gajdera.

— Już jest ono po ratunku, leży hań! — rzekł Gajdera, śmiejąc się radośnie do swojej dubeltówki — ona ta psiokrew niesie!

Pan U. patrzył na bryzgającego gorącą krwią dzika starając się przy tym ukryć swoje niesłychane zdenerwowanie — ano przerażeniem się trochę, zresztą nic w tym dziwnego, przecież to nie pora na dziki, a ten sobie ni z tego ni zowego wypadł na mnie!

— Zeć ta nic w tem zmyślnego ni mas, bo las lo dzików — mówił Gajdera — bo kieby tak wypod na wos w salonie to jakby sie som zacudował.

— Ano prawda, rację macie — mruczał zawstydzony p. U, a nagle spytał — słuchajcie jak myślicie, czy to honor zabić dzika?

— Prosem wos pięknie jak lo kogo, bo lo mnie to rzec zwykło, a lo wos honor wieldzażny by beł, kiedy beł! świat by się cudował nieustający.

— Słuchajcie, postanowił szybko p. U., macie tu dwieście złotych i milczcie a nade wszystko swojej żonie, ani słowa! Po chwili dodał — kobiety wszystkie lubią plotki.

— Rozumie, rozumie! — mruczał Gajdera, chowając w zanadrze pieniądze i oglądając się w stronę wsi tęskliwie.

Pan U. czym prędzej umówionym sygnałem zwołał myśliwych z pobliskich stanowisk oznajmiając uroczyście bohater-skie i nader ciekawe uśmiercenie dzika, a tymczasem?

Tymczasem Gajdera pośpiesznym krokiem szedł drogą do karczmy, zapraszając wszystkich znajomych po drodze na mały poczęstunek.

Zdziwienie zaproszonych nie miało granic. Skąd ta hojność? Skąd te pieniądze? Przecież wszyscy wiedzieli, że Gajdera nigdy groszem nie trącił, to też uczujący wyraźnie zaniepokojeni pytali o wyjaśnienie tego tak bardzo miłego zdarzenia. Gajdera milczał dość długo, aż wreszcie po rozgrzaniu kościsk i języka po cichu każdemu opowiedział co zaszło, prosząc, aby broń Boże to zdarzenie nie doszło do wiadomości jego ślubnej małżonki.

— Wiecie, wiecie — mówił Gajdera — baby jak baby, tako stworzona na to co by pleść na opak, jo zabił dzika, a tako ci przekręci i powie zek zabił maciore, a doreśty pon pytali coby nika nikomu nic, to ono jacy ja wom godom.

Zabawa wrzała w szybkim tempie, zaproszeni nie tracili czasu na marne, to też w niespełna kilka godzin pieniądze zostały ulokowane w kieszeni karczmarza. Sytuacja ta chwilowo zasepiła myśliwskie czoło starego Gajdery, jednak myśl szczęśliwa na czas zaświtała do jego głowy, podniósł się szybko z ławy i pobiegł do dworu i tam prosił o natychmiastowe widzenie się z p. U. Pani U. przyjęła go wielce zdziwiona, a zarazem zaniepokojona jego przybyciem o tej porze.

— Co się stało — pytała?

— Je nic — rzekł niby obojętnie — troche ono beło źle!

— Boże wielki nieszczęście — szeptała pani ślaniając się na fotel — czy może ranny?

— E cozby ino ze juz nie zyje!

— O Boże wielki! krzyczała — mój mąż nie żyje!

— Ze cichoze pani takoście noremno — mówił spokojnie Gajdera — zej to nie pon was nie zyje ba dzik, bo go trafił w te kie leciol na pana dziedzica.

Pani U. odetchnęła z ulgą.

— Nie wiem jak wam mam podziękować?

— Zej ta dziękować nie trza, bo ta z tego cłek nie wyzyje!

— Ach pieniądze to głupstwo, zorientowała się pani i pobiegła szybko do szkatułki, a tymczasem Gajdera podziwiał jej umiejętność życiową.

— Wicie, wicie zeć ona tu nie tako głupawo jako jo myślał, zeć ona se tu w każdej rzeczy da rade.

Pani U. radośnie wręczyła Gajderze 200 złotych, przy tym zapewniała go o dozgonnej wdzięczności i prosiła gorąco, że

gdyby kiedykolwiek był w potrzebie, niech przyjdzie jak do rodzonej matki.

— Matko moja nie byłaby tako lekkomyślna coby za bo-  
dażco dawała — myślał cicho Gajdera chowając w to samo  
zanadrze pieniądze i pośpiesznie celował do drzwi.

Biesiadnicy osieroceni nagłym zniknięciem hojnego Gaj-  
dery, ujrawszy go, z krzykiem rzucili się na jego kosmatą  
piers i żywo pytali o przyczynę nieobecności.

— Ze kis wom, kazescie beł tak długo? Zej wiecie luto mi  
sie zawidziało dziedzica i myśle se rzeke bedzie som stratny?  
niekze i pan jego pocierpi kondek, a doreśty trza beło jesce  
co wypić, skoromy sie spotkali tak fajnie i młodo.

Około północy brocząc w śniegu szedł Gajdera do domu  
uśmiechając się jak małe dziecko do błyszczących iskierek  
śnieżnych i głośno rozprawił sam z sobą o szczęśliwie spęd-  
zonym dniu, jednocześnie zachwycał się urokiem nocy księ-  
życowej.

Ono wiecie ślicznie jest na tem świecie, ej wiera, ślicznie.  
Dzień mi bo beł szczęśliwy i noc do znaku ślicno. Ono warce  
żyć na świecie, ej wiera warce! Baba mi tez bedzie rada! Baby  
chłopom w nocy zawdy rade!

Dobrnawszy do domu rażno zastukał w okno nucąc głośno  
piosenkę.

Otworze mi otworz kochanecko moja.

Bo mi sie zwidziała ta gębusia twoja.

Gajdera nie długo czekał na otwarcie drzwi. Kochanecka  
drzwi otworzyła tak energicznie, że się Gajdera zachwiał i w tej  
chwili spadły na niego gęste razy starego mietliska, a z ust  
„kochanecki“ płynęła niczym nie dająca się zahamować la-  
wina nieparlamentarnych, obelżywych słów.

-- Ty złokrew dziadowsko, teloś nieszczęscio narobił we wsi.  
Nie dość ze chłopcy babom gorki na głowak poozbijali boś ik  
spił do imentu, toś jesce we dworze zwady pierońskich naro-  
bił. Dziedzic pado, że to on zabił dzika, a dziedziczka się przy-  
sięgo, ze to twoja sprawa. Ty psiokrew jedna zatracona ka  
dudki coś wzięł od dziedziców co? Przesły bez cie za pare go-  
dzin i nika z tego hasnu. Ty złoduso jedna! Trza beło piniądze  
przynieść do domu bełabyk słowa nie pisła, a tak posiedź se

teroz do rana na polu, bes wiedziół jako trza lo baby mieć serce i poćciwość. Ty bimbacu zatracony!

Po skończeniu oracji powitalnej wygłoszonej przez małżonkę, Gajdera usłyszał energiczne trzaśnięcie drzwiami przed nosem po czym zapanowała śmiertelna cisza. Zmartwiony i złamany usiadł na progu i zaczął rozmyślać nd prawem Boskim i ludzkim.

— Takom przecie chyba Pan Bóg nie stworzył, boby się wstydzil za taki stwór, ono mo siele w kufie, a w ręcak takie słabe jak wiater. He cłeku, zmozes syćko co fces! Palcem po-ciągnies za cingiel i dzik leży, a tako sceko i na to rady ni ma. Świat cołkiem źle urządzony, a syćko na nase chłopskie nie-sczęście.

STANISŁAW STEFAN GĘBALA

## PO ŻNIWACH

Słońce chyli się ku zachodowi, upał ustępuje miejsca wilgotnemu podmuchowi wiatru, niosącemu chłód. Po polach błądzą zwolna siwe smugi dymu, wlokące się nisko po ziemi i przywodzące na pamięć młodość pastuszą i ot takiej polnej fantazji pełno... dziś jednak te ogniki tleją bez pastuszej obecności i spala się przez wydarte z ziemi przy późniwnych podo-rywkach. Tu i ówdzie w polu jakiś oracz, tam znów spóźniony kosiarz na zagonie owsa... w polach już po żniwach, już na miejscu sprzątniętych zbóż zielenią się łąbiny.

Przed niewielu laty inaczej wyglądały te pola w takie same dni początku sierpnia.

Długo po żniwach, bo prawie do Zielnej żyto w mendlach, a czasem trafiająca się pszenica czekała złożona w duże „ko-były“ na swój czas zwózki. Wszereż pól i żółtych ściernisk chodziły stada bydła, które tu właśnie miało odżyć po długim okresie pastwienia się nad swoją bydlęcą dolą na tak zwanych pastwiskach. Drugą wąską miedzą idzie brat w dużym chocho-lastym kapeluszu i przystaje na skrzyżowaniu między dziką ścieżką, która pojawia się na ukos przez pola wiodąc i zmie-

niając corocznie swe położenie. Brat widocznie do powiedzenia coś ma, bo czeka, zakurzywszy papierosa."

— Słuchaj — mówi — nie było cię parę lat we wsi, toteż musiałeś zauważyć tę zmianę w polach...

— Zmianę? — mówię i nie bardzo wiem, o jaką zmianę bratu chodzi... Czyby o tę, którą idziemy i która dzieli na dwoje szerokie dawniej pole naszego dziada?...

Ale jemu nie o to chodzi.

— Pamiętasz — mówi — jak dawniej wyglądały żniwa? Jak święto jakie, jeszcze lipy nie zakwitły, jeszcze zielone zboże stało, a już trzeba się było do tych żniw sposobić.

Stoimy na tym skrzyżowaniu ze ścieżyną i brat zatrzymuje mnie i wyjmując tytoń zaczyna się rozgadywać.

— Pola dwa razy szersze były, ludzi dwa razy mniej było, a przecież, kiedy rzuciłem kawałek chleba, babka aż przeżegnała się ze zgrozy. „Bój się Boga, dziecko!“ I właśnie to żniwo, żyto jedynie sierpem można było żąć, nikt nie odważyłby się go kosić dworskim zwyczajem. Nie ma go na tyle, nie można go rozrzucić i targać. Żęło się sierpami zwolna i dokładnie, żęło się z powagą i nabożeństwem, bo to przecie chleb — dar boski.

— Nawet ostatnim razem — mówi brat — wywróciłem przypadkiem furę z żytem, coś tam w krzaczku zaszumiało, koń skoczył w lewo, koła wpadły w bródzę i fura legła na ziemi... To stara Agata, co szła tamtędy, skoczyła ku mnie z wyrzutami.

— A cegoż ty, chłopie, chleb rozrucos?!

— To żyto, słoma, i ziarno w słomie, a nie chlib, to starowina splunęła tylko na te bezbożność brata i odeszła zgorziona. Tak też do tej świętości, do tego chleba z kąkolem, ostem i bławatem, do tej życiny na ziemi perzem przerosłej czapkę trzeba było zdjąć i przeżegnać się jak na progę kosiola.

Brat s pluwa daleko, a w jego krytycznych słowach przebija jakaś melancholijna niechęć do tego, co było.

— Pamiętasz — mówi dalej — miałeś lat ze cztery, ja może ze dwa, jak o takiej porze, jak teraz, nad wieczorem, trzymaliśmy się za ręce, idąc za wieś, aż pod figurę, bo tamtędy mieli wracać ludzie od żniwa.

— Pamiętam. Szli dostojnie, gromadkami, niosąc w rękach próżne dzbany i zawiniątka, w których nosiło się posiłek. Słońce już wtenczas zachodziło, nad drogą wzbijał się tuman kurzu czerwony od zachodzącego słońca, pełny ryku głodnego bydła wracającego od obór... Zwykle na samym końcu szli „nasi“, tj. dziad, babka, matka i przynajęte kobiety.

Długo, nieraz bardzo długo czekaliśmy na te powroty. Daleko, już za wsią dziecięcymi oczami wypatrując „swoich“ w polach. A żniwa ciągnęły się tygodniami, tygodniami pustka w domu, cisza, wśród której drzemał nawet hałaśliwy z rana kogut, gdy nawet burek nie zdradzał ochoty do zabawy, straszyla dzieci i wypędzała je w pole gdzieś bliżej do ludzi i swoich..

— Wykosiliśmy kosami i żyta i pszenicę — mówi brat — związaliśmy snopy jak popadło, nie budowaliśmy mendli, i nie czekaliśmy po trzy tygodnie za wydobrzenie... Żniwa u mnie skończyły się naprawdę za trzy dni, a jeśli tam coś zostało, na którym kawałku, to zajmie mi po kilka godzin czasu z rana i przed wieczorem.

— Chodźmy — mówię — bo słońce już niedługo zajdzie.

— Zaraz.

Brat znów wyjmuje tytoń i ciągnie dalej swoje opowiadanie.

— Pamiętasz — mówi — jak było, kiedy zboże było już w stodole złożone równiuteńko w zapolach.. Zeszły się kobiety, co pomagały przy żniwie wesołe, nie wiadomo z czego, z tego pewnie, że koniec nadszedł nareszcie tego żniwa. Babka na ten czas chowała serki żółte, kiełbasę suchą, jak patyk, a w niektóre lata, to i miodu dzbanek się znalazł. To były dożynki!

— No, tak, w najbliższą niedzielę rzępoliły skrzypce i dudniły basy przez całą noc do białego dnia. To nie była tańcówka dla młodych! To były dożynki!

Ruszamy wreszcie krętą ścieżyną, przed nami ostrzy się wieś czerwienią dachów, białą ściany i zielenią ogródków. Rozłożysta chata, w której upłynęło nasze dzieciństwo, poszła już dawno z dymem, w domu brata są duże weneckie okna, a w ogródku w miejsce łopianów i pokrzyw, kwitną malwy czerwone. Idziemy teraz pełną drożyną, przed nami jakaś

starowina z przyzwyczajenia więcej niż potrzeba dźwiga toboł chwastów dla bydłęcia juści, dla bydłęcia. Brat poznaje ją z daleka.

— Pamiętasz — mówi — jak jej Wojtek strugał nam zabawki, albo wiosną namawiał na włóczęgę nad San, bo na taką włóczęgę pajdę razowca się niosło i dla niego także... Dziś Wojtkowym dzieciom chleba jakoś nie brak, a przecież Wojtek o połowę ma mniej pola, niż miała jego matka za jego młodości. Wchodzimy w drogę przez wieś, tuż przy drodze szesnastoletnia dziewczyna mocuje się z dwoma cielętami i ona chce do domu. Cielętom zaś chce się gdzie indziej, gdzieś w pole powędrować na wieczór. Droga, środkiem między dwoma koleinami biegnie kilkuletni berbeć bawiąc się wzbijaniem tułmanu kurzu. Spostrzegłszy nas zaniedbuje zabawy i cwałując ku nam krzyczy: tatu, tatu. Na rogu ulicy rozchodzimy się z nienacka, brat bierze chłopaka na ręce i zapytuje:

— Wiesek, co to jest przednówek?

Dziecko zdziwionymi oczami rozgląda się wokoło, ja również zdziwiony patrzę na brata. — Tatu, ja chcę na barana. Wiesek gramoli się na kark ojcu, ale ten nie zwraca uwagi na chęci dziecka i mówi do mnie:

— A myśmy tak dobrze wiedzieli. Aż za dobrze.

Rozchodząc się, brat mówi:

— Czego Wiesiek o tym nie wie. I patrząc znacząco na mnie dodaje: Musisz mi to kiedy wytłumaczyć. Idąc do domu, zatrzymuje się jeszcze tu i ówdzie. Ludzie mają czas, są po żniwach.

JAN WIKTOR

## ŚMIERĆ MATKI

(fragment)

Gestapowcy przyjechali w nocy wedle wskazówek donosu. Otoczyli dom. Zwyczajnie rzucali najpierw granaty w okno i strzelali do wyskakujących z pożaru. Tutaj tego zaniechali. Walili kolbami. Usłyszała tłuczenie i zerwała się z pościeli



— O Boże, żebyś go miał w opiece. Był mój i przed godziną poszedł, byli by go zastali, o Boże, jakże ci dziękować. Biegła do drzwi, które niemal w trzaskach się rozpadły.

— Tyś żona? )

— Ja — mocno wyrzekła.

— Gdzie mąż?

— Nie wiem!

Krótkie pytania i odpowiedzi jak strzały w pierś.

— Przychodzi do ciebie!

— Nigdy.

— Nie kłam!

— Widzieli...

— Nie mogli widzieć. Gdzieś się podział przed miesiącami. Może umarł. Wy najlepiej wiecie gdzie przebywa.

— Przypomnisz sobie i przemówisz. Był dzisiaj? — zanim skończył to pytanie, już spadły ciosy miażdżące kości. Kułakami w zęby, butami w brzuch. Nawet nie zajęła. Wycharczała:

— Nic nie wiem!

Niebo już otrząsnęło z siebie gwiazdy. Szarość się rozwiąła a w przestworzach była taka cisza, że nawet szelest nie zmącił jej, że nawet zbłąkane obłoki zatrzymały się, zapewne w obawie, aby ruchem nie zaćmić spokoju, a zastygłe w skupieniu czekały na upojenie płomieniami rodzącego się świtu.

Tutaj na ziemi rozlegał się trzask.

Kobieta oślepiąca i ogłuszona w łoskocie pękających kości, rozrywanych trzewi, odpowiadała twardo, wciąż jednakże:

— Nie wiem, nie było go. — A czasem westnienie wydierało się z ran, z krwi.

— Zbawicielu! Ulituj się nad nami.

Niczego nie zdradziła, nie wymieniła niczyjego nazwiska, nikogo ni wydała, chociaż wiedziała tak wiele, znała przeróżne kryjówki, boć z mężem kopała dół, przenosiła broń — przyjdzie czas, że przyda się.

Chwycili ją za ramię i pociągnęli. Wykonała ruch jakby miała wydrzeć sierp wbity w ścianę.

— Sama pójdę.

Popychali ją kolbą, dalej kopali. Huk w rozbijanej głowie. Bulgot w ustach pełnych słonego i piekącego żaru. Nie zaję-

kła, nie zapłakała. Gdzieś w mrokach usłyszała czyjś głos i uśmiechnęła się do kogoś, kogo nie mogła nazwać po imieniu, a tylko uśmiechem wypowiada szczęście. Pewnie zobaczyła synka małego, uganiającego po dziedzińcu, kryjącego się w zakamarkach zabudowań i wołającego:

— Mamo, gdzie ja jestem? Szukajcie mnie!

— Czego się śmiejesz stara k....?

Pogardliwie skrzywiła obrzmiałe wargi. Opadające powieki dźwigała z trudem, byleby mieć oczy otwarte i śmiało patrzeć na to, co się działo. Nawet nie drgnęła, kiedy jeden z obecnych wyjmował rewolwer z futerału. Stała wyprężona z głową podniesioną.

Już naciskał kuřek, kiedy wyrzekła mocnym głosem, jakby w natchnieniu wypowiadała prawdę, powierzona jej w godzinie śmierci.

— Cóż z tego, że mnie zabijecie? Ja, to marny kłosek. Jeden kłosek zmarnieje, ale zostanie szeroka, wielka ziemia polska, a z niej co roku tysiące tysięcy wyrosną lepsze ode mnie. Nie wyniszczycie wszystkich. Przyjdzie czas, że będziecie służyli tym, których chcieliście pognębić.

Zanim padł strzał, krzyknęła w przestwór:

— Jasiu! Jasiu — Jakby synowi najmilszemu, leżącemu w grobie, dawała znać, że idzie ku niemu.

Przez duszę przepłynęła jasność nie mająca początku i kresu, bo stać się miała wiecznością. Upadła na stertę gnoju, który jutro miała wywozić w pole pod oranie i siew.

Na ścianie zakwitła plama, jakby ktoś chlusnął skopcem pełnym czerwieni. Na źdźbłach nawozu zapłonęły krople. Gdzieś w huk, po mrokach coraz bardziej rzadniejących, rozległ się chrzęst, szcęk łańcuchów. To szarpnęło się bydło uwiązane przy żłobie. Zaryczała krasula po wystrzale.

Gospodyni usłyszała i targnęła się całym ciałem.

— Trzeba wstać, iść krowiny wydoić, już przecie rano się zrobiło. Zaraz... zaraz...

Słonko rozżarzone powoli wyłaniało się z czeluści podartych grobów, z popękanej ziemi pełnej posoki i ognia, wydzierало się z więzów, darło je, zaplątane w korony drzew, topiło ciemniejące zarysy gałęzi, aż w końcu wyłoniło się ponad lasami, polami, kalenicami.

Pierwsza smuga spłynęła na mokre podwórze i położyła promieniste palce na oblicze zastrzelonej. Uniosły się powieki po raz ostatni, drgnęły wargi, nieco się rozchyliły i piły światową jasność, idącą ku ludziom.

I tak umarła w blaskach tego poranku z troską o syna i krowiny.

Zwłoki długo spoczywały pod opieką słońca. Krew obficie spływała w gnój, jedna kropla nie zmarnowała się, aby była po śmierci pożywieniem dla roli, ugorzem leżącej.

Kury gromadą zbliżały się do umarłej i stanęły w zdumieniu.

Tak często z ręki gospodyni wydziobywały ziarno, a teraz obie dłonie, szeroko rozpostarte, były puste. Przechylały głowę i patrzyły uważnie, to jednym to drugim okiem, i nie mogły pojąć swym rozumem okrutnej prawdy — dlaczego te ręce ziarna nie sypią?

Drzewa, co rosły na podwórzu, owiane mgłą wiosennych, ledwo poczynających się liści, nawet najciszej nie zaszemrały. Czyniły wrażenie nieziemskie, bezcielesne, jakby zielona dusza ulatywała z ziemi.

Wyniknęła chmura i rzuciła na leżącą cień, zdawało się, że błękity spowily ją całunem. Słońce zaćmiło się, wkrótce przejrzało i powędrowało niebem ku swoim świetlistym sprawom.

Wieś chyba umarła. Strzały — podobnoć trzy — zabiły wszelkie życie, wszystkie głosy zadomowione po gospodarstwach.

Śmielsze sąsiadki wysłały małego chłopca, który pędem wrócił i zadyszany wyszeptał:

— Zastrzelili!

Potem kobiety spoza płotu, spoza węgła zajrzały na podwórze.

— Jezu!

Nieznacznie, z lękiem zbliżały się. Oczy otarły zapaską, klękły i westchnęły o światłość wiekuistą. Ujęły ciało za nogi, pod ramię, za głowę, ostrożnie przeniosły do izby i ułożyły na łóżku pod świętym obrazem. Rany owinęły szmatkami lnianymi, bo wciąż krew wypływała.

A później wszystko odbyło się wedle odwiecznego zwyczaju. Trumnę skleił stolarz wioskowy. Ciało ubrały litościwe babiny w odświętne szaty, w zgrabiałe ręce wetknęły książkę do modlenia, owinęły palce różańcem, zawiesiły szkaplerz i medalik

Leżała gospodyni wśród świec zapalonych. A po trzech dniach zawieźli żałobnicy utrudzone ciało na cmentarz i oddali ziemi w płaczu żałobnej pieśni, w stukocie padających grud, jakby żyjący ludzie po raz ostatni kamienowali umarłą.

Tylko wąska ściana oddzielała matkę od syna i zapewne przez nią przenikały spojrzenia, głos, wszystkie pulsy miłującego serca.

— Synu, nie płacz, nie byłam przy tobie wtedy, gdyś umierał, wołając — mamó! — synu, — przyszłam do ciebie dopiero teraz i już cię nie opuszczę, przy tobie pozostanę. Synu, nie bój się...

Leżą jednak zabici kulami wroga. A mowy jej żadna przymoc nie zgłuszy, bo została wtopiona w wieczność ich wspólnego życia w miłości...

STANISŁAW WITOWSKI

## BRONKOWE DZIECIŃSTWO

Stopniowo od gęsi przeszedł Bronek do pasania krów. U Cząbrowskich posiadali je zwykle dwie — starą i młodą. W ten sposób swoboda jego uszczupliła się jeszcze, gdyż przy krowach trzeba było warować bez możebności odbieżenia ich dokądkolwiek.

Dzień powszedni schodził dość spokojnie. Nie do wytrzymania była tylko niedziela, zwłaszcza popołudnie. Oto zniecka słycać trąbę straży pożarnej. — Będzie próba! Widać, jak z kolonii, z Bogucic podążają obleczeni w biel strażacy. Spoglądając na ich mieniące się kaski pies zawyłby uwiązany na polu. Cóż dopiero Bronek, ścigający zawsze za niezwykłością. Bywało też, że porzucał krowy na pastwisku i pędził do wsi. Na szczęście miał blisko — przebiegł tylko ogród i podwórze stryja Latańskiego. Tuż przy nim, zaraz za drogą

lśnił staw, nad którym zwykle odbywała się próba. Oszalałymi było to widowisko.

Słońce najczęściej stało już na godzinie piątej. Przed nim na popielatej drodze lśniła lakierowana na rakowo sikawka, przy której rytm w rytm gięli się pracujący strażacy. Wysmukle jak wodotrysk była zmieniona w biały dym woda, wydzierająca się z trzaskiem z prądnicy. Opodal stał naczelnik straży w srebrzystym hełmie, o pokrętnych szarawych włosach — ojciec Janinki. Przy nim młodziutki proboszcz, pan nauczyciel... Spoglądali z uśmiechem za wodą, którą niekiedy władający prądnicą obracał naumyślnie na tłumy. Uciekali wówczas z uciechą, wrzaskiem, zniżając głowy, lecz woda tymczasem była znów prościuteńko, nawracając się dopiero w błękiecie, i spadała brylantowymi kroplami na ziemię, która ciemniejąc, pachniała ciepło, napojona wilgocią jak w czasie ulewego deszczu.

Niekiedy po próbie strażacy urządzali jeszcze marsz triumfalny przez wieś przy brzmieniach mosiężnych orkiestry. Niestety, w owych pochodach nie mógł już Broniek uczestniczyć. Gwałt był powracać na pole, gdzie tymczasem w sąsiednich burakach osadziły się krowy. Ostatecznie rezultat był żalorny. W czasie przeglądu granic przez sąsiada Broniek wiać musiał za dziesiąte staje i tam wyczekiwać z trwogą, czy Wróblewski nie zajmie krów. Gdyż przytrafiało się to niekiedy zwłaszcza z gęsiami.

W dzieciństwie dzieją się czasem rzeczy niewytłumaczone. Rzeczywistość przyjmuje formę snów, by dalej ciągnąć się znów we śnie. Tak samo było z Bronkiem.

Pewnego dnia w zimie, już o przedzmkroku pomagał ojcu karczować wierzby na zapłociu. Było wilgotno. Odrażająco i boleśnie wyglądały pod obcym śniegiem znajome pola. Za wsią umarło czernił się cmentarz. Broniek bał się go instynktownie. Pamiętał, jak któregoś wieczoru płakał okropnie, leżąc już w łóżku, gdy rodzice w drugiej izbie rozmawiali o śmierci. Wówczas to właśnie ujrzał ów cmentarz, omijany dotąd z trwogą. Co więcej — znalazł się jakby wśród głuchych drzew, grobów pradawnych, pod którymi spoczywali obrócenie w nicłość rodzice. Pod ziemią, pod śniegiem — oddaleni a surowi, jak w tej minucie pod nastającą żelazną nocą granice pola.

Gdy tak podnosi korzenie i raz po raz spogląda ku beznadziejnej czerni — nagle na zapłocie wybiegł chłopak, nie chłopak. Bronkowi wydawało się, że to on sam. Wydostał się lekki z cmentarza czy ze wsi i nie oglądając się, jakby na jednej nodze, podskakując, sunie w stronę Jastrzębnik... Jest coraz dalszy i coraz mniejszy, a tak się zachowuje dziwnie, jakby co trochę zmieniał postać. — Co to jest, kto to jest? Jak się nie boi tak wesoło lecieć ku przyciśniętej zmrokiem granicy. W tę pustynię straszącą. Czy to kto żywy, nie z cmentarza wybiegły, z trumny? I dlaczego taki bliski Bronkowi, jakby wybiegł z jego piersi. Ach udać się za nim, nawrócić, zobaczyć jego twarz... Niestety. Nie widać już nikogo na polu. Czy wsiąknął w ziemię. O może się zasunął za wyniosłość jastrzębskiej granicy i bieży dalej.

Rzecz pozostała niewyjaśniona, a tak kusząca i rzewna, że chłopak śnił po nocach. — Nieznane, cudze granice, odległe wsie, gdzie tamten czeka — ukrywa się niby w kształcie kołka w płocie zmurszałej wierzby kopczyka ziemi — czymś zmieniającym się bezustannie i niedającym się nigdy rozpoznać. Zapomniany, przeżyty jakby — odkrywa się znienacka we śnie. Każe się szukać, czołgać po niezwykłych górach. Jest coraz bliższy i dalszy znowu. Kto to, kto to? Czy dosięgnie się to kiedy? I czyją mieć może to twarz? Czy nie sen wszystko...

---

# N O T Y

---

**Baranowicz Jan**, ur. dnia 15. V. 1906 r. w Borzęcinie, woj. krakowskie, wydał: „Pieśń o jaworowym krzaku“ (1938), „Chrystus w zaułku“ (1939), „Wiersze“ (Arkusz Śląski 1946).

**Biłka Henryk**, ur. 19. I. 1910 r. w Stryszawie (pow. żywiecki). Drukował we „Wsi — Jej Pieśni“, w „Roli“ i innych.

**Bińczak Józef**, ur. 1. IV. 1912 r. w Zawadzie (pow. opatowski). Ogłaszał wiersze pod pseudonimem Bolesław Słowiański — w „Wiciach“, „Młodej Myśli Ludowej“ i innych.

W czasie okupacji redagował pismo konspiracyjne „Chłopski Sygnał“. Po wojnie wiersze w „Antologii liryki świętokrzyskiej“ i w czasopiśmie.

**Bojar Józef**, ur. 22. II. 1907 r. w Izdebnie (pow. krasnostawski). Drukował we „Wsi i Jej Pieśni“ i in. Tłumaczy z rosyjskiego i ukraińskiego.

**Bojarczuk Stanisław**, autor licznych sonetów drukowanych w pismach ludowych między innymi we „Wsi“.

**Burek Wincenty**, ur. 14. X. 1905 r. w Ocinku (pow. Sandomierz). Wydał opowiadania „Droga przez wieś“.

**Czernik Stanisław**, ur. 16. I. 1899 r. w Zochcinie (pow. opatowski). Wydał „Poezje I“ (1930) „O polskim płocie“ (1933), „Przyjaźń z ziemią“ (1934), powieść „Gorycz“ (1938), Redaktor „Okolicy Poetów“ (1935—1939). Krytyki literackie w czasopiśmie.

**Czuła Maciej**, ur. 24. II. 1889 r. w Bronicach (pow. krakowski). Drukował artykuły polityczno-społeczne i gospodarcze w organie ks. Stojalowskiego „Wieniec-Pszczółka“, w „Piaście“, w Gazecie Podhalańskiej i in. Redagował „Lud Polski“ w Tarnowie (1919—1922). Autor „Pamiętników“, których fragmenty ogłosiła „Wieś“ w latach 1945—1947.

**Frasik Józef Andrzej**, ur. 1. II. 1910 r. w Rakowicach pod Krakowem. Ogłosił: „Łakami w górę“ (1936) i „Urodzony w żdźble“ (1946). Redagował w roku 1934/35 „Gazetę Artystów“ w Krakowie.

**Dunarowski Władysław**, ur. 14. I. 1903 r. w Jaworznej (pow. Limanowa). Wydał powieść „Ludzie spod miedzy“ (1938), wznowienie tejże powieści w 1947 r. „Wiatr zachodni“ (1947 — nowele). Powieść „Leżąc krzyżem“ (1947).

**Gębala Stanisław Stefan**, ur. 27. VIII. 1911 r. w Żabnie (pow. tarnobrzeński) ogłaszał wiersze i prozę w „Prosto z Mostu“, „Wsi“ i in. Przygotował do druku zbiór opowiadań i tom poezji. Na konkursie „Wsi“ nagrodzono jego utwór dramatyczny „Pięćdziesiąty pierwszy robotnik“.

**Goździkiewicz Teodor**, ur. 16. IV. 1903 r. w Dąbrowie Wielkiej (pow. sieradzki). Wydał: powieść „Głosy z daleka“ (1938), opowiadania „Uśmiech na codzien“ (1939), „Wyżynka“ opowieści (1947).

**Jakóbczyk Henryk Jerzy**, ur. 27. IV. 1914 r. w Zgierzu. Drukował w „Wiciach“, „Tygodniku Warszawskim“ i inn. W przygotowaniu tomik wierszy.

**Jucha Stanisław**, ur. 6. X. 1912 r. w Marcyporębie (pow. wadowicki). Ogłasza wiersze we „Wsi“, „Dzienniku Ludowym“ i inn.

**Kalużyński Zygmunt**, ur. 11. XII. 1918 r. w Lublinie. Wydał eksperymentalny utwór sceniczny pt. „Kanikuła“ (Łódź 1946) — Fantazja dramatyczna. Krytyk literacki i publicysta.

**Kamińska Anna**, ur. 12. IV. 1920 r. w Krasnymstawie. Wiersze w „Kamienie“, „Kuźnicy“, w „Wyborze wierszy poetów lubelskich“ i inn.

**Kapuściński Józef**, ur. 2. VII. 1985 r. w Lipnikach (k. Przemyśla). Wydał „Spod chłopskiego pióra“, „Od pług do pióra“, „Chaty w słońcu“ (1939), „Zbiory wierszy“ i „Cierniste ścieżki literatury ludowej“.

**Kowalski Władysław**, ur. w Paprotni (pow. rawsko-mazowiecki około 1890 r.). Ogłosił powieści: „W Grzmiacej“, „Stary łąk“, „Rodzina Mianowskich“.

**Król Jan Aleksander**, ur. 12. XII. 1915 r. w Nowym Sączu. Wydał: „Drogowskazy na manowcach kultury ludowej“ (1946). Redaktor tygodnika społ.-liter. „Wies“. Krytyk literacki i publicysta.

**Kubicki Marian**, ur. 29. IX. 1908 r. w Raszkowie (pow. włoszczowski). Wydał: „Chleb“ (1932), „Sosnowe słowa“ (1934), „Pieśni bose“ (1937). Redagował „Ugory“. Po wojnie był redaktorem „Dziennika Ludowego“.

**Kubinieć Nędza Stanisław**, ur. 2. IV. 1897 r. w Kościelisku k. Zakopanego. Wydał „Na nową perć“ (1936), „Janosik“ (1947).

**Kubisz Paweł**, ur. 12. V. 1907 r. w Końskiej na Zaolziu. Wydał: „Kajdany i róże“ (1927), „Przednówek“ (1937). W roku 1947 wyszło wznowienie „Przednówka“. Redagował miesięcznik „Sztorcem“ (1937).

**Lichański Stefan**, ur. 3. IX. 1914 r. w Warszawie. Znany krytyk literacki. Ogłasza essaye i recenzje w „Twórczości“, „Życiu Literackim“, „Wsi“ i in.

**Machejek Władysław**, ur. 25. II. 1920 w Chodowie k. Miechowa. Wydał: „Leśne oczy“ (poezje) 1945 r. Redaktor naczelny „Echa Krakowa“.

**Marcinek Jan**, ur. 15. XII. 1881 r. w Bieńkowicach (pow. myślenicki). Napisał powieść wierszem o roku 1846 pt. „Straszny rok“, której fragmenty drukowała „Wies“.

**Marzec Edward**, ur. 19. I. 1914 r. w Jakubowicach (pow. miechowski). Wydał tom wierszy pt. „Wnuczek orze“ (1946). Redaktor „Miesięcznika Ludowego“.

**Mazur Bronisław**, ur. 28. VI. 1925 r. w Wyszmontowie (pow. Opatów Kielecki). Ogłasza wiersze we „Wsi“ i in.

**Michalski Ozga Józef**, ur. 8. III. 1919 r. w Bielinach Kapitulnych (pow. kielecki). Wydał: „Pieśń buntu“, „Łysica gwarzy“, „Oberek świętokrzyski“ (1945), „Poemat nowosielecki“ (1946).

**Milczarek Władysław**, ur. 14. XII. 1914 r. w Szpanowie na Wołyniu. Wydał: „Wieża Babel“ (1934), „Liryzm Wołynia“ (1938), „Wołyński las“ (1939).

**Morton Józef**, ur. 19. VII. 1911 r. w Chrobrzu (pow. Pińczów). Wydał: „Spowiedź“ (1936), „Wawrzek syn Wawrzyńca“ (1939) i „Inkluzowe wiano“ (1946).

**Nowaczyk Kirlo Adam Franciszek**, ur. 23. IX. 1907 r. w Westfalii. Ogłasza wiersze we „Wsi“, „Arkonie“ i in.



**Olcha Antoni** (właściwe nazwisko Mirek Władysław), ur. 1914 r. w Naprawie k. Jordanowa. Redagował: „Wieś Jej Pieśń“ i „Nową Wieś“. Wydał: „Przed świtem“ (1935), „Wieś pisząca“ (wraz z M. Kaflem), „Nowa Naprawa“ (1946).

**Oleksik Klemens**, ur. 1. XII. 1918 r. w Zwoleniu (pow. kozienicki). Ogłasza wiersze w „Odrodzeniu“, „Wsi“, i „Twórczości“.

**Orlik Jacek Maria**, ur. 8. VIII. 1910 r. w Lipowej (pow. żywiecki). Ogłosił: „W blasku ognia“ (1933), „Nad Polęsiem cisza“ (1936), „Polesie sercem“ (1939), „Tomik zgrzebny“ (1939).

**Ożóg Jan Bolesław**, ur. 1. III. 1913 r. w Nienadówce (pow. kolbuszowski). Wydał: „Wjazd wnuka“ (1937). „Ogier i makolągwa“ (1939), „Kraj“ (1945), „Jej Wielki Wóz“ (1947).

**Papier Tadeusz**, ur. 9. VII. 1914 r. w Busku Zdroju. Artykuły publicystyczne i reportaże literackie ogłasza we „Wsi“.

**Pękalski Michał**, ur. 19. IX. 1896 w Zaklikowie (pow. Kraśnik). Wydał „C-mo!“, wiersze.

**Piętak Stanisław**, ur. 3. VIII. 1909 r. w Wielowsi (pow. tarnobrzeski). Wydał poezje „Alfabet oczu“ (1934), „Legends dnia i nocy“ (1935), „Ziemia odpływa na zachód“ (1936), „Obłoki wiosenne“ (1939), „Dom rdziny“ (1937), „Linia ognia“ (1947).

Powieści: „Młodość Jasia Kunęfała“ nagrodzona przez Polską Akademię Literatury (1938), „Białowiejskie noce“ (1939), Tom opowiadań: „Front nad Wisłą“ (1946) i „Nagi grom“ powieść 1948 r.

**Poczek Jan**, ur. 4. V. 1917 r. w Zabłociu (pow. puławski). Wydał: tomik wierszy: „Zgrzebne pieśni“ (1947).

**Pogan Józef**, 30. I. 1905 r. w Jerzmanowicach (pow. olkuski). Ogłosił tom prozy „Ugory“ (1947).

**Pokora Leon**, ur. 28. VI. 1917 r. w Wyżniance (lubelskie). Ogłasza we „Wsi“, „Wiciach“ i in.

**Rączkowski Edward**, ur. 11. II. 1911 r. we Lwowie. Wydał „Magazyny (1946) sztuka w 3 aktach.

**Sierp Zygmunt** (właściwe nazwisko Szczakowski), ur. 17. XII. 1903 r. w Warszawie. Ogłasza wiersze we „Wsi“.

**Skoneczny Stanisław**. ur. 25. II. 1910 r. w Ustroniu Prędockim pod Radomiem. Wydał: „Słowa inne“ (1937), „Ziemia była szeroka“ (1938), „Nie milknie pieśń“ (1939), „Z lasu“ (1945), „Wierni ziemi“ (1947). Redagował miesięcznik literacki „Żagwie“ (1938/9). Od października 1939 do jesieni 1941 — tygodnik konspiracyjny „Wolność“ (kieleckie).

**Sobieszek Janina**, ur. 14. IX. 1913 r. w Lisiewiczach (pow. łowicki). Ogłasza prozę w „Wiciach“, „Wsi“ i in.

**Stapińska Gut Aniela**, ur. 29. VII. 1898 r. w Poroninie. Ogłosiła cykl wierszy w książce „Poezja młodego Podhala“ (1937).

**Steciuk Jan**, ur. ok. 1905 r. w Zamojszczyźnie; bliższych danych brak.

**Stopczyk Piotr**, ur. 25. VII. 1873 r. w Szczawiu (pow. brzeziński). Ogłasza wiersze i prozę we „Wsi“.

**Strzelecki Władysław**, ur. 4. XI. 1915 r. w Borzynowicach (pow. Włodawek), wydał powieść pt. „Bracia“, zbiór wierszy pt. „Pieśni niepodległe“ (1947).

**Witowski Stanisław**, ur. 10. I. 1904 r. w Rychnowie (pow. kaliski). Drukował w „Bluszczu“, „Czasie“ i in.

**Wojdała Mieszko**, ur. 14. XI. 1910 r. w Marszowicach (pow. miechowski). Wydał „Pierwsze promienie lutni“ (1937).

**Woźna Maria**, ur. 8. XII. 1922 r. w Makowie Podhalańskim. Wiersze w „Siewie“ i „Wsi“.

**Wrona Edward**, ur. 26. I. 1896 r. w Białej k. Makowa Podhal. Wiersze we „Wsi Jej Pieśni“ i in.

**Wyrobek Piotr**, ur. 27. VI. 1871 r. w Osielcu k. Makowa Podhal. Ogłasza od 1906 r. wiersze w „Przyjacielu Ludu“ i in.

**Ziarnik Piotr Stanisław**, ur. 24. IX. 1917 r. w Domaniewicach (pow. łowicki). Wiersze w czasopismach oraz krytyki literackie.

---

# SPIS TREŚCI

	Str.
* * *	
Od wydawnictwa . . . . .	5
Stefan Lichański — Dzień dzisiejszy chłopskiej literatury . . . . .	7
Jan Aleksander Król — U czoła postępu . . . . .	23
Zygmunt Kalużyński — Marzenie o wielkiej powieści ludowej . . . . .	31

## POEZJA TWORZĄCA

Jan Baranowicz — Pieśń osadników. Miedze. Jabłonie . . . . .	43
Stanisław Czernik — W zielonej szkole. Zaduma nad ruinami miast rzymskich na pustyni . . . . .	45
Józef Andrzej Frasiak — Ojcu i matce. Młodość córki ros. Święcienie wody. Do lasu... Siwe konie. Opadanie szyszek. Mowa ojczy-sta. Na nowo . . . . .	49
Stanisław Stefan Gębala — Wspomnienie . . . . .	54
Henryk Jakóbczyk — Do przyjaciela . . . . .	54
Marian Kubicki — Noc. Wiosenna orka. Kołysanka . . . . .	55
Stanisław Nędza Kubiniec — Śmierć Janosika. Do mojej gwary. Orka . . . . .	56
Paweł Kubisz — W Gutach jest muzyka. Rebelija goroli w Mostach . . . . .	63
Władysław Machejek — Ziemia partyzancka . . . . .	63
Edward Marzec — Wnuczek orze. Przed snem . . . . .	64
Władysław Milczarek — Chłopska panienka. Rzeczpospolita. Wielka nienazwana . . . . .	65
A. F. Kirło-Nowaczyk — U płota. Ogniki . . . . .	67
Antoni Olcha — Moje pole. Wiejska stacja. Budujący ku słońcu . . . . .	68
Klemens Oleksik — Mojej matce. Ballada leśna . . . . .	70
Józef Ozga Michalski — Noga. Do Wosia. Oberek świętokrzyski . . . . .	72
Jan Bolesław Ożóg — Nad rzeką. Lesiarzka. U czasokresu. Sielanka śnieżna . . . . .	75
Stanisław Piętaś — Niebo. Zbieg. Wyznanie. Postój w nieznaney wiosce. Odpoczynek . . . . .	77
Zygmunt Sierp — Rozmowa z nim. Będą chrzciny. Pasłem krowy . . . . .	80
Stanisław Skoneczny — Na postoju. Nieśpiewana pieśń. Pogrzeb . . . . .	82
Piotr Stanisław Ziarnik — Matka . . . . .	86

## Z LUŃ W NARÓD

Józef Bińczak — Zawieja . . . . .	89
Henryk Bilka — Wspomnienia z rodzinnej żywiecczyny . . . . .	90
Józef Bojar — Wieczór w Zastyrzu . . . . .	91
Bronisław Mazur — Błogosławieństwo rąk . . . . .	91
Jacek Maria Orlik — W chałupie . . . . .	92

	Str.
Jan Pocek — W chacie . . . . .	93
Leon Pokora — Nasza wolność . . . . .	93
Michał Pękalski — Życie . . . . .	94
Władysław Strzelecki — Dzień . . . . .	95

### POEZJA SAMORODNA

Stanisław Bojarczuk — * * * . . . . .	97
Stanisław Jucha — Taki dopust boski . . . . .	98
Józef Kapuściński — Listopad . . . . .	98
Jan Marcinek — Gmina radzi . . . . .	99
Jan Steciuk — Piosenka dziewczęca . . . . .	102
Piotr Stopczyk — Kębliny w oberku . . . . .	103
Mieszko Wojdała — Do dziewczyny . . . . .	104
Maria Woźna — Zapusty . . . . .	104
Edward Wrona — Moja wioska. Krakowianki . . . . .	105
Piotr Wyrobek — Pobudka wiosenna . . . . .	107

### PROZA

Wincenty Burek — Zaczęło się od studni . . . . .	111
Józef Bojar — Wiosna Franka Swarzycy . . . . .	115
Stanisław Czernik — Arkadia pod palmami . . . . .	120
Maciej Czula — Pokój i wojna . . . . .	130
Władysław Dunarowski — Odpustowe obrazki . . . . .	135
Teodor Goździkiewicz — Matka . . . . .	141
Anna Kamieńska — Chrzest . . . . .	147
Władysław Kowalski — Grzmiąca . . . . .	149
Marian Kubicki — Pogrzeb . . . . .	156
Edward Marzec — Dziewczyna . . . . .	160
Władysław Milczarek — Boje Franka Kuriaty . . . . .	171
Józef Morton — Czarownice . . . . .	178
Antoni Olcha — Sobonie . . . . .	183
Jan Bolesław Ożóg — Odstępca . . . . .	187
Tadeusz Papier — Krzyże Janiny . . . . .	192
Stanisław Piętaś — „Koniokrad” . . . . .	197
Józef Pogan — Klótnia . . . . .	204
Leon Pokora — Jak próżnioczysko człkiem twórczym zostoł . . . . .	210
Edward Rączkowski — Pałac . . . . .	214
Janina Sobieszek — Ewka i Teresa . . . . .	217
Aniela Gut Stapińska — Z prawdziwego zdarzenia . . . . .	224
Stefan Stodolny —	
(Stan. Stefan Gębala) — Po żniwach . . . . .	229
Jan Wiktor — Śmierć matki . . . . .	232
Stanisław Witowski — Bronkowe dzieciństwo . . . . .	237
Noty . . . . .	239

# BIBLIOTEKA ODDZIAŁU WIEJSKIEGO ZWIĄZKU ZAWODOWEGO LITERATÓW POLSKICH

---

- Paweł Kubisz, »**Przednówek**«, poezje, 1946 r.
- Józef Andrzej Frasiak, »**Urodzony w źdźble**«, poezje,  
1946 r.
- Stanisław Piętak, »**Dom rodzinny**«, wiersze wybrane  
i nowe, 1947 r.
- Edward Marzec, »**Wnuczek orze**«, poezje, 1947.
- Stanisław Nędza-Kubiniec, »**Janosik**«, poemat, 1947 r.
- Stanisław Skoneczny, »**Wierni ziemi**«, poezje, 1947 r.
- Jan Bolesław Ożóg, »**Jej Wielki Wóz**«, wiersze wybrane,  
1947 r.
- Józef Bojar, »**Serce ziemi**«, poezje, 1948 r.
- Stanisław Czernik, »**Siedem nocy**«, wiersze wybrane,  
1948 r.

---

Nabywać można we wszystkich księgarniach lub zwracać się  
bezpośrednio pod adresem: Związek Zawodowy Literatów Pol-  
skich Oddział Wiejski, Warszawa, ul. Mickiewicza 18-27.

---

BIBLIOTEKA  
UNIERSYTECKA  
GDAŃSK

CII 210

1947